

GLORIA DALE SKINNER

Pogoń

1



Lato 1890 roku, Ransom, Montana

lask słońca zamigotał na lufie robionego na zamówienie Brewolweru. Kasey uniosła ramię i wycelowała. Wstrzymała oddech, skupiła się na celu i wyważyła broń tak, jak nauczył ją ojciec. Jakiś mężczyzna kaszłał, inni odchrząkiwali, a łagodny wietrzyk muskał jej ucho. Nic nie mogło zmącić jej skupienia.

Ktoś stanął za jej plecami. Nie musiała się oglądać; wiedziała, że to ten kowboj, Grason Spencer. Jej ostatni przeciwnik.

- Jesteś rozgrzana - szepnął ochryplym, niskim głosem. Dobrze wiedziała, do czego zmierza, i nie miała zamiaru mu na to pozwolić.

- Jestem zimna jak Yellowstone w maju - odpowiedziała. Popołudniowe słońce paliło ją w plecy; kark pod włosami

zwilgotniał, a spod brązowego filcowego kapelusza spływały strużki potu.

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która by strzelała lepiej niż mężczyzna. Niech mnie diabli, po prostu masz szczęście.

- Tam, skąd pochodzę, nazywamy to talentem - odparła Kasey nieco bardziej chrapliwie, niż zamierzała.

- A skąd pochodzisz?

Dziewczyna zmrużyła oczy przed rażącymi promieniami słońca.

- Nie twój interes.
- Kto cię nauczył strzelać jak mężczyzna?
- Mężczyzna. A teraz się cofnij, bo jeszcze nie trafię.

Za jej plecami rozległ się cichy śmiech. Dlaczego ten człowiek ją tak wypytywał? Czy to zwykła ciekawość, czy też sposób na wytrącenie jej z równowagi? Dogadywał jej przez cały ranek, ale zacisnęła zęby i postanowiła, że nie da mu się pokonać. Rozpaczliwie potrzebowała tych *stu* dolarów nagrody. *Zgarnie* je i zmywa się z miasta. Musiała przebyć sześćdziesiąt mil w niespełna dwa dni.

Ojciec nauczył ją, jak powinna się koncentrować przed strzałem. Występ przed liczną widownią nie sprawiał jej kłopotu. Była przyzwyczajona do drażniących hałasów, ale nie przewidziała, że przeciwnik zacznie ją uwodzić.

Zacisnęła palce na perłowej rękojeści rewolweru. Unieruchomiła ramię, odciągnęła kurek i nacisnęła spust. Rozległa się monotonna seria strzałów. Sześć puszek pofrunęło w powietrze, jedna po drugiej, i spadło na ziemię.

Widownia nagrodziła Kasey niechętnymi brawami. Mieszkańcy miasteczka, którzy przybyli na trzeci doroczny konkurs strzelecki, jasno dawali jej do zrozumienia, że nie jest tu mile widziana, ale nie mogła sobie pozwolić na przegraną.

Odetchnęła głęboko, opuściła rewolwer i cofnęła się o parę kroków. A więc przejdzie do następnej rundy.

Kątem oka obserwowała, jak Grason przystępuje do dzieła. Coś jej mówiło, że tego ranka wszyscy stawiali na to, że do ostatniej rundy dojdzie tylko ona i kowboj. On pewnie też o tym wiedział.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Grasona Spencera, spojrział jej prosto w oczy. Jego wzrok przejął ją dreszczem podniecenia, a serce Kasey zaczęło wyprawiać dziwne harce. Przez cały ranek dręczył ją tym zadziornym półuśmieszkiem i docinkami, które miały ją zastraszyć. Tak, to rzeczywiście było irytujące, ale nie dała się wytrącić z równowagi. Była skupiona i spokojna.

Właściwie nie chciała się przyglądać kowbojowi, kiedy stawał

na pozycji, ale szedł z taką pewnością siebie, że trudno go było zignorować. Wszystko, od jego postawy po pewną siebie minę, krzychało, że spodziewa się zwycięstwa. Dumnie obnosił szerokie bary, zwięzające się ku płaskiemu brzuchowi; długie nogi były muskularne i silne. Kasey nie mogła oderwać od niego oczu, choć buta kowboja działała jej na nerwy.

Już zdążyła zauważyć trzy wystrojone damy, które uśmiechały się i powiewały do niego obszytymi koronką chusteczkami. Dwie inne, najpewniej pracujące w saloonie, bezwstydnie słały mu całusy.

Ale Kasey nie po to wybrała się w dwudniową podróż, nie po to oszczędzała każdy cent na dziesięć dolarów wpisowego, żeby przegrać z przystojnym, zarozumiałym pastuchem.

- No, Grason, dalej! - ryknął jakiś mężczyzna.

Tak, kończ z tym! - wrzasnął drugi.

- Pokaż jej, jaki jesteś dobry, szeryfie! - rozległ się kobiecy głos.

Szeryfie? Jak mogła się nie domyślić? Nic dziwnego, że był laki pewny siebie. Ale to znaczyło, że złamał zasady.

- Jesteś przedstawicielem prawa? To nie fair. Nie powinieneś stawać do zawodów.

Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Nie jestem już szeryfem. A gdybym nawet był, to dlaczego bym nie mógł się zgłosić? Albo mnie pokonasz - uśmiechnął się szeroko - albo nie.

Oczywiście, miał rację, ale nie przyznałaby mu tego za żadne skarby. To, że miał za sobą poparcie całego miasteczka, nie Oznaczało jeszcze wygranej. Kasey odwróciła wzrok i naładowała wymyślny rewolwer, delikatnie rzeźbiony w róże - prezent od ojca na piętnaste urodziny.

Zerknęła z ukosa na Grasona. Szeroki pas z kaburami obejmował jego wąskie biodra w zdecydowanie nieprzyzwoity sposób, uwypuklając tę część ciała, której szanująca się kobieta w ogóle nie powinna oglądać. Skóra wydawała się wytarta, zmiękczone, jakby właściciel wkładał pas codziennie. Czarna kamizelka

niemal zupełnie zasłaniała białą, świeżo wyprasowaną koszulę. Orzechowe włosy Grasona sięgały równą linią do śnieżnego kołnierzyka.

Jeszcze nigdy w życiu nie spotkała mężczyzny, który by tak podrażnił jej zmysły.

Grason błysnął ku niej ciemnym okiem i wyciągnął kolt. Kiedy poczuła na piersiach ciepły, kuszący powiew, powiodła spojrzeniem po jego mocno zarysowanym, wygolonym podbródku, pełnych wargach i wyrazistym nosie. Odwróciła się, przybrała najbardziej obojętną minę, na jaką mogła się zdobyć, i zaczęła wkładać pociski do magazynka. Nie mogła się pozbyć niepokoju.

Zasady konkursu były jasne. Zwycięzca bierze wszystko.

Eksszeryf strzelał inaczej niż Kasey, ale był równie dobry. Żeby go pokonać, będzie musiała sobie przypomnieć wszystkie sztuczki, których nauczył ją ojciec.

Grason uniósł rękę, nie kłopotując się odpowiednią postawą czy oddychaniem, i wycelował dwulufowy rewolwer z rękojeścią z kości słoniowej. Zestrzelił z deski sześć puszek, jedną po drugiej. Jeśli Kasey zamierzała mu zepsuć humor swoim występem, mogła sobie oszczędzić trudu. Na widowni zerwały się burzliwe oklaski, gwizdy i wiwaty. Nie było wątpliwości, który uczestnik konkursu jest faworytem publiczności.

Kasey poczuła, że jej dłonie w skórzanych rękawiczkach wilgotnieją. Dusił ją w swoim odświętnym ubraniu, lecz ojciec upierał się, żeby zawsze strzelała w tych fikuśnych rękawiczkach. Kamizelka gęsto naszywana dżetami i srebrne ćwieki na skórzanych spodniach stanowiły część wizerunku kowbojki, który Walter Anderson wykreował specjalnie dla Kasey i jej siostry, Jean. Przypominał im codziennie, że widzowie płacą za przedstawienie i jego oprawę. Obie musiały być doskonałe.

Kasey rzadko wbijała się w te ozdobne stroje. Dziś także by ich nie włożyła, gdyby nie przypomniiała sobie, że zawody w strzelaniu w dniu czwartego lipca ściągną głównie pastuchów i ranczerów, a nie prawdziwych profesjonalnych strzelców.

Grason odwrócił się od tłumy i stanął przed rywalką; ich

spojrzenia się spotkały. Kasey drgnęła, czując powoli wypełniającą ją niespodziewaną rozkosz. Podobała jej się ta aprobata w oczach Grasona.

Wyglądał niezmiernie przystojnie w nisko nasuniętym na czoło stetsonie z opaską nabijaną ćwiekami, w białej koszuli i czarnej aksamitce. Smukłymi, długimi palcami sięgnął po nowe naboje. Kiedy wycofał się ze stanowiska, rzucił jej ten swój butny uśmieszek.

Znowu nadeszła jej kolej.

Srebrne ostrogi w złote kwiaty dźwięczały przy każdym kroku. Kasey przywołała na pomoc te cztery lata, kiedy ćwiczyła po sześć godzin dziennie, zajęła pozycję i uniosła rewolwer, Grason natychmiast stanął za jej plecami, tak jak to robił przez cały ranek.

Zapach mydła do golenia przebił się przez opary prochu; dziewczyna wciągnęła go w nozdrza i poczuła, że zaczyna się rozpraszać.

- Czy jakiś mężczyzna już ci mówił, że jesteś dobra?

Ten ochryply, namięty ton, który nadawał jego słowom podwójne znaczenie! Natychmiast przypomniała sobie, że jest kobietą, nie tylko uczestniczką zawodów.

- Każdy, którego pokonałam.

Był do niej uprzedzony, ponieważ była kobietą - tak reagowali wszyscy mężczyźni, z którymi stawała do zawodów. Ale tym razem nie czuła się niepewnie. Przeciwnie, kiedy się do niej odzywał, ogarniało ją dziwne uczucie, jakby w jej wnętrzu budziło się coś delikatnego, kobiecego. Nie chodziło o to, co mówił. Zwracał się do niej tak, jakby chciał ją uwieść. I to wystarczyło.

Ten człowiek zburzył jej spokój. Niech to, dlaczego się od niej nie odzepi?

Zdajesz sobie sprawę, że będziemy strzelać dopóty, dopóki ktoś z nas nie spudłuje? - spytał.

- Jeśli masz ochotę się wycofać, nie zatrzymuję.

Grason znowu się roześmiał, cicho i ochryple. Ten dźwięk także się jej podobał.

- Ktoś musi zwyciężyć, Kasey,
- I ktoś musi przegrać - rzuciła. - Cofnij się. Nie mam się gdzie ruszyć.
- Nie przegrałem żadnych zawodów, odkąd skończyłem szesnaście lat. A ty?

Odczuła te słowa jak policzek. Zobaczyła siostrę, roześmianą, chwalebą się ojcu, że Kasey nigdy jej nie zwyciężyła. Widziała rozgniewaną twarz ojca, który ganił ją, że nie dorównuje Jean.

Znowu usłyszała jego słowa. „Patrz na cel. Opanuj ręce, oddychaj powoli. Nie słuchaj krzyków widowni, nie słuchaj wystrzałów. Nie dawaj się rozproszyć”.

Ale ojciec nie nauczył jej, jak obronić się przed tym irytującym kobiecym doznaniem, obudzonym przez jakiegoś zarozumiałego, wygadane go mężczyznę.

Rzuciła Grasonowi ostre spojrzenie.

- Nigdy nie przegrałam z chwalipiętą, który bardziej się martwi, czy strzela szybko, niż celnością.

Wystrzeliła sześć razy. Sześć trafień.

Rozległy się pomruki, jęki; ktoś nawet parę razy klasnął. A potem zapanowała cisza.

Były szeryf nie zamierzał przerwać pojedynku. Zestrzelił wszystkie puszkę, trafiając w każdą. Mieszkańcy miasteczka wybuchnęli entuzjastycznymi okrzykami.

Kasey wyjęła bębenek kolta. Upał, opary prochu i napięcie usztywniały jej mięśnie; zaczęła ją boleć ręka.

Niech to, ten przeklęty Grason był naprawdę dobry! A jeśli nie zdoła go pokonać? Im dłużej trwał ten pojedynek, tym bardziej traciła pewność siebie. Co zrobi, jeśli nie wygra tych pieniędzy?

Znowu zajęła stanowisko. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Przypomniała sobie obietnicę złożoną matce i prawie się uspokoiła. Ale zaraz potem przed oczami stanęła jej twarz Jean, śmiejącej się i mówiącej, że siostra nie jest dość dobra, że nie wygra. Kasey zacisnęła powieki mocniej.

- Nie stój tak! - wrzasnął ktoś z tłumu.
- Dalej! - poparł go ktoś inny.

- Zostawcie ją- rozległ się głos kobiety. - Może się przygotowywać tak długo, jak się jej spodoba.

- Nic mieszaj się.

Kasey wyrzuciła ze świadomości te głosy, skupiła się, wycełowała i zestrzeliła sześć puszek, po czym ze świstem wypuściła powietrze.

Odwróciła się i ujrzała Grasona; stał tak blisko, że czuła ciepło promieniujące z nagrzonej skórzanej kamizelki. Miał oczy koloru wzburzonej rzeki, zbyt jasne, żeby nazwać je czarnymi, zbyt ciemne, żeby uznać je za niebieskie. W tych przekrwionych oczach malowało się coś jeszcze, coś, co zdradzało pragnienie zwycięstwa tak samo naglące, jak w jej przypadku, choć może nie chodziło o pieniądze.

Sięgnęła po kolejne naboje. Niech to! Wystrzelała wszystkie. Musiała przynieść następne z juków.

- Proszę. - Grason wyciągnął ku niej dłoń z sześcioma nabojami. Na jego skórze połyskiwały kropelki potu. Może z gorąca, a może Kasey trochę go zdenerwowała?- Ty też masz czterdziestkę piątkę. Weź i skończmy z tym wreszcie.

Zawahała się; powiodła spojrzeniem ku jego przyjaznym oczom, tak dla niej niebezpiecznym. Wydawał się szczery, ale jeśli któryś z tych naboji nie wypali? Nie, nie mogła ryzykować.

- Wezmę własne.

- Czego się boisz?

Przez chwilę wydawało jej się, że zajrzał w głąb jej duszy i zobaczył, co się w niej kryje. Ale nie mógł przecież wiedzieć, że nie boi się przegranej, lecz utraty czegoś o wiele ważniejszego niż sto dolarów nagrody.

- A jak ci się wydaje? Powiedziałeś, że zamierzasz wygrać. I sądzę, że nie liczysz tylko na swój talent.

Grason uśmiechnął się z aprobatą. Jego spojrzenie prześliznęło się po jej twarzy i bluzie aż do talii, ściśniętej szerokim skórzanym pasem, po czym wróciło tą samą drogą.

Na policzki Kasey wystąpił gorący rumieniec. Czuła jakieś nieuchwytnie zagrożenie i nie rozumiała, skąd się bierze. ,

- Chcę wygrać - powiedział.
- Nigdy nie ufam przeciwnikowi.
- Zawsze gram uczciwie.
- Więc dlaczego mnie rozpraszasz za każdym razem, kiedy składam się do strzału? - spytała dziewczyna.

- To jest strategia.

Nie odrywała od niego oczu.

- Możesz to nazywać, jak ci się podoba, ale to znaczy, że nie jesteś pewien własnej ręki. Zabawne.

Grason parsknął śmiechem, a Kasey musiała przyznać, że pociąga ją ten przyjemny dźwięk; nie było w nim szyderstwa. Jej słowa najwyraźniej się mu spodobały. Szkoda, że nie mogła go polubić. Szkoda, że zobaczyła w jego oczach coś, co ją zaniepokoiło.

- Chyba nie - powiedział. - Masz desperację wypisaną na twarzy. Widzę ją za każdym razem, kiedy błyskasz tymi zielonymi oczami. Zabawne.

Ugodzona do żywego, otworzyła usta, żeby zripostować, ale ktoś z widowni nagle zawołał do Grasona. Musiała pamiętać, że walczy przeciwko człowiekowi, który chce ją pognać i nie cofa się przed niczym.

- Grason! Szeryfie, chwileczkę!

Jakiś niski, pękaty i łysiejący mężczyzna w ciemnoszarym garniturze zbliżał się do nich szybkim krokiem. Kamizelka pofałdowała mu się na brzuchu, a koszula wychodziła z paska spodni. Kasey rozpoznała w nim Billa Hoppera, burmistrza Ransom.

Stanął przed nimi i wydyszał:

- Cory prosi, żebyś wstąpił do saloonu, jak już tu skończysz.

- Cory?

W głosie Grasona brzmiało zaskoczenie, ale Kasey nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

- Przerwał pan zawody tylko po to? - spytała.

Burmistrz zamrugnął gwałtownie.

- Eee... nie, właściwie to nie, choć proszono mnie, żebym

przekazał tę wiadomość. - Wyszarpnął z kieszeni białą chusteczkę i otarł nią poczerwieniałą twarz, po czym odwrócił się do Grasona. - Zawody trwają już za długo. Całe miasto siedzi tutaj od rana. Wszyscy są zmęczeni i chcą się posilić tym, co przygotowały kobiety. Potem czekają nas jeszcze konne wyścigi i inne rozrywki. Może uznamy zawody za nie rozstrzygnięte i podzielicie się wygraną?

Kasey zerknęła niespokojnie na obu mężczyzn. Połowa nagrody? Pięćdziesiąt dolarów na nic się jej nie przyda. Musiała mieć wszystko, żeby wynająć tropiciela śladów. Tylko tak znajdzie siostrę. Tropiciel wysłał telegram, z którego wynikało, że będzie czekać przez tydzień na przybycie Kasey do Bozeman. Już zmarnowała pięć i pół dnia, czekając na zawody.

- Nie - rzuciła szybko, choć ani burmistrz, ani kowboj nie zamierzali pytać jej o zdanie. - Zasady mówią, że zwycięzca bierze wszystko. Nie przyjechałam tu po to, żeby dzielić się nagrodą..

- A skąd przyjechałaś? - spytał Grason, po raz drugi tego dnia.

- Nie twój interes - powtórzyła. Dlaczego mówił jej „ty”? Całkiem, jakby się znali. Nie miał prawa wdzierać się w jej życie i budzić uczucia, na które nie miała czasu.

Panno Anderson, tak możecie się bawić aż do wieczoru. Żadne z was dotąd nie spudłowało. Najwyraźniej jesteście sobie równi. Nie możemy marnować więcej czasu, jeśli chcemy zdążyć z innymi zabawami. Sporo widzów czeka już na wyścigi.

- Nie można zmieniać zasad w środku zawodów- upierała się dziewczyna.

Burmistrz odkaslnął i przeniósł spojrzenie na Grasona.

- I co powiesz?

Były szeryf zmierzył Kasey demonicznym spojrzeniem.

- Słyszałeś, co powiedziała ta dama. Zwycięzca bierze wszystko. No, odsuń się i daj jej strzelić. Ludzie muszą się posilić.

Popołudniowe słońce raziło oczy Grasona, kiedy jego rywalka nabijała broń pociskami z juków. Chyba nie myślała serio, że chciał jej podłożyć fałszywe naboje? Czy przyzwoity człowiek mógłby się uciekać do takich wybiegów?

Nigdy dotąd nie widział, żeby ktoś tak starannie składał się do strzału. To mu działało na nerwy. Najlepiej jest strzelać instynktownie. Skoro ta dziewczyna zadawała sobie aż tyle trudu, na pewno miała wiele do stracenia.

Kiedy rano zobaczył ją po raz pierwszy, wydawało mu się, że to ona przed rokiem wpakowała mu kulę w ramię. Już miał ją wsadzić za kratki, gdy zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna nie może być ową wyjętą spod prawa renegatką, która prowadziła się z gangiem Eagle'a Clarka. Kasey nie miała znamionującej zaciętości zmarszczki koło ust ani takiego demonicznego spojżenia jak kobieta, która z uśmiechem pociągnęła za spust i strzeliła. Ale może były ze sobą spokrewnione?

Kasey nie była szczególnie rozmowna, ale Grason zdołał się zorientować, że to dziewczyna na pewnym poziomie. Jej ubranie, buty, broń musiały sporo kosztować. Siodło zdobyły frędzle i wymyślne niklowe muszelki. Rękojeść rewolweru była wyłożona masą perłową, a nie tanim drewnem, kością słoniową czy metalem. Można by się spodziewać, że taka osoba nie potrzebuje pieniędzy, ale pozory mogą mylić. Z jakiegoś powodu Kasey postanowiła wygrać za wszelką cenę. To go intrygowało; chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

Zeszłej nocy zasiedział się u Cory'ego do późna, przy kartach i kieliszku. Teraz zaczynało się to na nim odbijać. Kiedy ostatnim razem przyglądał się tak kobiecie, miał dwanaście lat i był zakochany w żonie pastora. Ta Kasey powinna się już wic jak robak na widelcu. A jednak...

Interesowała go, o tak, i to z różnych powodów. Te ogniste zielone oczy w każdej innej sytuacji rozpaliby mu krew. Szybkie repliki na jego zaczepki tylko go rozdrażniały. Szkoda, że już się nigdy nie spotkają.

Dotknął kamizelki w miejscu, gdzie niegdyś lśniła blaszana

gwiazda. Musi się zbierać. I tak został w mieście o trzy miesiące za długo, czekając, aż burmistrz znajdzie nowego szeryfa.

Wczoraj do biura szeryfa przyszła wiadomość, że Eagle Clark wrócił ze swoją bandą do Montany i właśnie obrabował bank w Miles City. Grason postanowił opuścić miasto i ruszyć w pościg. Podejrzał, że te szumowiny przepuściły już skradzione pieniądze i szykują się na następny napad.

Ransom jakoś się obywał bez szeryfa podczas tych ośmiu miesięcy, kiedy ścigał Eagle'a. Poradzą sobie, dopóki Hooper nie znajdzie kogoś na jego miejsce. Wyjedzie o świcie, ale najpierw musiał zdobyć nagrodę; potrzebował środków na pościg za tym Metysem.

Mieszkańcy miasta zapewniali, że nic ich nie obchodzi, iż nie zdołał odnaleźć bandy Eagle'a i odzyskać pieniędzy, ale Grason nic mógł zapomnieć, że ten bank był bezpieczny przez dwadzieścia lat, kiedy funkcję szeryfa pełnił jego ojciec.

Włożył bębenek na miejsce. Był zadowolony, że pozbył się odznaki; teraz nic go nie ograniczało. Chciał zabić tego sukinsyna, nie martwiąc się, co jest słuszne, a co nie. Życie Eagle'a i jego bandytów nie było warte złamanego grosza. To dotyczyło także kobiety, która z nimi podróżowała.

Nie obchodziło go, jak długo będzie ich ścigał. Tym razem nie da za wygraną, dopóki nie odnajdzie tych wyrzutków i się z nimi nie policzy. W Ransom nic go już nie trzymało. Madeline o to zadbała.

- Szeryfie, możesz spać kiedy indziej. Teraz mamy zawody.

Grason ocknął się z zamyślenia i spojrział nieprzytomnie na rywalkę.

- Twoja kolej - poinformowała go Kasey.

Rył tak pochłonięty własnymi myślami, że nie słyszał strzałów. - Mówiłem ci, że nie jestem już szeryfem. - Wyciągnął rewolwer i zaczął strzelać. Dopiero kiedy doszedł do szóstej puszki, zdał sobie sprawę, że nie trafił w piątą.

Od strony widowni dobiegło zbiorowe westchnięcie, potem kilka przekleństw.

- Psiakrew - mruknął Grason.

Pozwolił się jej pokonać! To nim wstrząsnęło. Rywalka raczej nie spudłuje; teraz jeszcze podwoi środki ostrożności. Ustąpił Kasey miejsca.

Jej metodyczne ruchy nie uległy zmianie. Niech to diabli, on też by trafił, gdyby wszystko robił tak powoli.

Zestrzeliła wszystkie puszki. Kilka osób na widowni gwizdnęło pogardliwie, inni zaczęli klaskać, większość jednak zerwała się z miejsc i ruszyła do wyjścia.

- Dobrześ się spisał, Grason! - ryknął ktoś z tłumu.
- Ktoś musiał przegrać, szeryfie! - dodał inny widz.
- Jedzenie! — domagał się ktoś głośno.
- Dobrze strzelasz, Kasey! - zawołała kobieta.

Grason włożył do kabury rewolwer z pustym bębniem. Niech to diabli, ta dziewczyna musiała być siostrą Annie Oakley. Czy kiedykolwiek zdarzyło jej się spudłować?

- Ktoreś z was musiało przegrać - powiedział Tom Ryder, poklepując go w przelocie po ramieniu.

- Kto by pomyślał, że ta mała paniusia ma takie oko - rzekł Henry Wilcox, podążając za Tomem.

- Wygrasz w następnym roku - pocieszył go Rip Meyers. - Chodźmy na wyścigi!

Grason uchylił się przed przyjacielskim klepinięciem kowala. Nie chciał, żeby wszyscy szukali dla niego usprawiedliwień. Całe miasto powinno być na niego wściekłe. Pozwolił wygrać nie tylko komuś obcemu, ale w dodatku kobiecie! Nie chciał, żeby byli tak cholernie wyrozumiali.

Kasey zsunęła kapelusz na plecy. Jego spojrzenie jakoś samo ku niej uciekło, zwycięstwo nie wymazało zmarszczek napięcia wokół ust dziewczyny. Wiatr pochwycił luźne pasma jej złocistobrazowych włosów, lecz nie odsunęła ich z twarzy.

Przyglądał się jej i czuł, że narasta w nim jakaś dziwna czułość. Zwyciężyła, ale stała samotnie. Pozornie wygląda na pewną siebie, zaradną młodą kobietę i była przecież najlepszym strzelcem, jakiego spotkał w życiu. Instynkt podpowiadał mu jednak, że tak naprawdę ta dziewczyna jest zupełnie inna. Znał

te objawy; widywał je na co dzień. Za ładną twarzą i ognistymi oczami krył sir jakiś kłopot.

Zaklął pod nosem. Nikt nie podszedł, żeby jej pogratulować. Niby dlaczego? Nikt jej tu nie znał, ale przyzwoitość nakazywała zamienić z nią parę słów. Co tam, on też nie miał ochoty z nią rozmawiać. Prędzej powie jej, że chwycił go kurcz i dlatego przegrał. Wszystko, byle tylko nie przyznać, że jest od niego lepsza. Ale wygrała w uczciwej walce, musiał się więc do niej odezwać. Podeszedł i dotknął róna kapelusza.

- No co, Kasey, jednak miałaś szczęście, co?

- Powiedzmy, że to ty miałaś pecha.

Spojrzeli na siebie; Grason uśmiechnął się mimo woli. Podobała mu się brawura tej dziewczyny.

A gdybym powiedział, że wiatr sypnął mi piaskiem w oczy i dlatego spudłowałem?

Uwierzyłabym ci, bo to samo przydarza się każdemu mężczyźnie, który ze mną przegrywa.

Nie był w stanie powstrzymać śmiechu; ta dziewczyna budziła w tum wielką sympatię. Wiedziała, jak trzeba rozmawiać z mężczyzną. Znów przyszło mu do głowy, że miałby ochotę dowiedzieć się o niej coś więcej.

Nic pozwolisz mi przegrać z godnością?

Kasey spojrzała mu prosto w oczy i nie odwróciła wzroku.

- Dlaczego miałabym cię traktować inaczej niż wszystkich?

- Może na to zasługuję.

- Nie sądzę. Przegrałeś. Koniec, kropka. Pora się zbierać.

- A jeśli uznałem, że ktoś, kto tak bardzo stara się wygrać, nie zasługuje na przegraną?

- Uznałeś słusznie.

- A jeśli z rozmysłem nie trafiłem w piątą puszkę, żebyś mogła wygrać?

Jej zielone oczy rozszerzyły się, spojrzały na niego pytająco; uwierzyła. Lekko rozchyliła usta, potem zmrużyła oczy podejrzliwie.

- Wtedy powiedziałabym, że jesteś głupi. - Zrobiła pauzę

i zaczęła zdejmować rękawiczki, zsuwając je kolejno z palców. - A nie wyglądasz na głupiego.

Grason podszedł do niej bliżej. Miała migdałowe oczy, nad którymi wznosiły się łagodnie biegnące łuki brwi, i pełne wargi, jak płatki ciemnych róż. Grzbiet nosa i wypukłości policzków złociły się jasną opalenizną.

- A na kogo wyglądam? - spytał cicho.

Przez chwilę dziewczyna nie odpowiadała.

- Na kogoś, kto nie lubi przegrywać z kobietą. Nigdy.

Grason roześmiał się; trafiła celnie, ale nie zamierzał się do tego przyznawać, nawet przed samym sobą.

- Jesteś trochę zbyt pewna siebie, nie sądzisz?

- Ale chyba mam podstawy, nie uważasz? - Wsunęła do kabury ładnie złożone rękawiczki tak, że naszywane koralikami mankiety wystawały na zewnątrz. - A teraz wybaczone, burmistrz chce mi wręczyć nagrodę.

Grason śledził dziewczynę wzrokiem; przy każdym jej kroku frędzle kamizelki podskakiwały, a włosy falowały na ramionach. Podobały mu się jej cięte uwagi i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to tylko maska, za którą kryje się wrażliwa młoda kobieta. Szkoda, że nie miał czasu, żeby się przekonać, co ją tak dreczy.

Ta myśl go zaskoczyła. Zwykle podobały mu się kobiety w typie Madeline. Spokojna i bezproblemowa, byłaby świetną żoną, gdyby nie... Psiakrew, nigdy nie zrozumiał, dlaczego opuściła Ransom bez jednego słowa.

Przebiegł myślą wydarzenia ostatnich trzech miesięcy, ale nie przychodziło mu do głowy. Albo Madeline nie wierzyła, że zdołałby się nią zaopiekować, albo tego nie chciała. Grason nie mógł zaakceptować żadnej z tych możliwości.

Zerknął ku Kasey. Przyjęła pieniądze od burmistrza, włożyła je w juki, dosiadła łaciatego mustanga i odjechała.

Samotnie.

Bardzo głupio, była przecież kobieta.

2



Grason pchnął drzwi saloonu Cory'ego i wszedł do zadymionego pomieszczenia. Balsamiczny wietrzyk, wpadający przez otwarte okna, nie zdołał rozwiać odoru starego dymu, podlej whisky i wyziewów ciała. Na drewnianych ścianach igrały promienie słońca.

W saloonie zebrał się tłum stałych bywalców, amatorzy picia ilu późna, dwie dziewczyny, czekające na jakiegoś samotnego kowboja, który zainteresowałby się tym, co miały na sprzedaż. Grason podszedł do baru, kłaniając się jednym, z innymi zamieniając parę słów. Chyba nie wszyscy mieszkańcy miasta zrezygnowali z codziennych zajęć dla Święta Czwartego Lipca.

Grason był już gotów do podróży; dwie zmiany ubrania, zapasowa manierka i kilkudniowa racja fasoli, biszkoptów i suszonej wołowiny czekały zapakowane.

- Zwykle nie widuję cię o tej porze dnia, szeryfie - odezwał się barczysty barman, gładząc siwiejącą brodę.

- Wiesz, że już nie jestem szeryfem.

- E tam, nikt nie chce, żebyś zrezygnował - zaprotestował Neiman. - Byłeś świetny, całkiem jak twój tato.

Grason nie odpowiedział, ale poczuł, że do ust napływa mu

gorycz. Wolałby, żeby ludzie przestali udawać, że jest równie dobrym szeryfem, jak jego ojciec. To nie była prawda.

- Co ci podać?

- Whisky. - Musiał uleczyć obolałe ego, a sąsiednie miasto leżało szmat drogi stąd.

Neiman zdjął jedną szklaneczkę z półki i wytarł ją w środku szmatką, zanim nalał do niej ciemnego płynu.

- Słyszałem o zawodach. Tom Ryder powiedział, że ta kobieta strzela jak Annie Oakley. Tak też sobie myślę, że jest dobra, skoro ci dokopała. - Podsunął mu drinka. - Dowiedziałeś się, kim jest? Takich babek nie spotyka się codziennie, no nie? Żałuję, że nie widziałem, jak strzela, ale Cory nie chciał zamknąć baru tylko dlatego, że kowboje urządzili sobie zawody. Ciekawe, gdzie się tego nauczyła.

Grason czuł, że jeżą mu się włosy na karku; miał wrażenie, że nie wytrzyma ani chwili dłużej tego gadania. Chciał tylko dostać drinka i marzył o tym, żeby wszyscy się od niego odczepili.

- Podobno Cory chciał ze mną mówić. Jest tutaj?

- Gra w prywatnym gabinecie. - Neiman wetknął ścierekę za fartuch. - Mam go zawołać?

Grason skinął głową i uniósł szklaneczkę. Opróżnił ją dwoma łykami, odkaszlnął, po czym otarł usta wierzchem dłoni. Alkohol palił go w żołądku; parę głębokich wdechów nieco stłumiło ten ogień. Potarł zmęczone oczy. Myślał o tym, co go czeka. Wszystko jedno. Drugi raz nie wypuści już tego bydlaka, Eagle'a Clarka.

Ścigał go prawie przez cały zeszły rok i zgubił jego ślad w zadymce śnieżnej w kanadyjskich dzikich ostępach. A przecież znał jego nawyki. Ten bandyta lubił podróżować bez balastu, pić tanią whisky i najeżdżać miasteczka, by wszczynać w nich strzelaniny. Podobno zabił dwóch mężczyzn z powodu pięknej kobiety, która z nim podróżowała.

Boczne drzwi otworzyły się i na progu stanął masywny mężczyzna z siwiejącymi włosami i bujnym wąsem. Z kąta ust zwisało mu cienkie cygaro. Cory zdecydowanie powinien się

ogolić i zmienić ubranie. Widok Grasona ucieszył go tak samo jak wizyta poborcy podatkowego.

Grason nie lubił tego człowieka. Podczas minionych lat nieraz dochodziło między nimi do konfliktów. Dziewczyny z saloonu twierdziły, że je oszukuje, ale żadna nie zdecydowała się wnieść oskarżenia, więc szeryf był bezradny.

Cory nigdy nie zaproponował Grasonowi żadnej przysługi, a gdyby to zrobił, ten by nie skorzystał. Zawsze płacił dziewczynom Cory'ego pełną stawkę.

- Burmistrz powiedział, że chcesz się ze mną widzieć.

Właściciel saloonu odkasznął i zbliżył się do niego niespiesznie.

- Słyszałem, że znowu wyjeżdżasz.

- I co z tego?

Neiman stanął za barem, ale pracodawca dał mu znak, by wyszedł, po czym sam zajął jego miejsce. W milczeniu napełnił szklaneczkę Grasona, a potem nalał sobie kolejkę. Przesunął cygaro z jednego końca ust w drugi i przytrzymał je zębami.

- Burmistrz chciał, żebym objął urząd po tobie - powiedział.

Grasona przeszedł dreszcz, lecz wyraz jego twarzy się nie zmienił. Co ten Hooper kombinuje, do stu diabłów? Jeśli szeryfem Ramisom zostanie ten były rewolwerowiec, miasteczko zmieni się w przystań bezprawia, tak jak Deadwood przed paru laty.

- I co mu powiedziałeś?

Cory oparł się o bar i rozchylił surdut, ukazując blaszaną gwiazdę, która niegdyś lśniła na piersi Grasona, oraz kosztowny rewolwer marki Remington, przypasany do biodra.

- I co? - spytał, unosząc kciukiem klapę kamizelki. - Pasuje?

Grason wzdrygnął się wewnętrznie. Przez głowę przemknął mu obraz ojca, który kiedyś nosił tę gwiazdę.

- To ty powinieneś na to odpowiedzieć.

- A już myślałem, że nie można tobą wstrząsnąć. Chyba się myliłem. Pobladeś jak tyłeczek panny Tilly.

- Idź do diabła - mruknął Grason.

Cory zarechotał złośliwie.

Cholerny Bill Hooper. Musiał upaść na głowę, żeby wybrać

na szeryfa właściciela saloonu i najgorszego zabijakę w mieście. Grason najchętniej by go udusił i nawet nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Może burmistrz chciał go zmusić, żeby nie odchodził? Wszyscy wiedzieli, że Cory nie powinien być szeryfem.

Ale Grason nie zamierzał marnować czasu. Oddał odznakę. Jeśli mieszkańcy miasteczka nie zaaprobują wyboru burmistrza, będą musieli sami sobie radzić. On musiał wypełnić swoją misję.

- Chciałeś mi powiedzieć coś jeszcze?

Cory zdjął z półki nie rozpieczętowaną butelkę whisky i postawił ją na ladzie.

- Weź to na drogę. Nie jest miękka ani ciepła jak kobieta, ale przyda się w nocy.

W pierwszej chwili Grason chciał odmówić, ale przecież nie był już szeryfem; mógł przyjmować prezenty. Kiedy ujął butelkę za szyjkę, o bar oparł się śmierzący potem mężczyzna. Był to Tate - łowca nagród.

- Dzień dobry, szeryfie - odezwał się, patrząc na Grasona.

- Szukasz jego. - Grason wskazał właściciela saloonu i wstał. Tate trzymał wymiętą kartkę. Stęknął, spojrzał na Cory'ego i wzruszył ramionami.

- Mnie tam wszystko jedno. - Rzucił na bar obwieszczenie z portretem poszukiwanych. - Któryś z was widział tych ludzi?

Grason spojrzał na twarz kobiety podobnej do Kasey i poczuł, że narasta w nim niepewność. On także miał to obwieszczenie. Dostał je poprzedniego dnia. Łowcy nagród nie tracili czasu. Wiedział, że kobieta, która go pokonała, nie należy do bandy Eagle'a, ale czy łowca nagród zwróci na to uwagę, kiedy ją spotka?

Niech to. Ciekawe, czy w ogóle uświadamiała sobie, że grozi jej niebezpieczeństwo. Powinien pomyśleć o tym wcześniej, kiedy zdał sobie sprawę z jej podobieństwa do wyjętej spod prawa renegatki.

Zimne, wąskie oczy powędrowały od Grasona do Cory'ego. Tate potarł zarośniętą brodę i wygładził brudną ręką wymięty papier.

Grason spojrzał na plakat i znieruchomiał; nie mógł oderwać

od niego oczu. Dotąd nie zauważył, że słowa POSZUKIWANI ŻYWI LUB MARTWI są napisane tak dużymi literami.

Cory zgniół niedopałek cygara w mosiężnej popielniczce i wychylił drinka jednym łykiem.

- Nigdy żadnego nie widziałem, ale mam nadzieję, że wyłapiesz, drani. Połowa pieniędzy, które ukradły te sukinsyny, należała do mnie.

- Napadli na saloon?- spytał Tate, drapiąc się po głowie.

- A, gdzie tam! Okradli bank. Popytaj ludzi na pikniku. Na zawody strzeleckie przyjechało sporo obcych. Może ktoś widział tych bandytów.

- Widziałem ogłoszenia. Kto wygrał?

Cory wyszczerzył zęby i skinął ku Grasonowi.

- Spytaj jego. Też stanął do zawodów.

Dłoń Grasona sama złożyła się w pięść; dawna wściekłość znowu w nim zakipiała. Cory prosił się o nauczkę od wielu lat, ale teraz nie było na to czasu.

- Nikt miejscowy - mruknął i przysunął drinka Tate'owi. - Właściciel stawia.

Chwytał butelkę i chciał już wyjść, ale coś go zatrzymało. Odwrócił się, spojrzął Cory'emu w oczy i powiedział dobitnie:

- Wrócę i sprawdzę, co się tu dzieje. Jeśli w mieście nie będzie spokoju, policzę się z tobą.


- Po tych wszystkich latach zakładam, że to wyzwanie?

- Poszczęściło ci się - rzucił Grason, odwrócił się i wyszedł z saloonu.

Nie lubił mieszać się do cudzych spraw, ale coś mu mówiło, że Kasey będzie miała kłopoty. Ktoś w rodzaju Tate'a mógł ją dopaść. Na samą myśl o tym poczuł, że do ust napływa mu gorzyc. Ta dziewczyna miała szczęście, że pojechała w kierunku, w którym i on się udawał. W przeciwnym razie nie traciłby czasu na to, by ją ostrzegać.

Chciał mieć Eagle'a Clarka tylko dla siebie. Nie zamierzał się nim dzielić z żadnym łowcą nagród.

3



Velvet mknęła przed siebie bez zmęczenia. Kasey zdawała sobie sprawę, że do następnego miasta zostało jeszcze sporo drogi. Od czasu do czasu zatrzymywała się i przyglądała okolicy przez lornetkę, sprawdzając, czy nikt za nią nie jedzie. Wiedziała, jakie niebezpieczeństwo grozi podróżującej samotnie kobiecie. Niektórzy mężczyźni z miasteczka przyglądali się, jak pakowała nagrodę do juków i odjeżdżała. W tym także jej niezapomniany przeciwnik.

Słońce tkwiło w przestworzach błękitnego nieba niczym płonąca głownia. Kasey jechała w jego palących promieniach, kierując się na wschód. Na horyzoncie we wszystkich kierunkach rozpościerały się góry. Kiedy znalazła się w pobliżu kępy drzew, poczuła, że zmęczone ciało domaga się odpoczynku. Nie mogła sobie na niego pozwolić; dopóki było jasno, musiała jechać.

Na godzinę przed zachodem słońca zatrzymała się i znowu zbadała okolicę. Teren za nią wydawał się czysty, ale z przodu zauważyła powolnie sunący wóz w jaskrawych kolorach. Przypomniła sobie, że widziała go w mieście.

Tuż przed zmrokiem dogoniła żółto-czerwony wóz handlarza, obwieszony rondlami, patelniami i rynienkami. Jego właściciel

siedział na stołeczku i grzał się w ciepłe ogniska, trzymając na kolanach strzelbę z długą lufą.

Pośród nie kończących się pustych terenów wydawał się bardzo mały i samotny. Kasey zawahała się; może powinna się zatrzymać i go zagadnąć? Na pewno często podróżował z miasta do miasta. Może zna krótszą drogę do Bozeman?

Podjęła decyzję i zatrzymała się.

- Dobry wieczór - powiedziała, zsunąwszy kapelusz na plecy. Wieczorny wietrzyk owiał jej głowę chłodnym podmuchem.

Handlarz nie wstał z miejsca; spojrzął na nią, mrużąc oczy, i skinął głową.

- Zbliży się, czy nie służą mi już tak dobrze jak kiedyś, mimo tych złotych okularów. Nazywam się Dinker. A ty? - Długa siwiejąca broda trzęsła się przy każdym ruchu.

- Kasey - odpowiedziała i pokierowała konia o parę kroków dalej.

- Brzmi jak imię dla chłopca.

- Pewnie tak- przyznała, zastanawiając się, dlaczego nie odstawił strzelby, choć musiał już wiedzieć, że nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Siary miał na sobie koszulę i brązowe spodnie, czyste, lecz znoszone. Wygnieciony zrudziały kapelusz z pewnością pamiętał lepsze dni, ale był opasany przepiękną indiańską plecionką z paciorków. Na palenisku gotował się bulgoczący kociołek, a na skale w pobliżu ognia stał mały piecyk.

- Co taka wystrojona dziewczyna robi w samym środku tej dziczy?

- Jadę do Bozeman.

Dinker zsunął z czoła kapelusz i podrapał się po głowie.

- To szmat drogi stąd. Pewnie masz jakieś ważne interesy, skoro podróżujesz o tak późnej porze.

- Tak, są ważne.

- Uciekłaś od ojca, co?

Gdybyż ten staruch wiedział, jak bardzo zbliżył się do prawdy. Ojciec umarł przed trzema laty, a ona ciągle od niego uciekała.

- Nie. Jestem już dość dorosła, żeby żyć na własny rachunek.
- Nie jestem aż tak ślepy, panienko. Widzę, żeś jeszcze nie skończyła dwudziestki.

- W tym roku skończę - mruknęła. Jego wścibstwo zaczęło ją denerwować.

- No, zsiadajże z tego konia. Podzielę się z tobą kolacją. I tak zaraz zacznie zmierzchać.

- Nie mogę zostać. Miałam nadzieję, że powiesz mi, czy do Bozeman jest krótsza droga. Na mojej mapie nie widać żadnych skrótów.

- Może i jest, ale nie dotrzesz przed zmrokiem. Dotrzymaj mi towarzystwa.

Ciepło ogniska i zapach gotowanej stawy omal jej nie skusiły, ale nie mogła zapomnieć, że Mae Anderson rozpaczliwie pragnie zobaczyć starszą córkę. Kasey zdobyła już pieniądze na wynajęcie tropiciela śladów. Nie mogła rezygnować.

- Dziękuję, ale muszę ruszać dalej.

Dinker wstał, nie wypuszczając strzelby z rąk. Velvet parsknęła i drgnęła, spłoszona jego nagłym ruchem. Kasey poklepała ją po szyi.

- Nie możesz jechać po ciemku, wszędzie pełno niebezpieczeństw - powiedział handlarz. - A jeśli twoja klacz złamie nogę w jakiejś dziurze?

- Po zmroku będę jechać wolniej.

- Widzę, że cię nie przekonam. Jakieś dwie godziny drogi stąd jest strumień. To dobre miejsce, jeśli chce się napić konia i rozbić obóz. Niedaleko stąd zobaczysz wzgórze po prawej, wygląda całkiem jak kapelusz Chińczyka. Zjedziesz na lewo od niego i znajdziesz się na tym samym szlaku, ale skrócisz sobie drogę o godzinę.

Kasey włożyła kapelusz.

- Bardzo dziękuję za informację - rzekła, po czym dodała, choć właściwie nie powinna: - Powinieneś mieć psa, dotrzymałby ci towarzystwa.

W oczach starego człowieka załśniły łzy.

- Miałem już psa. Żaden inny mi go nie zastąpi.

Poczuła bolesne drgnienie w sercu; przypomniała sobie matkę, niezbyt silną, łagodną i cichą kobietę, która nigdy nie potrafiła o siebie zadbać. Może to dlatego ojciec uparł się, żeby obie córki potrafiły robić wszystko to, co mężczyźni, tylko lepiej. Może nie chciał, żeby były tak bezbronne jak matka.

Dinker nasadził kapelusz mocniej na głowę.

- Jeśli znajdziesz się w kłopotach, wystrzel z tej armaty. Usłyszę i przybędę na pomoc.

Zawał się słaby wiatr, a słońce zaczęło chylić się ku horyzontowi.

- Nie martw się o mnie, nic mi nie będzie- uspokoiła go dziewczyna.

- Martwię się o ciebie. Po okolicy włączy się mnóstwo łobuzów.

Uśmiechnęła się i skinęła głową na pożegnanie.

- Poczekaj, mam coś dla ciebie. - Dinker otworzył drewniane drzwi wozu i wszedł pospiesznie do środka.

Kasey nie miała ochoty czekać. Nie chciała, żeby tropiciel odjechał bez niej. Ale kiedy już podjęła decyzję, że odjedzie bez pożegnania, handlarz wyłonił się z mrocznych czeluści swego pojazdu i zszedł po schodkach. Wyciągnął do niej złożone dłonie.

- Masz. Sprzedaję je kobietom, ale komuś, kto się tak spieszy, oddam za darmo.

Na jej ręce spoczęły trzy laseczki lukrecji. Chciała powiedzieć, że powinien je sprzedać w mieście, ale spojrzała w zamglone starością oczy i zrozumiała, że to by go zabolalo.

- Dziękuję - powiedziała, uśmiechając się. - Będę się nimi zajadać podczas jazdy.

- Nie zapomnij: jeśli będziesz mnie potrzebować, wypal z broni.

Skinęła głową, choć wiedziała, że za parę minut odjedzie tak daleko, że stary jej nie usłyszy.

Delikatnie przycisnęła boki Velvet i ruszyła. Po paru kilomet-

rach zatrzymała się znowu, żeby po raz ostatni przyjrzeć się okolicy. Wydawało jej się, że jest sama... dopóki nie spojrzała na zachód od miejsca, w którym obozował wędrowny handlarz.

Zauważyła jakiś ruch.

Serce zabiło jej mocniej, gdy ujrzała samotnego jeźdźca. Strach zaczął ją uwierać jak mały kamyczek, drobny, ale nieznośny. Usiłowała przemówić sobie do rozsądku. Ten człowiek na pewno jej nie ścigał, mogła się zatrzymać i zaczekać, aż ją wyprzedzi, ale przecież nie miała czasu do stracenia.

Zacisnęła dłonie na wodzach. Jeśli będzie tak strachliwa nigdy nie zdobędzie się na to, co powinna zrobić. Musiał odsunąć od siebie lęk i postępować zgodnie z planem. Sięgnęła po kolta. Dobrze wiedziała, co robić, jeśli się okaże, że nieznajomy szuka kłopotów.

Włożyła cukierek do ust, by zagłuszyć jakoś głód.

Zmrok zapadł zbyt szybko; różowa poświata na zachodzie znikła, a na niebie ukazał się wąski sierp księżyca, rozpraszający ciemności. Powoli rozbłysły gwiazdy.

W letnim powietrzu unosił się chłodny powiew. Kiedy Kasey dotarła do strumienia, o którym mówił Dinker, zdjęła odświętne ubranie i przebrała się w zwyczajną brązową spódnicę i białą bluzkę z długimi rękawami. Włożyła obszytą frędzlami kurtkę, napełniła wodą manierkę i ruszyła dalej. Od czasu do czasu zatrzymywała się i nasłuchiwała. Po jakimś czasie odnalazła wzgórze.

Nie wiedziała, ile godzin jechała, czuła tylko, że oczy same się jej zamykają. Powinna się zatrzymać i odpocząć, w przeciwnym razie zaśnie na grzbiecie Velvet. W słabym świetle księżyca widziała, że drugi brzeg kolejnego strumienia jest odgradzony szeregiem wielkich głazów. Było to wymarzone miejsce na rozbiecie obozu, a przy okazji mogła się przekonać, czy tajemnicza jeździec ją ściga. Ognisko powinno go zwabić.

Przemierzyła strumień wpływ i zeskokczyła z konia. Otoczyły ją odgłosy nocy. Zbierając chrust na ognisko, Kasey nasłuchiwała szumu wody, szelestu liści i chrobotania ocierających się o siebie gałęzi.

Postanowiła, że nie rozkiełzna Velvet na wypadek, gdyby musiała szybko uciekać, ale zdjęła z niej juki i zwinięty koc. Napelniła garnek wodą, dorzuciła szczyptę liści herbaty, po czym postawiła go na ogniu. Czekając, aż herbata się zaparzy, ZJADŁA twardego suchara i pasek suszonej wołowiny. Następnie starannie ułożyła juki na ziemi, tak by nadać im kształt leżącej sylwetki. Przykryła je kocem. Naładowała rewolwer i sprawdziła, czy ma zapas nabojęw. Nalawszy sobie kubek ciepłej herbaty, zdjęła przytroczoną do siodła strzelbę i przykucnęła za największym głazem. Jeśli jeździec podążał za nią, wkrótce powinien się zbliżyć do obozu.

Po pewnym czasie Kasey usiadła na ziemi i umościła się nieco wygodniej. Piski nocnych zwierząt i bzykanie owadów mieszały się z traskaniem ognia i parsaniem Velvet.

I choć starała się robić dobrą minę, mimo woli zaczęła powtarzać szeptem:

- Nie będę się bać. Nie będę się bać...

Od zimnego nocnego wiatru całe jej ciało pokryło się gęsią skórką. Wypiła herbatę do ostatniej kropli, a ogień zaczął powoli gasnąć. Nie wiedziała, która może być godzina, ale miała nadzieję, że wkrótce zacznie świtać. W dzień obliczała czas, obserwując położenie słońca na niebie; w nocy mogła tylko czekać.

Siedziała z rewolwerem w dłoni i strzelbą na kolanach. Powoli oparła policzek o zimny głaz i zamknęła oczy.

Obudził ją trzask gałązki. Poderwała głowę i rozejrzała się. Niebo na horyzoncie się zaróżowiło; świtało.

Położyła palec na spuście kolta i ostrożnie wychyliła się zza głazu. Obrzuciła spojrzeniem zaimprovizowany obóz.

Ciemna sylweta mężczyzny majaczyła w pobliżu ogniska. Kasey wstrzymała oddech, uniosła ramię, wycelowała i prze-strzeliła czubek kapelusza obcego.

- Szlag!

Rozpoznała ten głos; to był Grason Spencer. Wyszła zza kamienia, celując prosto w jego serce.

- Co ty wyprawiasz, do cholery? - spytał, spoglądając na nią z wściekłością.

- To zależy od tego, co chcesz zrobić.

- Omal nie odstrzeliłaś mi głowy!

Kasey stanęła tuż przed intruzem.

- Gdybym chciała cię zabić, już bym to zrobiła.

Nie powinna się dziwić, że za nią pojechał; chciał wygrać te pieniądze, podobnie jak ona. Mimo to była zaskoczona. Nie wiadomo dlaczego, uznała, że jest inny niż reszta uczestników konkursu. Wydawało jej się, że nagrodę przyjąłby tylko wtedy gdyby wygrał ją uczciwie.

- Nikt ci nie mówił, że najpierw trzeba pytać, a dopiero później strzelać? - spytał.

- To dobry sposób, żeby dać się zastrzelić.

- Pomówimy inaczej, jak tylko uda mi się złapać cię za ten śliczny karczek.

- Rzuć broń, bo odeślę cię do pana Boga - ostrzegła Kasey.¹

- Nigdy nie ufam przeciwnikowi.

Dziewczyna rozpoznała własne słowa.

- To mój obóz - oświadczyła, przytrzymując dłoń, w której trzymała kolta, drugą ręką. - Jesteś tu intruzem. Ręce do góry bo przedziurawię ci coś więcej niż kapelusz.

Grason zaklął pod nosem, delikatnie wyjął broń z kabury i położył ją na ziemi.

- Dobrze, teraz jestem bezbronny - rzekł, unosząc ręce.

Możesz już odłożyć ten rewolwer.

- Nie mogę. Nie mówisz mi tego, co chcę usłyszeć. - Zbliżyła się do niego o krok. - Powiedz, dlaczego za mną jechałeś?

- Chciałem uratować ci życie, ale właśnie zmieniłem zdanie.

Kasey poczuła zimny dreszcz.

- Co to znaczy? Czy śledzi mnie ktoś jeszcze?

- Jeśli do tej pory nikt za tobą nie ruszył, wkrótce się to stanie, chyba że postanowisz prysnąć z Montany gdzie pieprz rośnie.

- Nie rozumiem. Na razie tylko ty uznałeś za stosowne wdrzeć się do mojego obozu.

Grason sięgnął do kieszeni, na co dziewczyna wycelowała w niego rewolwer.

- Nie ekscytuj się tak, do cholery. Nie mam drugiego kolta, tylko to. - Wyjął z kieszeni kamizelki złożony arkusz, rozprostował go i powoli wyciągnął w stronę Kasey. Wzięła papier, nie spuszczać oczu z Grasona, i wycofała się o parę kroków.

Spojrzała na plakat; pierwsze światło dnia padało na wyświechtaną kartkę. Wydała cichy okrzyk, gdy zobaczyła własną podobiznę w towarzystwie Eagle'a Clarka i trzech innych członków jego gangu. To musiał być wizerunek jej siostry, ale malarz przedstawił Jean młodszą i łagodniejszą. Kasey wydawało się, że słowa "poszukiwani żywi lub martwi" płoną ogniem.

- Nie... szepnęła. - To niemożliwe... - Spojrzała na Grasona. Myślałeś... To nie ja. Przysięgam, to nie ja.

Jednym błyskawicznym ruchem chwycił dziewczynę za nadgarstki i wytrącił jej z ręki rewolwer, zanim zdołała oprzytomnieć. Złapał ją za obie dłonie, po czym wykręcił je za plecami.

- Ty oszuście, ty... niedźwiedziu! Puść mnie! - Szarpnęła się w jego miażdżącym chwycie.

Grason przyciągnął ją do siebie; palce jak ze stali wbiły się w jej ciało jak szpony.

- Stój spokojnie, ty diabelskie nasienie- rzucił. - Nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Niech cię, puszczał!

Chmurne, ciemne oczy zajrzały jej w głąb serca.

-Jesteś niebezpieczna. Powinienem wyrzucić ten śliczny rewolwerek do rzeki za to, że chciałaś mnie zastrzelić.

Kasey przeszył lodowaty dreszcz strachu.

- Nie! Z całej siły nastąpiła mu na stopę.

- Przestań, do cholery, zanim mi coś...

Zdołała oswobodzić jedną rękę i grzmotnęła go w skroń, po czym zerwała się do ucieczki, ale on przytrzymał jej drugą dłoń i szarpnął.

Walczyła ze wszystkich sił, usiłując go kopać po goleniach. Wiła się jak piskorz próbując mu się wymknąć.

- Nie ruszaj się. - Przyciągnął ją ku sobie i przycisnął ramieniem jej klatkę piersiową.

- Niech to, ty gorylu, puszczaj! - krzyczała Kasey.

Nagle spełnił jej żądanie; runęła głową naprzód, ale w ostatniej chwili podparła się ręką. Natychmiast się podniosła, pieniąc się z wściekłości. Omal nie pękła ze złości na samą siebie. Jak mogła tak się dać zaskoczyć, jak mogła stracić broń?

Grason przyglądał się jej uważnie; jeszcze nigdy nie widział tak rozwścieczonej kobiety. Jej policzki zaalały się szkarłatem, oczy były pełne strachu i gniewu. Niebawale pociągająca kombinacja.

- Uspokój się, nie chcę cię skrzywdzić.

- I dlatego zabrałeś mi broń?

- Zabrałem ją, bo się bałem, że zrobisz coś głupiego. Na przykład, rozwalisz mi głowę.

Kasey spojrzała na niego z niedowierzaniem; jej pierś falowała, unoszona niespokojnym oddechem.

- Jeszcze nigdy nie postąpiłam nierozważnie z bronią. Nie mam zwyczaju pudłować.

Grason zauważył, że dziewczyna drży, choć starała się to ukryć. Nie chciał jej przestraszyć, ale sama go sprowokowała.

- Pamiętam - rzekł.

- Żałuję, że nie strzeliłam ci prosto w serce.

- Aleś ty drapieżna, nie ma co.

- Muszę się bronić, jeśli ktoś wdiera się do mojego obozu - oświadczyła Kasey.

- Rzeczywiście. Mój nowy stetson jest do wyrzucenia.

- I dobrze.

- Powinienem cię zmusić, żebyś za niego zapłaciła - rzekł Grason. - Jesteś teraz bogata.

- Aha! Wiedziałam. Wreszcie się okazało, dlaczego za mną jedziesz. Chodzi ci o nagrodę!

- Nie, do cholery. Przyszło mi tylko do głowy, że trzeba cię ostrzec. - W jego głosie brzmiała tłumiona złość.

- Nie wmawiaj mi takich kłamstw. Chciałeś ukraść moje sto

dolarów, a na dodatek dostać za mnie nagrodę. - Machnęła mu przed nosem obwieszczeniem.

- Jeszcze nigdy nie zniżyłem się do kradzieży i nie lubię, kiedy się mnie o coś takiego oskarża.

Był na siebie wściekły. Dlaczego sobie ubzdurał, że ta dziewczyna może potrzebować jego pomocy? Jak się okazało, to raczej on powinien mieć ochronę, głównie przed nią. Doświadczenia życiowe nauczyły go, że kobiety same potrafią o siebie zadbać; jedna przestrzeliła mu ramię, druga zerwała zaręczyny. Czego mu jeszcze trzeba, żeby w to uwierzył?

Wschodzące słońce budziło w oczach Kasey zielone błyski. Przesząpiła z nogi na nogę, jakby chciała zerwać się do ucieczki. Taka silna, inteligentna kobieta, dręczona zwątpieniem, niepewnością i strachem. Najbardziej pociągająca dziewczyna, jaką spotkał w życiu. A jednak nie miał czasu interesować się nią i jej problemami.

- Nie chcę twojej cholерnej nagrody - powtórzył, wyciągając ku niej broń. - Zabierz to. Chciałem ci pokazać obwieszczenie, dlatego tu przyjechałem. Całkiem niesłusznie, sądząc po twojej reakcji.

Kasey wzięła ostrożnie rewolwer, ale nie schowała go do kabury. Grason zaczął się już obawiać, że jednak do niego strzeli.

- Skąd miałam wiedzieć? - Jej głos brzmiał o wiele łagodniej.

- Nie pozwoliłaś mi się nawet odezwać - rzekł, rozluźniając napięte mięśnie.

- Byłam... - Urwała; jej oczy błysnęły.

- Przestraszona?

- Skąd - rzuciła natychmiast. - Tylko ostrożna.

Grason nie zamierzał się z nią sprzeczać, i tak zmarnował na tę dziewczynę zbyt wiele czasu.

- Jedź w swoją stronę. - powiedział. - Ja zabieram broń i... - Nie dokończył, bo tuż koło jego ucha gwizdnęła kula i zaryła się w ziemi u stóp Kasey.

Dziewczyna podskoczyła.

- Niech to szlag! - zaklął Grason.

Zza skały wyłonił się Tate; mierzył prosto w Kasey.

- Rzuć broń! - krzyknął do niej.

Grason rzucił okiem na dziewczynę; przez jej twarz przemknął wyraz zmieszania, a potem buntu. Zdecydowanie była zbyt opanowana. To nie wyjdzie jej na dobre - uznał. Nie odwróciła wzroku od Tate'a. Nie zamierzała się poddać.

- Rób, co on każe - poradził.

- Nie zamierzam...

- Zrób to i nie otwieraj buzi, bo nie zobaczysz już następnego wschodu słońca - ostrzegł ją Grason.



Ojciec nauczył ją przede wszystkim szacunku do broni - zwłaszcza jeśli jest w nią wycelowana. Ale dopiero poważna nuta w głosie Grasona sprawiła, że Kasey powoli położyła rewolwer na ziemi i cofnęła się o krok.

- Tak już lepiej - powiedział jeździec, zbliżając się wraz z koniem do obozu. Trzymał strzelbę w pogotowiu.

Kasey spojrzała na Grasona.

- Mam nadzieję, że poradziłeś mi dobrze.

- Wkrótce się przekonamy. - Stał pomiędzy Kasey i Tate'em; ręce trzymał swobodnie opuszczone wzdłuż boków. - Słuchaj, Tate, nie podoba mi się, że wkroczyłeś na teren mojego obozu.

- A czego się spodziewałeś? Wydawało mi się, że ta dziewczyna cię pokonała.

- Opanowałem sytuację.

Tate parsknął pogardliwie.

Kasey przysłuchiwała się im, usiłując się zdobyć na odrobinę spokoju. Na pewno nic jej nie groziło, skoro ci mężczyźni się znali. Ale dlaczego ten obcy nie opuścił strzelby?

- Nie wiedziałem, że jesteś łowcą nagród, szeryfie.

- Nie pytałeś. - Grason podszedł bliżej. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Kiedy ci pokazywałem obwieszczenie, nie przyszło mi do głowy, że mi zwiniesz nagrodę.

- Nie musiałem ci mówić, że już byłem na jej tropie.

- Akurat. Miałeś ją przed nosem przez kilka godzin, tak mówili ludzie w miasteczku. Mogłeś ją aresztować w Ransom.

Kasey stała z gardłem ściśniętym z emocji. Grason miał rację; łowcy nagród poszukiwali jej, ponieważ uważali ją za Jean.

Czy siostra wiedziała, że wyznaczono za nią nagrodę? Czy zdawała sobie sprawę, że jej podobizna znajduje się w każdym mieście w tym stanie? W głowie Kasey zaczęło szumieć. W co ta Jean się wpakowała? I w co wciągnęła ją, własną siostrę?

Myśleć, myśleć - nakazywała sobie w duchu. Musiała myśleć, choć cała zeszytywniała ze strachu. Powinna się dostać do Bozeman. Im szybciej porozumie się z tropicielem, tym szybciej znajdzie Jean, pomoże jej wydostać się z kłopotów i zabierze ją do domu. Nie było czasu na strach. Nie było czasu na spory z Grasonem i tym łowcą nagród.

- Nie- szepnęła do siebie. Nie pozwoli, żeby strach ją opanował. Ojciec powiedział, że poradzi sobie w każdej sytuacji, jeśli tylko zdoła zapanować nad emocjami. Musiała powoli oddychać i dobrze się zastanowić.

- Robię to, co mi się podoba - powiedział Grason.

- Ja też — odparł Tate, żując tytoń. - I nie podoba mi się, że wtykasz nos w moje sprawy. - Wycelował strzelbę w jego stronę. - Wsiadaj na konia i zjeżdżaj stąd. Ona jest moja.

Kasey z trudem oddychała. Nie chciała, żeby Grason zostawił ją z tym grubiańskim łowcą nagród. Skoro zrozumiał, że nie jest kobietą z obwieszczenia, może zdoła przekonać o tym tego drugiego.

Wyszła zza pleców Grasona i spojrzała Tate'owi w oczy.

- Skoro mówicie o mnie, pewnie mam prawo przemówić. - Zerknęła przelotnie na Grasona; jego mina nie wyrażała zachwyty,

odchrząknęła więc i ciągnęła: - Jeśli chodzi o to obwieszczenie, on już mi je pokazał. -Uniosła wyświechtany skrawek papieru. - Zapewniłam go, że nie jestem tą kobietą.

Tate patrzył na nią nieruchomym, mrocznym wzrokiem.

- Mnie to nie obchodzi. Wyglądasz jak ona, a to wystarczy, żebym dostał nagrodę. Tylko na tym mi zależy, chyba że Grason ma ochotę wpakować się w kłopoty.

Była coraz bardziej przerażona.

- Nie mówisz poważnie - zdołała wykrztusić przez zaschnięte gardło.

- Jak najpoważniej.

- Zostaw ją, Tate. Jest moja.

- Już nie.

- Chyba nie chcesz zrobić sobie ze mnie wroga - rzekł Grason, robiąc krok do przodu.

Tate strzelił. Kula zaryła się w ziemię, dziewczyna podskoczyła.

- Do licha, Tate! - zirytował się Grason. - Przestań, bo jeszcze zrobisz komuś krzywdę. Nie mamy broni.

Łowca nagród wybuchnął głośnym rechotem. W ogorzałej twarzy błysnęły dwa rzędy zażółconych zębów.

- Nie odzywaj się - powiedział dziewczynie Grason, przysuwając się do niej.

- Dlaczego? On chce, żebym z nim pojechała. Uważa, że jestem poszukiwana.

- Dla niego jesteś. - Grason spojrzał znowu na Tate'a. - Ona jest moja. Pierwszy ją znalazłem. Zmywaj się stąd.

- Liczy się tylko to, kto ją przywiezie. I to będę ja, jak mi się zdaje. - Łowca nagród znowu zarechotał. - Nigdy się nie sprawdzisz w tej robocie, szeryfie. Lepiej wracaj na swoją stronę, zanim nauczę cię tego i owego.

- Łowcy nagród i szeryfowie stoją po tej samej stronie.

- Skoro tak ci się zdaje, tym bardziej nigdy nie będziesz w tym dobry. Wsiadaj na konia i zjedź mi z oczu. Ona pojedzie ze mną.

Kasey uświadomiła sobie, że musi zapomnieć o strachu, i podeszła do Tate'a.

- Przysięgam, że nie jestem kobietą, której szukasz - oznajmiła. - Przez większość życia mieszkałam w Tanner w Wyoming. Jeśli mnie zawieszysz do szeryfa, jeden telegram wyjaśni całe nieporozumienie.

Tate z udawaną kurtuazją dotknął ronda wyświechtanego kapelusza.

- Dzięki, żeś mnie uprzedziła. Zastrzelę cię, zanim dojedziemy do miasta, i nikt się nie dowie.

- To by było bardzo głupie. - Dziewczyna uniosła hardo brodę. - Mówię, że nie jestem tą kobietą. Koniecznie muszę dotrzeć do Bozeman przed zachodem słońca. Ktoś na mnie czeka.

- Chyba oszalałaś. Zabieram cię do szeryfa, żywą albo martwą. Mnie tam wszystko jedno.

Jego oczy zdradzały, że mówi szczerą prawdę. Kasey nie miała wątpliwości, że dla pieniędzy potrafiłby zabić.

Zwróciła się do Grasona, rozpaczliwie szukając ratunku.

- Powiedz mu, że to nie ja!

Ich oczy spotkały się na chwilę. Grason poruszył się niespokojnie.

- Nie mogę. Nie jestem tego pewien.

Drżenie całego ciała stało się jeszcze silniejsze; mocno zacisnęła powieki. Sądziła, że przynajmniej on jej wierzy, oddał przecież jej broń. Jak mogła być tak naiwna? Poczowała wściekłość na samą siebie.

Tate znowu poruszył strzelbą.

- Przestała mi się podobać ta zabawa, szeryfie. Wsiadaj na konia, wyciągnij strzelbę z buta i rzuć ją razem z rewolwerem. To pewnie twoje pierwsze polowanie. Udzielę ci lekcji: nie ufaj nikomu.

- Tym razem ci się udało, ale nie próbuj znowu wchodzić mi w drogę. - Głos Grasona tchnął lodowatym zimnem.

Na twarzy Tate'a rozlał się sadystyczny uśmiešek.

- Nie boję się ciebie - powiedział, strzyknąwszy brązową śliną. - Wynoś się, zanim zmienię zdanie i ciebie także zastrzelę.
- Rób, co ci każe, a może nie zrobi ci krzywdy - rzekł Grason, przechodząc koło Kasey.

Chwyliła go za ramię i spojrzała mu w oczy. Ich mroczny wyraz przejął ją lękiem, ale o wiele bardziej bała się zostać z Tate'em.

- Niech to, chyba mnie z nim nie zostawisz, co? Przed chwilą groził, że mnie zabije.

Grason wzruszył ramionami.

- Wolałbym wziąć za ciebie nagrodę, ale to on ma broń. Puściła go i cofnęła się gwałtownie, jakby się sparzyła.

Spiorunowała go wrogim spojrzeniem zwężonych oczu.

- Ty podstępny tchórz! Wcale nie chciałeś mnie uwolnić! - Głos jej drżał. - A ja ci uwierzyłam!

Odpowiedział tym buńczucznym uśmiechem, który kiedyś się jej podobał, podniósł kapelusz z ziemi i włożył palec w dziurę po kuli.

- Nie zapomnę o tobie - obiecał i podszedł do swojego konia. Ciągle nie mogła uwierzyć, że odjedzie i zostawi ją z tym strasznym człowiekiem. Nie wierzyła nawet wtedy, kiedy znalazł się już w siodle.

- Ja też o tobie nie zapomnę! - zawołała gorzko.

Odjechał na wschód, w tym samym kierunku, w którym i ona rozpaczliwie pragnęła się udać.

- Słyszałem, że wygrałaś - odezwał się Tate. - I wyjechałaś, jakbyś Boga się nie bała. - Zachichotał, nie przerywając zucia.

Kasey zacisnęła pięści, widząc jego poźółkłe zęby. Nie wolno wpadać w panikę - napominała się. Nigdy nie uwolni się od tego padalca, nigdy nie odnajdzie Jean, jeśli da się ponieść emocjom i przestanie myśleć. Nie mogła zawieść matki.

- Zdaje się, że mam dziś szczęście - odezwał się łowca nagród.

- Nie, to ja mam pecha - mruknęła do siebie, przypominając sobie niedawną rozmowę z Grasonem.

- No to w drogę.

- Czy mogę spakować moje rzeczy? - spytała dziewczyna.
- Aha. A przy okazji możesz mi oddać nagrodę. Tylko bez sztuczek. Nie lubię widoku krwi z rana, ale jak mus, to mus.

Kasey podała mu swoje juki, a on zarzucił je na grzbiet konia. Z ciężkim sercem uklękła i zaczęła zwijać koc, wsłuchując się w oddalający się tętent konia Grasona. Nie, nie mogła uwierzyć, że były szeryf naprawdę zostawił ją na łasce tego wynajętego zabójcy.

Grason był przedstawicielem prawa. Jak mógł ją opuścić? Oczywiście - pomyślała z goryczą - po prostu go nie obchodziła. Znowu ożyły stare lęki, już sądziła, że z nich wyrosła. Bolesne wspomnienia. Ojciec też by jej nie potrzebował, gdyby nie zdołała towarzyszyć mu na pokazach. Skoro Grason nie mógł dostać za nią pieniędzy, nie widział potrzeby, żeby dalej zaprzętać sobie głowę jej losem.

Przycisnęła do piersi koc i worek z prowiantem i podeszła do konia. Dlaczego czuła się tak, jakby ją zdradził? Prawie go nie знаła, nie miała powodu czegoś się po nim spodziewać, a jednak...

Kiedy wsiadła na konia, przekonała się, że były szeryf prawie zniknął już za horyzontem. Wzięła głęboki oddech i odchrząknęła. Odsunęła od siebie emocje i zaczęła się zastanawiać, jak wybrnąć z tych nowych kłopotów, w których niespodziewanie się znalazła. Teraz najważniejszym problemem było uratowanie życia i ucieczka.

Poradzi sobie bez Grasona Spencera. Znajdzie sposób, żeby przechytrzyć tego łowcę nagród, tak jak przechytrzyła byłego szeryfa. Musiała odnaleźć siostrę i nie pozwoli, żeby ten nie-wydarzony łowca nagród stanął jej na drodze.

Wzdrygnęła się, kiedy Tate skuł ją kajdankami, i poczuła jeszcze silniejszą determinację. Ucieknie temu bandycie i ruszy w dalszą drogę.

W południe jej nadgarstki były już otarte i spuchnięte. Tate nie pozwolił jej trzymać za wodze, sam poprowadził mustanga dziewczyny. Kiedy zaproponowała, żeby nie jechać do Butte, tylko do bliżej położonego Bozeman, uderzył ją w twarz i za-

powiedział, że on tu rządzi. Szczęka bolała ją do tej pory. Coś jej mówiło, że szeryf Butte jest przyjacielem łowcy nagród i nie będzie zbyt szczegółowo sprawdzać jej tożsamości.

Była zmęczona, ale postanowiła się nie poddawać. Nie mogła zrezygnować z nadziei.

Slina wymieszana z tytoniowym sokiem bluznęła tuż obok niej. Kasey odchyliła się z obrzydzeniem. Rozpalone słońce stało wysoko na niebie, rażąc bezlitosnymi promieniami jej szyję i ramiona. Jechała w otepieniu, wpatrując się w plecy mężczyzny, na którego towarzystwo na razie była skazana, i planując ucieczkę.

Trochę to potrwało, ale w końcu zdecydowała się na pewien plan. Kiedy się zatrzymają, Tate będzie musiał rozpiąć jej kajdanki, żeby mogła udać się za potrzebą. Kiedy będzie chciał ją znowu skuć, weźmie garść ziemi i rzuci mu ją w twarz. Zanim zdoła oczyścić oczy, ona ucieknie i nie pozwoli mu się dogonić.

Ale kiedy w południe dojeżdżali do wezbranego strumienia, nagle olśnił ją inny pomysł. W miarę zbliżania się do rwącej wody zaczęła się wahać. Potrafiła znakomicie jeździć konno, o to zadbał ojciec. Niestety, nie nauczył jej pływać.

Co się stanie, jeśli wpadnie do wody? Czy zdoła się uratować? Tak. Oczywiście. Ten łowca nagród przerazał ją bardziej niż niebezpieczna kipiela.

Przypomniała sobie słowa ojca. „Nauczyłem cię walczyć i nie przegrywać. Posłuchaj. Trzymaj wodze krótko. Kolana ściśnięte. Niech koń wie, że to ty nim kierujesz. Jeśli tylko poczuje, że się poddałaś, zrzuci cię z grzbietu”.

Zatrzymali się na brzegu strumienia. W rwącym nurcie kryły się zdradzieckie wiry. Kasey poczuła, że coś się w niej zaciska. Musiała to zrobić. Matka liczyła na to, że odzyska Jean, a skoro ta była poszukiwana, należało działać szybko.

Kasey przełknęła ślinę i zwróciła się do łowcy nagród:

- Musisz mnie rozkuć. - Starła się, żeby jej głos drżał.

Tate musiał zauważyć jej strach; spojrzał na nią spode łba i pokręcił głową.

- Nie, nic ci nie będzie. Przeprowadzę cię.

- Po moim trupie - oznajmiła z uporem.
- Boisz się wody? - spytał rechocząc.
- To nie jest śmieszne, ty gadzie.

Śmiech zamarł na ustach Tate'a.

- Śmiałe słowa jak na kobietę w tarapatkach. Na twoim miejscu uważałbym, co mówię.

Kasey ugryzła się w język; to rzeczywiście nie była pora na obrzucanie się obelgami.

- Nie umiem pływać. Jeśli spadnę z konia, stracisz nagrodę, a ja życie.

Mężczyzna znów wyszczerzył zęby.

- Mnie tam bez różnicy. Wyciągnę twojego trupa i pojedę do Butte.

A zatem to na niego nie działało: nie obchodziło go, czy jest przestraszona. Powinna to zauważyć wcześniej.

- Nie sądziłam, że jesteś takim tchórzem. Skoro się boisz młodej kobiety skutej kajdankami i bez broni, proszę bardzo. Możesz mnie przeciągnąć przez tę rzekę.

- Nie boję się żadnej baby - oświadczył łowca nagród, wyrażnie obruszony.

- Udowodnij. Zdejmij mi te bransoletki i oddaj wodze. Nie chcę, żeby to był ostatni dzień mojego życia.

To odniosło skutek. Zauważyła, że Tate się waha, więc dodała czym prędzej:

- Masz przecież moją broń i powiedziałeś wyraźnie, że mnie zabijesz, jeśli będę uciekać. Więc przestań się zachowywać jak tchórz.

- Żadna kobieta mnie nie pokona. - Pochylił się i rozpiął jej kajdanki. - Jeśli spróbujesz uciec, zarżnę cię jak owcę.

Nadgarstki Kasey były czerwone i spuchnięte, a skóra w kilku miejscach otarta do krwi. Chciała rozetrzeć obolałe miejsca, ale dolegliwości jeszcze się spotęgowały.

Weszli w nurt rzeki, ramię w ramię. Rewolwer z perłową rękojeścią tkwił za pasem Tate'a. Kasey wiedziała, że nie może zostawić broni, którą ojciec kazał zrobić specjalnie dla niej.

Odczekała, aż woda sięgnie jej do kolan, po czym zmusiła konia do sztuczki, której nauczył ją ojciec. Klacz skoczyła i wpadła na wierzchowca Tate'a.

Sploszony koń stanął dęba. Twarz łowcy nagród wykrzywił strach, potem gniew. Kasey wychyliła się z siodła i popchnęła go jedną ręką, drugą chwyciła swój rewolwer.

Tate wrzasnął i wpadł do rzeki.

Zacisnęła palce na rękojeści broni, ale właśnie w tym momencie straciła równowagę, i runęła głową naprzód w lodowaty górski strumień.

Kaszłąc i spazmatycznie łapiąc powietrze, zdołała nie wypuścić z ręki wodzy ani rewolweru. Klacz wlokła ją za sobą; rzemienie wrzynały się Kasey w dłoń, ale ścisnęła je z całej siły. Z wysiłkiem uniosła głowę ponad poziom wody.

Tate płynął z trudem ku brzegowi, walcząc z silnym prądem. Mimo huku rzeki słyszała wszystkie przekleństwa, które wykrzykiwał pod jej adresem. Nagle uderzyła biodrem o coś twardego i omal nie wypuściła wodzy. Kątem oka ujrziała, że prąd znosi Tate'a w dół rzeki.

- Nie! -krzyknęła. Wszystko będzie stracone, jeśli nie odzyska pieniędzy.

Kiedy trafiła ramieniem w duży kamień, wypuściła wodze i znowu zanurzyła się w zimnej wodzie. Prąd chwycił ją w lodowaty wir.

Zaczęła się szamotać, nie mogąc złapać tchu. Nie może się utopić! Kto się zajmie jej matką? Kto ostrzeże Jean przed łowcami nagród?

Niespodziewanie coś chwyciło ją za rękę i pociągnęło ku powierzchni. Dziewczyna zakrztusiła się, po czym otworzyła oczy. Na płaskim głazie klęczał Grason. Zalała ją ciepła fala ulgi. Wybawca chwycił ją pod pachy i wyciągnął z wody.

Oparła się o jego ciepłą, suchą pierś, zanosząc się spazmatycznym kaszlem; nogi się pod nią ugiwały. Grason wziął ją na ręce i wyniósł na stały grunt. Przed chwilą była przerażona jak nigdy w życiu, teraz czuła się bezpieczna jak nigdy dotąd.

Zadrzała, choć ciało Grasona promieniowało ciepłem. Przez

głowę przebiegła jej szalona myśl: a może by zostać w jego ramionach na zawsze? Ale po chwili rzeczywistość wróciła z całą wyrazistością. Straciła pieniądze!

Nawet gdyby tropiciel nadal na nią czekał, nie miała czym mu zapłacić. Z jej drżących ust wyrwał się słaby jęk.

- Ty cholerna ryzykantko - sapnął Grason z irytacją, sadzając ją na ziemi. - Mogłaś zginąć i pociągnąć mnie za sobą!

- Ciebie? A tobie co groziło?

- Zamierzałem cię wyłowić z tej rzeki.

- Niech to, czemu cię obchodzi mój los? - Odgarnęła z twarzy mokre kosmyki włosów. Koszula i spódnica okleiły jej ciało.

Na szczęście nie zgubiła przemoczonego stetsona, zwisającego na mocnym rzemieniu. - Zostawiłeś mnie na łasce tego bydlaka.

- Co miałem zrobić? Groził mi bronią.

- Mogłeś ze mną zostać.

- Powiedziałem, że o tobie nie zapomnę. Powinnaś mi uwierzyć. Przez cały dzień jechałem za wami i czekałem na dogodną chwilę, żeby cię uratować.

- Uratować? - powtórzyła podniesionym głosem.

- Tak, panno Zosiu Samosiu. Nie miałem pojęcia, że planujesz coś tak niebezpiecznego. Do głowy by mi nie przyszło, że wrzucisz Tate'a do wody. Trzeba było poczekać, aż ci pomogę.

- Cześć? Mam uwierzyć, że chciałeś mi pomóc, skoro rzuciłeś mnie na pożarcie temu potworowi? Wolne żarty.

Grason zacisnął usta w cienką linijkę.

- Zmęczyło mnie słuchanie tych oskarżeń.

- To dobrze, bo już nie dostaniesz pieniędzy. Straciłam je. - Kasey skuliła się mimowolnie, jak przed ciosem; głos jej się załamał, choć starała się opanować. Otarła usta, ale wargi nadal jej drżały. Miała ochotę się rozpłakać; straciła pieniądze, wszystko, co miała.

Odetchnęła głęboko, odwróciła się od Grasona i spojrzała na burzliwą kibel. Nie chciała zdradzać swojej rozpacz. Zawiodła matkę. Jak mogła tak wszystko zepsuć, choć starała się tym razem zrobić wszystko, jak należy? Jean zdołałaby uciec temu łowcy nagród i na pewno nie straciłaby pieniędzy.

- Później będziesz się ze mną kłócić - odezwał się Grason. - Teraz musimy zdobyć przewagę nad Tate'em. Na ile znam moje szczęście, ten parszywy drań wygramoli się z rzeki i za pół godziny zacznie nam deptać po piętach. - Wziął dziewczynę za ramię i pomógł jej podnieść się z ziemi. - Wsiadaj na konia i w drogę.

Kasey nie chcąc znowu spotkać tego zwyrodnialca, otrząsnęła się z rozpaczy, włożyła rewolwer do kabury, po czym wsiadła na mokrą klacz i ruszyła za Grasonem.

Kiedy się zatrzymali, słońce znajdowało się tuż nad horyzontem. Grason zdołał się po drodze uspokoić. Opanował gniew i przyglądał się Kasey. Jej ubranie zdążyło już wyschnąć, a włosy zmieniły się w burzę złotobrazowych splątanych loków. Ręce same mu się wyciągały, żeby je uładzić. Powieki dziewczyny opadały sennie ze zmęczenia, co nadawało jej niebывale pociągający wygląd. Miała różowe policzki, a wargi delikatne jak płatki róż.

Zauważył to wszystko, kiedy zbierali chrust na ognisko. Gdy rozbili obóz i Kasey osunęła się na ziemię, żeby odpocząć, nagle zrobiło mu się jej żal. Nie powinien być dla niej taki ostry.

- Twoje zapasy utonęły w rzece- powiedział, napełniając garnek wodą i wrzucając do niego trochę kawy. - Będziesz musiała skorzystać z moich.

- Chcę tylko napić się herbaty i iść spać.

- Nie mam herbaty. Będziesz musiała zadowolić się kawą. I nie zaśniesz na czczo. Mam wołowinę i fasolę w puszcze.

Dlaczego jej włosy tak go pociągały? Bo wyglądała, jakby spędziła noc z mężczyzną? Niech to szlag, nie mógł się skupić.

- Z samego rana ruszysz do domu. Tate nie jest jedynym łowcą nagród, który się tobą interesuje.

- Mną? To nie mnie szukają.

- Nie będą się wdawać w subtelnosci, jeśli cię zobaczą. Powrót do domu zajmie ci jakieś trzy dni. Nie zbliżaj się do

miast. Nie mam czasu, żeby ci towarzyszyć i stale wyciągać cię z kłopotów.

- Wyciągać z kłopotów? Mnie? - Kasey podniosła głos. - Niech to, to ty wpakowałeś mnie w kłopoty!

- Ja? Coś takiego. I dlaczego przez cały czas powtarzasz „niech to”? Czemu nie możesz porządnie zakląć?

- Ponieważ, ku zgrozie mego ojca, matka wychowała mnie na damę, a dama nie przeklina.

- Co? - Doprawdy, ta dziewczyna była niewiarygodna. - Przecież to jest początek przekleństwa. Więc w sumie i tak przeklinasz.

- Właśnie że nie i nie wmówisz mi, że jest inaczej - powiedziała, podnosząc się na kolana.

- Jak wolisz. - Grason otworzył puszkę fasoli i ustawił ją przy ogniu, żeby się ogrzała. - Jestem zbyt zmęczony, żeby się z tobą jeszcze kłócić. Nie zbliżaj się do miast w drodze do Wyoming.

- Nie wracam do Wyoming - oświadczyła Kasey.

- Co? Przecież wiesz, że tutaj wszyscy będą cię brali za tę kobietę z bandy. Ja widzę, że jesteście tylko do siebie podobne, ale inni... Dlaczego chcesz się narazić na takie niebezpieczeństwo? - spytał Grason, choć miał wrażenie, że nie chce słyszeć odpowiedzi.

Odgarnęła włosy z twarzy. Jej nadgarstki nadal były czerwone i obolałe. Gniew na Tate'a buchnął w nim mocniej niż płomień ogniska. Gdyby tylko mógł go dostać w swoje ręce!

- Kasey, nie chcę, żeby stała ci się krzywda. Posłuchaj mnie, wracaj prosto do domu i zostań tam, dopóki nie złapię tej kobiety.

W oczach Kasey coś błysnęło.

- Będziesz jej szukać?

- Chcę dopaść cały gang. Powiedziałaś, że jesteś z Tanner w Wyoming. Dam ci znać, kiedy ich złapię, a ty będziesz bezpieczna.

- Oddałeś odznakę, bo chciałeś polować na ludzi za pieniądze? Co z ciebie za człowiek?

Grason zmarszczył czoło. Dlaczego nie rozumiała, że chce jej pomóc? Nigdy nie oszalał z miłości do kobiety, nawet do swojej słodkiej, uległej narzeczonej Madeline, ale ta dziewczyna zalazła mu za skórę jak cierń, i to go wyraźnie niepokoiło.

- Nie muszę się tłumaczyć - rzekł.
- Ani ja. A jutro rano to ja jadę na poszukiwanie tej kobiety.
- Co?!
- Słyszałeś. - Kasey spojrzała mu nieustępliwie w oczy. -

Muszę ją odnaleźć.

- Nie jesteś łowcą nagród! Zaraz, zaraz... - Coś się tu nie zgadzało. Grason wstał i zmierzył swoją towarzyszkę gniewnym spojrzeniem. - Wyoming leży na południe stąd, a ty jechałaś na wschód. Tam, gdzie po raz ostatni widziano bandę Eagle'a. - Zmrużył oczy; coś go wyraźnie zaniepokoiło. - Dlaczego ścigasz tę kobietę? - spytał półgłosem.

- Nie twój interes.

- Chyba mój. Widziałaś obwieszczenie, zanim ci je pokazałem?- Nie do wiary, pozwolił się jej oszukać! Czuł się jak idiota; zataiła przed nim prawdę, on spojrział w jej piękne oczy i od razu uznał, że jest niewinna. - A może jednak jesteś tą poszukiwaną kobietą. Może nie przyjrzałem się jej dobrze tego dnia, kiedy wjechała do Ransom.

Kasey także wstała i stanęła naprzeciwko niego, po drugiej stronie ogniska.

- Jakiego dnia? Nie rozumiem. Nie ścigam tej kobiety, tylko chcę ją odnaleźć.
- Dlaczego? - Znowu podniósł głos. - Niech to szlag, powiedz mi, dokąd jedziesz i po co!
- To nie twój...
- Nie kończ - przerwał jej ostrzegawczo. - To mój interes, jeśli ścigamy tę samą kobietę.
- Dobrze! - wrzasnęła wyprowadzona z równowagi Kasey. - To moja siostra Jean. Eagle Clark uprowadził ją przed dwoma laty. Muszę ją odnaleźć i przywieźć do domu.

- Do domu? Chcesz ją zawieźć do domu? - powtórzył zło-
wieszczo spokojnym tonem. - Po moim trupie.

- Skoro się upierasz... - Sięgnęła po broń.

Grason przesadził ogień jednym skokiem, rzucił się na nią
i zwałił ją na ziemię.



Kasey upadła jak długa; ziemia jęknęła pod nią głucho. Grason przygwoździł ją własnym ciałem, chwycił za nadgarstek jednej ręki, z drugiej wyrwał sześciostrzałowiec i odrzucił go daleko za ognisko.

Jego atak oszołomił Kasey.

- Co robisz, ty bizonie? Zejdź ze mnie!

Spróbowała odepchnąć pierś napastnika, który napierał na nią twardym muskularnym ciałem i coraz bardziej przygniatał ją do ziemi.

Grason przytrzymał jej ręce nad głową; jego mocne palce wbiły się w delikatną skórę. Kiedy dziewczyna szarpnęła się raz i drugi, usiłując się wyrwać, wbił łokcie w jej klatkę piersiową. Niespodziewanie poderwała głowę i grzmotnęła go czołem w szczękę. Jęknął, ale nawet nie drgnął.

Kasey nie mogła dalej walczyć; przez dwa dni prawie nie jadła i nie odpoczywała. Podała się.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ta kobieta jest twoją siostrą? - spytał z wściekłością; jego oczy płonęły gniewem.

Był tak blisko niej, że nie widziała jego twarzy. Jeszcze centymetr i poczułaby dotyk jego szczeciny. Oddychał nieregularnie i chrapliwie, tak jak ona.

- Nie pytałeś. Poza tym sam powinieneś się domyślić, skoro jesteś taki mądry.

Grason uniósł głowę; mimo gęstniejącego mroku, Kasey dostrzegła wściekłość i nieufność, malujące się na jego twarzy. Ciemne oczy patrzyły na nią zimno; a jednak się go nie bała. To brutalne zachowanie tylko ją rozżłościło.

- Tak mi się zdawało, ale skoro nic nie powiedziałaś, uznałem, że rysownika poniosła fantazja.

- To nie twój interes. - Znowu spróbowała wyszarpnąć dłonie z jego miażdżącego uścisku.

Grason uśmiechnął się kątem ust.

- Ciągłe to powtarzasz, weszło ci w nałóg.

- Bo to prawda. Dlaczego uważasz, że masz prawo mnie wypytywać?- Kiedy Kasey jeszcze raz spróbowała z siebie zrzucić napastnika, jej podbrzusze zetknęło się z tą częścią jego ciała, o której starała się nie myśleć. Przeszedł ją przedziwny dreszcz. Reakcja własnego organizmu zdumiała ją i zaniepokoiła. Zignorowała to ciepłe, tkliwe uczucie, które rozlało się po całym jej ciele.

- Pozwól, że wyjaśnię ci parę spraw. Uważam, że kłamiesz. Chcesz znaleźć siostrę i również wstąpić do tej bandy wyrzutków.

Dziewczyna znieruchomiała; wola walki opuściła ją w jednej chwili. Jak mogło mu przyjść do głowy coś tak głupiego? Błagała Jean, żeby nie szła z tym renegatem. A nawet...

- Nie, to nieprawda - szepnęła. Znowu obudził się ból tamtego wspomnienia.

- Więc powiedz mi, jaka jest prawda.

Gniew nie zniknął jeszcze z głosu Grasona, ale ciało się rozluźniło. W wyrazie jego twarzy, w tych ciemnych, chmurnych oczach było coś, co obudziło w Kasey ufność i chęć, by wyznać mu wszystko... wszystko. Ale nie, to było niemożliwe. Lepiej trzymać się wersji, którą ona i matka opowiadały wszystkim od dwóch lat, kiedy Jean odeszła razem z Eagle'em.

- Dobrze - zgodziła się, pognębiona uczuciem, które się

w niej obudziło, oraz wściekłością na siebie. - Zejdź ze mnie. Jesteś ciężki.

- Najpierw mów.

Oblizała wargi i przełknęła z wysiłkiem ślinę. Nie chciała kłamać, ale wiedziała, że musi to zrobić, żeby bronić siostry.

- Eagle porwał Jean z naszego domu w Tanner. - Zauważyła, że Grason zeszywniał, ale pospiesznie ciągnęła: - Szukałyśmy jej od...

- Nie chcę znowu wysłuchiwać tych bzdur.

Grason uniósł się, ale nadal siedział okrakiem na dziewczynie, nie pozwalając jej się podnieść. Zdarł z siebie czarną skórzaną kamizelkę, rzucił ją na ziemię i zaczął rozpinać koszulę.

Kasey wzdrgnęła się ze strachu, gdy rozchylił koszulę, ukazując piersi zarośnięte krótkimi, ciemnymi kędziorami. Twarde mięśnie drgały przy każdym jego oddechu.

- Ccco ro...bisz...?- Prawie nie mogła wydobyć z siebie głosu; nie potrafiła oderwać spojrzenia od jego piersi. To nie do pomyślenia, ale chciała przyjrzeć mu się z bliska.

- Zamierzam ci udowodnić, że przynajmniej jedno z nas mówi prawdę. - Zsunął koszulę z jednego ramienia i pochylił się nad nią. Na jego złotawej skórze lśniła warstewka potu. Oczy błyszcząły mu dziko w półmroku wczesnego wieczoru.

- Widzisz tę bliznę? - Zbliżył ramię do jej twarzy.

Kasey powoli zatrzymała wzrok na miejscu, które jej pokazywał. Wysoko na piersi, tuż przy barku, widniała poszarpana blizna wielkości monety.

- Widzisz to? - powtórzył takim głosem, jakby każde słowo wyrwał sobie z serca.

Skinęła głową, zbyt zdumiona, żeby się odezwać.

- Twoja siostra wpakowała mi tu kulkę.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie... - wykrztusiła. - Nie wierzę. Jean by do ciebie nie strzeliła.

- Zrobiła to. Chciała mnie zabić.

Kasey poderwała się z ziemi i podparła się na łokciach.

- To nieprawda - powiedziała z uporem.
- A właśnie, że prawda. Patrzyła mi prosto w oczy i wystrzeliła. Wiem, że chciała mnie zabić.

- Nie! Nie mogłaby zabić człowieka. Jeśli nawet do ciebie strzeliła, to na pewno nie celowała w serce, tylko w ramię. Nikt nie strzela lepiej od niej. Nikt. - Ostatnie słowo powiedziała niemal niedosłyszalnym szeptem, po czym opadła na ziemię i zacisnęła mocno powieki, obezwładniona nagłym bólem... i widokiem nagiej męskiej piersi. .

O Boże. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że Jean do niego strzeliła. Muszę się trzymać, muszę być silna, powtarzała sobie w duchu. Dla matki. Nie mogła jej powiedzieć, że Jean stała się taka jak mężczyzna, z którym uciekła.

Łzy desperacji napłynęły Kasey do oczu. Nie mogła uwierzyć Grasonowi, dopóki nie porozmawia z Jean.

- Płaczesz? - zdziwił się.

Pokręciła głową i pociągnęła nosem.

- Jesteś ciężki.

- To nie dlatego płaczesz.

Kasey uniosła dumnie głowę i otarła oczy. Twarz Grasona złagodniała, co znowu ją rozzłościło. Pewnie pomyślał, iż uciekła się do łez, żeby zyskać jego współczucie.

- Wcale nie płaczę. Zejdź ze mnie. Połamiesz mi nogi. -

Wciąż pociągała nosem.

Uwolnił ją od swego ciężaru i pomógł usiąść. Naciągnął koszulę na ramię, ale jej nie zapiął; złotobrazowa pierś połyskiwała w świetle ogniska, wabiąc ku sobie spojrzenie dziewczyny. Boże, ratuj. Kasey poczuła, że ma ochotę pogłodzić jego skórę, poczuć jej ciepło i wilgoć. Zatrzepotała powiekami, przejęta zgrozą, i zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Przegrałaś - rzekł. - Tym razem powiesz mi prawdę.

Jeszcze raz otarła oczy i odgarnęła włosy z twarzy. Owszem,

Kasey słyszała, że Jean i gang Eagle'a rabują banki i strzelają do ludzi, ale musiała położyć kres tym plotkom, by uspokoić matkę.

- Koniec z kłamstwami - mówił dalej Grason. - Jeśli powiesz prawdę, zabierzemy się za jedzenie. Wiem, że jesteś zmęczona i głodna.

Jeszcze przed minutą rzeczywiście była głodna, ale teraz chciała tylko zasnąć i odsunąć od siebie przykrą prawdę, którą usiłował jej wmówić ten mężczyzna. Musiała przyjąć do wiadomości straszny fakt, że Jean stała się wyrzutkiem społeczeństwa, że poszukiwano jej żywej lub martwej.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy, więc utkwiała spojrzenie w linii horyzontu. Zmrok gęstniał coraz bardziej; odezwały się pierwsze odgłosy nocnych owadów i zwierząt. Powietrze stało się chłodniejsze. Fioletowe grzbiety odległych Gór Skalistych zniknęły w ciemnościach.

Ciepło ogniska pieściło policzki Kasey. Zerknęła ukradkiem na swego towarzysza; płomienie oświetlały jego twarz, znowu spokojną. Wciąż badawczo jej się przyglądał, a przez chwilę wydawało się jej, że w jego ciemnych przepastnych oczach ujrzała zrozumienie.

Czuła nieustanną pokusę, żeby znowu spojrzeć na jego pierś. Co się z nią działo? Podczas półrocznego objazdu z pokazami Dzikiego Zachodu widywała mężczyzn nagich do pasa, ale nigdy z tak bliska. Czuła siłę i ciepło kogoś, kto wiedział, jak rozpalić kobiecie zmysły.

Przypomniała sobie dotyk jego ciała, oddech owiewający jej policzki, burzę emocji w jego oczach i głosie. Był na nią wściekły, a jednak ani przez chwilę Kasey nie miała wrażenia, że jej zagraża. Potrafił opanować gniew, a to była cecha godna podziwu, którą potrafiła docenić.

Odetchnęła głęboko, podkuliła nogi i oparła brodę na rękę.

- Nie mogę uwierzyć, że Jean do ciebie strzeliła. Nie mogę uwierzyć, że stała się taka jak on.

- Ja nie kłamię - rzekł Grason.

- Skąd ta pewność, że to ona, a nie jakaś inna kobieta?

Zapatrzył się w jakiś odległy punkt i odezwał się łagodniejszym już głosem:

- Rok temu, kiedy byłem w Ransom szeryfem, twoja siostra, Eagle i reszta tych mieszkańców obrabowali w mieście bank. To był spokojny niedzielny poranek. Razem z moją narzeczoną, Madeline, jadłem śniadanie w hotelowej restauracji i nagle usłyszałem strzelaninę. Kiedy wybiegłem na zewnątrz, Eagle opuszczał miasto. Zacząłem strzelać, ale on i kobieta, która z nim jechała, odwrócili się i odpowiedzieli ogniem. Nie wiedziałem o tym, ale Madeline wyszła wraz ze mną. Usłyszałem jej krzyk i wrzasnąłem, żeby się schowała. Kiedy się odwróciła, żeby uciec, Eagle strzelił jej w plecy.

- O mój Boże - szepnęła Kasey, zakrywając usta dłonią.

- Podbiegłem do Madeline, ciągle strzelając. Twoja siostra uśmiechnęła się do mnie, a potem pociągnęła za spust. Nigdy nie zapomnę jej twarzy. Jesteś do niej podobna, ale istnieje między wami wyraźna różnica.

- A narzeczona... - szepnęła Kasey nieśmiało. - Czy... czy... umarła?

- Nie. - W głosie Grasona zabrzmiała nuta gorczy. - Sparaliżowało ją od pasa w dół.

- O nie! Tak mi przykro...

- Mnie też.

- Ale może jednak strzelił któryś z bandytów Eagle'a? - Kasey czepiała się resztek nadziei.

W oczach jej towarzysza odbijały się płomienie.

- Nie mam ani cienia wątpliwości. Cholernie trudno zapamiętać twarz kogoś, kto do ciebie strzela. Kiedy cię wczoraj zobaczyłem, chciałem cię zakuć w kajdanki i zaprowadzić do więzienia. Ale podszedłem bliżej i zdałem sobie sprawę, że jesteś tylko podobna do tej bandytki.

Zabolało ją, że Grason tak mówi o jej siostrze, coraz bardziej jednak dopuszczała do siebie myśl, że ten mężczyzna nie kłamie. Ale nawet jeśli tak było, uznała, że i tak najpierw musi porozmawiać z siostrą.

Musiała trzymać jej stronę. Nie mogła wierzyć Grasonowi bez zastrzeżeń. Odnajdzie Jean, przekona się, jak wygląda prawda, i dopiero potem się zastanowi, co powie matce.

Wolno pokręciła głową i przetarła czoło; w głowie huczało jej od natłoku myśli.

Odsuwała od siebie obraz biednej młodej kobiety, sparaliżowanej, unieruchomionej. A jednak musiała spytać.

- A Madeline? - Patrzyła Grasonowi prosto w oczy. - Ożeniłeś się z nią?

- Nie.

Kasey drgnęła, zaskoczona.

- Dlatego że...

- Nie! Psiakrew. Koniec, kropka.

Ta wściekłość nią wstrząsnęła. Na chwilę zapadło milczenie.

Dopiero bulgotanie kawy przerwało głuchą ciszę. Grason odstawił garnek, żeby płyn nieco ostygł, a ziarna opadły na dno, spojrzał na Kasey i rzucił rozkazująco:

- Opowiedz mi o swojej siostrze.

Dziewczyna zawahała się. Historia o porwaniu wryła się jej w świadomość tak głęboko, że Kasey nie była już pewna, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Oddałaby wszystko za kubek gorącej herbaty, która osłabiłaby ssanie w żołądku i uspokoiła drżące dłonie.

- Jean jeździła razem z moim ojcem w objazdowym cyrku Buffalo Billa. Tam poznała Eagle'a. On i jego... przyjaciele odgrywali Indian w numerze, który przedstawiał pościg za dyliżansem.

- A Jean i twój ojciec?

- Strzelali do celu. Nigdy nie pudłowali.

- A gdzie ty wtedy byłaś?

- W domu. Codziennie ćwiczyłam. Ojciec nie pozwoliłby mi wystąpić, dopóki... - Kasey nagle urwała. Nie mogła wyjawić temu mężczyźnie wszystkiego; przeszłość była zbyt bolesna. - Czy kawa jest już gotowa?

Grason skinął głową.

- Mów dalej.

Dziewczyna zwilżyła usta i z trudem powstrzymując łzy, które cisnęły się jej do oczu, ciągnęła:

- Ojciec chciał, żebym przez jakiś czas pracowała w mniej znanym cyrku, dającym pokazy z życia Dzikiego Zachodu. Miałam jeździć po Wyoming. To było najlepsze wyjście, matka nigdy nie miała najlepszego zdrowia i potrzebowała mojej obecności.

- Gdzie są teraz twoi rodzice?

Kasey przyjęła od swego towarzysza blaszany kubek, promieniujący ciepłem. Teraz, kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, poczuła, że jej ubranie jest jeszcze wilgotne. Zadrżała.

- Ojciec zginął od zabłąkanej kuli podczas jednej ze scen pościgu - wykrztusiła z trudem.

- Bardzo mi przykro. Myślałem, że w trakcie tych występów używa się ślepych naboii.

- Owszem.

Zerknęła na Grasona i zorientowała się, że powiedziała zbyt wiele. Za dużo rozumiał, za szybko kojarzył fakty. Żołądek ścisnął się jej boleśnie, kiedy przewidziała pytanie, na które nie miała ochoty odpowiadać.

- Kto do niego strzelił?

- Tego nie wiemy na pewno- odparła zgodnie z prawdą i wbiła spojrzenie w trzaskający ogień.

- Kogo podejrzewał szeryf?

Coś ją dławiło, nie pozwalało odetchnąć. Woląca nie wypowiadać tych słów; nie chciała przez to znowu przechodzić.

- To był Eagle, prawda?

Kasey spozjrzała swemu rozmówcy w oczy. Pragnęła, żeby zrozumiał, choć nigdy by go o to nie poprosiła.

- Jean przysięgła przede mną i mamą, że to nie on. Powiedziała, że Eagle nie zasługuje na taką reputację. Zapewniła mamę, że to dobry człowiek, że ją kocha i nigdy by nie strzelił do ojca.

- Uwierzyłaś jej?

Kasey miała ochotę uciec.

- Jean by nie skłamała - powiedziała.

- Gdzie jest teraz twoja matka? - dopytywał się Grason; w jego oczach czaiła się podejrzliwość.

- W Wyoming. To dla niej muszę odnaleźć Jean - odparła drżącym głosem, pociągając łyk kawy. - Przygotowywałam się do zajęcia miejsca taty, żeby występować razem z Jean, ale ona zjawiała się w domu razem z Eagle'em i oświadczyła, że z nim odjeżdża - ciągnęła, próbując zapanować nad emocjami. - Błagałyśmy, żeby zmieniła zdanie. Mama płakała. Powiedziały sobie straszne rzeczy, więc... - Kasey urwała. Nie, nie powie mu nic więcej o tamtym dniu. - W końcu jednak odjechała. Mama wpadła w histerię. Uparła się, żebyśmy wszystkim mówiły, że Eagle porwał Jean, tak żebyśmy mogły chodzić po mieście z podniesioną głową. Płakała dopóty, dopóki się nie zgodziłam. Zresztą po jakimś czasie sama w to uwierzyłam.

- A teraz uważasz, że powinnaś odnaleźć siostrę i ostrzec ją, że wyznaczono nagrodę za jej głowę?

- Nie. - Spojrzała mu w oczy. - Przed paroma tygodniami lekarz powiedział mamie, że jest chora na coś, co nazwał białaczką. Będzie żyła najwyżej rok. - Zamilkła na chwilę, by opanować głos. - Matka postanowiła spotkać się z Jean i przeprosić ją za wszystko. Muszę odnaleźć siostrę.

- To dlatego tak bardzo chciałaś wygrać zawody w strzelaniu?

- Wydałyśmy wszystkie pieniądze na leki i pensję dla kobiety, która będzie się zajmować moją mamą. Szeryf Tanner podał mi nazwisko tropiciela śladów w Bozeman. Napisałam do niego, a on odpowiedział, że na początek chce sto dolarów. Dał mi trzy tygodnie na zebranie pieniędzy. Zobaczyłam ogłoszenie o zawodach strzeleckich w Ransom i zrozumiałam, że to jedyny sposób na szybkie zdobycie takiej sumy.

- A teraz pieniądze przepadły. I co zrobisz?

- Sama odnajdę Jean.

- Narażasz życie, wiesz o tym?

- Nie zrezygnuję - oświadczyła Kasey.

- Niektórzy łowcy nagród są jeszcze gorsi niż Tate.

- A niektórzy są lepsi, na przykład ty.

Grason spojrział na nią ciepło, ale zaprotestował:

- Jeszcze mnie nie chwał.

- Przynajmniej mnie nie zakuleś w kajdanki - przypomniała mu dziewczyna.

- Na razie. Wiesz, gdzie szukać Jean?

Kasey zawahała się.

- Nie jestem pewna - powiedziała po chwili. - Kiedy Jean wyjeżdżała, wymieniła nazwę jakiejś miejscowości. Nie wiem, czy nadal mają tam kryjówkę ani jak się tam dostać. To dlatego musiałam wynająć tropiciela.

- Co to za miejscowość?

Dziewczyna dopiła mocną kawę i oddała Grasonowi kubek.

- Nie powiem. Chcesz złapać Jean, żeby dostać za nią nagrodę, a ja chcę ją sprowadzić do domu, do matki.

- Nie możesz sama szukać tej bandy - rzekł, marszcząc czoło. - Zwłaszcza, że jesteś podobna do siostry.

- A co innego mogę zrobić? Muszę ją odnaleźć. Jak mogłabym żyć ze świadomością, że zawiodłam matkę?

- Zważywszy towarzystwo, z jakim związała się Jean, czy naprawdę sądzisz, że zechce z tobą wrócić?

- Tak. - Kasey nie czuła tej pewności, która dźwięczała w jej głosie. - Kiedy się dowie, że mama umiera, na pewno ze mną wróci.

- Chyba się mylisz - rzucił Grason z gniewną rezygnacją, po czym wziął blaszany talerz, nałożył czerwoną fasolę i podał go dziewczynie. - No, bierz. Ja zjem z puszki.

- Dziękuję.

Nie wiedziała, czy przekonał ją pojednawczy ton w jego głosie, czy też po prostu głód, szarpiący jej wnętrzności. Fasola była gorąca, miękka i sycąca.

Grason jadł w milczeniu.

- Z tego co widzę, oboje dążymy do tego samego, ale z innych powodów - rzekł po jakimś czasie. - Ty potrzebujesz kogoś, kto ci pomoże znaleźć kryjówkę bandy, tak żebyś przy tym nie straciła życia. Ja muszę dopaść Eagle'a i jego gang. Możemy zawrzeć umowę. - Odczekał chwilę, aż dziewczyna podniesie na niego oczy. - Jeśli pomożesz mi znaleźć kryjówkę Eagle'a, obiecuję odstawić Jean do domu, żeby mogła pogodzić się

z matką, zanim wydam ją władzom. Zakładając, że się nie mylisz i siostra zechce wrócić.

Kasey przełknęła trochę fasoli i otarła palcami usta. Była to uczciwa propozycja. Przy pomocy Grasona mogłaby odnaleźć siostrę szybciej. Ale czy on dotrzyma słowa i pozwoli Jean wrócić do domu.

- Skąd mogę wiedzieć, czy ci wierzyć?
- Nie możesz.
- Zostawiłeś mnie z Tate'em - wyrzuciła mu Kasey.
- Ale wróciłem.

To obudziło w niej dziwne pulsujące uczucie. Ten mężczyzna po nią wrócił. Jak mogła mu nie ufać? Odłożyła łyżkę i wyciągnęła do niego rękę; Grason zamknął ją w swojej dłoni, ciepłej, mocnej, znajomej. Kasey poczuła się bezpieczna, a także - ku własnemu zdumieniu - prawie szczęśliwa.

- Przyrzeknij mi jeszcze coś - poprosiła.

Rozluźnił palce, ale się nie odezwał.

- Chcę, żeby Jean miała szansę opowiedzieć mi swoją wersję tej historii.

- Ona jest winna - rzekł Grason z przekonaniem.

- W tej chwili tylko ty tak twierdzisz. Chcę, żeby moja siostra mogła oczyścić się z zarzutów.

- Jak wolisz - powiedział, znów zaciskając palce na dłoni Kasey. - Wysłuchaj tego, co będzie ci miała do powiedzenia, ale to sąd podejmie ostateczną decyzję.

Dziewczyna skinęła głową i cofnęła rękę.

- Jak mam trafić do ich kryjówki, skoro nie chcesz mi zdradzić nazwy tego miasta? - spytał Grason po chwili milczenia.

- Na razie musimy iść wzdłuż rzeki Yellowstone. W odpowiednim czasie powiem resztę.

- A więc jedziemy razem.

Tajemnicza z niej istota, pomyślał Grason następnego ranka. Siedział przy ognisku i przyglądał się, jak Kasey ćwiczy. Kiedy

się obudził, zobaczył, że jego towarzyszka strzela do puszek po fasoli.

Niech to diabli, pokonała jego i dwudziestu innych. Czego starała się dowieść? Dlaczego marnowała kule, skoro już wiedziała, że jest świetna?

To jej sprawa. Nie chciał się mieszać do jej życia bardziej niż to konieczne, potrzebował przecież tylko wskazówki, gdzie odnaleźć Eagle'a. Mimo to nie mógł zaprzeczyć, że ta dziewczyna po prostu go interesuje.

Wahał się, czy uwierzyć w historię o chorej matce. Wydawało mu się, że Kasey mówiła prawdę, ale przecież już raz usiłowała go okłamać, kiedy opowiadała o porwaniu siostry. Coś ją dręczyło. Coś zmuszało ją do podejmowania zbędnego ryzyka. I nie mógł jej całkowicie zaufać.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Jean rzeczywiście jest jej siostrą, a Kasey rozpaczliwie chce do niej trafić, ale czy nie kryło się za tym coś więcej?

Słońce wspinało się po nieboskłonie. Grason nadał przyglądał się swojej towarzyszce, ale teraz już nie skupiał się na jej ćwiczeniach; podziwiał wygląd dziewczyny. W porannym świetle prezentowała się wspaniale. Zauważył zarys kształtnych bioder i zaokrąglonej pupy. Ciemnobrązowa spódnica była dopasowana, ale nie obcisła. Biała koszula z długimi rękawami nadawała Kasey niewinny wygląd i korzystnie podkreślała złocistokasztanowy odcień włosów. Stroje zdradzały zarysy jej ciała, ale w przyzwoitych granicach. Wąski pas nie krył ładnej linii smukłej talii. Dziewczyna nie była ani zbyt chuda, ani zanadto dorodna. Pamiętał dotyk jej kruchego ciała, które wczoraj przyniósł tak brutalnie. Walczyła z nim, odważnie i zaciekle. Podziwiał tę jej zadziorność. Była... rozkoszna. Naprawdę, bardzo pociągająca osobka.

W jej sylwetce, rysującej się na tle lazurowego nieba, było coś takiego, że nagle poczuł ochotę, by wziąć ją w ramiona i pocałować. Chciał się z nią kochać.

Potrząsnął głową, odpędzając te niestosowne myśli. To nie-

dopuszczalne. Ta kobieta była dla niego nieosiągalna. Koniec, kropka. Spędzą ze sobą zbyt wiele czasu, żeby mógł sobie pozwalać na takie marzenia. Jego jedynym pragnieniem było odnalezienie Eagle'a i wymierzenie mu sprawiedliwości za Madeline i miasteczko Ransom.

Nie chciał mieć towarzystwa, ale wiedział, że jest Kasey potrzebny. Poza tym musiał się od niej dowiedzieć, gdzie Eagle urządził sobie kryjówkę. Będzie jechał z nią, dopóki nie odnajdą tego bandyty, a potem ją zostawi. Nie pozwoli, żeby ktoś mu przeszkodził zabić Eagle'a, i nie dopuści do tego, żeby tej dziewczynie stała się jakaś krzywda.

Opuścił rękę. Niech to... żałował, że nie ma broni; bez niej czuł się nagi.

Kasey odłożyła wreszcie rewolwer i zbliżyła się do Grasona. Wraz z nią napłynęła chmura prochu, zmieszana z dymem z ogniska. Dziewczyna wyglądała świeżo jak poranek; zielone oczy lśniły krystalicznie, policzki i wargi nabrały kuszącego koloru. I choć wczoraj skąpała się po uszy w strumieniu, jej ubranie wyglądało jak spod igły. Grason nie mógł wyjść z podziwu jak jej się to udało.

Nalała sobie kubek gorzkiej kawy i pociągnęła tyk.

- Nie smakuje ci moja kawa?- spytał Grason, widząc, że dziewczyna się krzywi.

- Nie przepadam za kawą, wolę herbatę.

- Dziś wieczorem dotrzemy do Bozeman. Kupimy zapasy żywności, także herbatę.

Kasey zerknęła sponad kubka na swego towarzysza.

- Nie mam ani grosza. Wszystko spłynęło strumieniem razem z tym niewydarzonym łowcą nagród.

- Więc musimy przejść na dietę. Nie zamierzałem kupować nowego rewolweru i strzelby. To pochłonie większą część pieniędzy.

- Ile masz? - spytała Kasey.

- Niezbyt wiele. Podobnie jak ty, liczyłem na nagrodę.

Kasey przez chwilę zastanawiała się nad czymś intensywnie.

- Możesz nie kupować rewolweru - powiedziała w końcu. - Wystarczy, że ja mam.

Garson parsknął cichym śmiechem.

- Zapomniałaś, że ścigamy bandytów? Morderców! Wolalbym mieć u boku dobrego kolta, a w zapasie strzelbę.

- W takim razie musimy zrobić przekręt - oświadczyła dziewczyna.

- Słucham? - zdumiał się jej towarzysz.

- Wjedziemy do miasta i zorganizujemy zawody w strzelaniu z paroma miejscowymi - wyjaśniła dziewczyna. - Najlepszy zwycięży.

- Innymi słowy, naciągniemy biedaków.

- Nie nazwałabym tego naciąganiem.

- A ja owszem- rzekł Grason. - Nie zamierzam nikogo oszukiwać i tobie też na to nie pozwolę.

Kasey wyprostowała się i spojrzała na niego z góry.

- Muszę to robić, żeby zdobyć pieniądze.

- Wydawało mi się, że występujesz w inscenizacjach scen z Dzikiego Zachodu.

- Występowałam, ale doszłam do wniosku, że samodzielnie mogę zarobić więcej pieniędzy. Być może ukrywam fakt, że jestem dobrym strzelcem, ale poza tym gram uczciwie. Nikogo nie zmuszam i nie oszukuję.

- Oszukujesz, jeśli im nie mówisz, że jesteś cholernie dobra,

- Jak to?

- Nie zamierzam się z tobą sprzeczać - rzekł Grason, podnosząc się z ziemi. - Zapomnij o herbacie i radzę ci, przyzwyczaj się do kawy.

- A reszta? Jeśli kupisz strzelbę i rewolwer, ile pieniędzy zostanie ci na jedzenie?

- Niech cię o to głowa nie boli. Już ja się tym zajmę. - Zaczął starannie zasypywać ognisko, lecz po chwili, sam się sobie dziwiąc, zapytał: - I jak to robisz? Zakładasz się?

- Do tego się sprowadza. Ale istnieje wiele rozmaitych sposobów. Na przykład, pojawiając się w mieście, ustawiam

puszki i zaczynam ćwiczyć. Zwykle po chwili przychodzi jakiś mężczyzna i wyzywa mnie na pojedynek, ponieważ wydaje mu się, że mnie olśni. Niewiele czasu mija, a ktoś wspomina o pieniądzach.

- Ty - domyślił się Grason.
- Nie muszę nikogo błagać, jeśli o to ci chodzi.
- Jestem tego pewien. - Uśmiechnął się. Bardzo lubił tę dziewczynę. Była inteligentna, pewna siebie, ale równocześnie wrażliwa i pełna wewnętrznych sprzeczności, które czyniły ją bardziej delikatną. - Niech zgadnę. Kiedy ćwiczysz, zdarza ci się nie trafiać w te puszki, co?

- Tak - przyznała szczerze.
- Robisz to celowo.
- Oczywiście.
- I co chwila podwyższasz stawkę - ciągnął Grason.
- Czasami.
- Więc oszukujesz.

Kasey oblizała usta i spojrzała mu prosto w oczy. Nie miał pojęcia, czy się z nim zgadza, czy uważa, że nie robi nic złego? Widział, że najwyraźniej czeka, by pochwalił sposób, w jaki zdobywała pieniądze. Pragnęła usprawiedliwienia.

- Nie nazwałabym tego tak nieładnie - powiedziała w końcu. - Poza tym ty też nie jesteś w porządku. Przyznałeś, że chcesz dopaść Eagle'a i jego bandę dla pieniędzy.

- Oni są poszukiwani. To duża różnica. A ty naciągasz niewinnych ludzi.

Fuknęła z oburzeniem.

- Ci, którzy mnie wyzywają na pojedynek, mają wybór.
- Ładny mi wybór.
- Zawsze istnieje niewielka szansa, że przegram. - Buńczuczny ton dziewczyny zadawał kłam słowom.

Grason roześmiał się cicho.

- A co minutę rodzi się nowy frajer - skwitował.

Prawie się uśmiechnęła. Serce zaczęło mu bić szybciej, a lędzwie niespodziewanie dały o sobie znać. Ta dziewczyna była

niebывale pociągająca. Jego ciało wysyłało coraz silniejsze sygnały ostrzegawcze. Grason postanowił wziąć je pod uwagę i nie dać się złapać na te sztuczki. Mieli przed sobą długą, trudną podróż, a namiętności zawsze wszystko komplikują.

- Ale tym razem ci się nie uda - powiedział, zasypując do końca ognisko.

- Dlaczego?

- Twoja podobizna wisi niewątpliwie na obwieszzeniach w całym stanie, a pewnie także w Wyoming i Dakocie. Nie mam ochoty ratować ci życia w każdym mieście, które odwiedzimy.

- Ratować mi życia? - powtórzyła Kasey pogardliwie, biorąc się pod boki.

- Właśnie. Nie mam na to czasu.

- Nie uratowałeś mnie z rąk tego łowcy nagród. Sama go pokonałam.

- Nie. Ty się tylko naraziłaś na niebezpieczeństwo, wycyzniając te szalone sztuczki. Uratowałem cię przed utonięciem. - Grason odniósł głos bardziej, niż zamierzał.

- Kłamiesz. Velvet wyciągnęła mnie z wody. Byłam już niemal bezpieczna... i uzbrojona, dodaje... gdy zdecydowałeś się przyjść mi z pomocą.

Mruknął coś pod nosem, po czym rzekł głośno:

- Utopiłabyś się, gdybym cię nie wyciągnął, i dobrze o tym wiesz. Przecież nie umiesz pływać.

- Nie musiałam! - wrzasnęła. - Miałam już grunt pod nogami, kiedy mnie złapałeś.

Grason zdał sobie sprawę, że pozwolił się wciągnąć w kłótnię, która prowadzi donikąd. Ta kobieta burzyła mu krew w żyłach. Kusiło go, żeby wziąć ją w ramiona i pocałować w te piękne usta.

- Pozostaje jednak faktem, że nie możesz się pojawić w mieście. Za bardzo zwracasz na siebie uwagę - dodał łagodniej.

Kasey podeszła do swojej klaczy i pogładziła ją po szyi.

- Ale muszę. Nie możesz mnie utrzymywać. Muszę mieć własną żywność. A w tym celu należy zdobyć pieniądze. I nie ukradnę ich, choć pewnie tak właśnie podejrzewasz.

Grason przytroczył torbę z żywnością do siodła swojego wierzchowca.

- Próbowałem cię przekonać, żebyś wróciła do domu - przypomniał dziewczynie. - Kobieta nie powinna włóczyć się po prerii.

Zwłaszcza taka kobieta jak ty, dodał w myślach.

- Dostosuję się - oznajmiła. - Skoro Jean to wytrzymuje, to i ja mogę.

- Nie jesteś taka jak ona.

- Przestań! - Kasey odwróciła się do niego z oczami płonącymi wściekłością. - Ojciec powtarzał mi to tyle razy, że całkiem mi to obrzydło. Nie chcę tego znowu słyszeć! Jestem równie dobra jak ona!

Grason znieruchomiał, zaskoczony tym wybuchem. Była wściekła, ale w jej spojrzeniu krył się ból. Coś w nim zmiękło na tyle, że miał ochotę ją przeprosić.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

Potarła czoło i włożyła kapelusz.

- Niech to, przestań się nade mną użalać. Potrafię zadbać o siebie i matkę i nikt mi nie musi pomagać.

Po raz pierwszy przemknęło mu przez myśl, że wie, co tak naprawdę tą dziewczyną kieruje. Szukała siostry, ale nie dałby głowy, czy robiła to wyłącznie ze względu na matkę.

- A jeśli Jean nie zechce z tobą wrócić? Co wtedy? - spytał.

- Wróci. Na pewno.

- Jak długo jest z Eagle'em? Półtora roku? Dwa? Jest poszukiwana, wyznaczono cenę za jej głowę.

- Nie obchodzi mnie, co inni o niej mówią. Wiem, że nie zrobiła nic złego... oprócz tego, że zadała się z niewłaściwym człowiekiem.

- Mówiłem ci, że do mnie strzeliła - nie dawał za wygraną Grason.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Bo nie chcesz.

- A powinnam? Mam na to tylko twoje słowo.

- Ja nie kłamię.

- A ja nie mam podstaw, żeby ci wierzyć - odparła Kasey.
- Owszem. - Nie mógł się na nią złościć tylko dlatego, że była lojalna w stosunku do siostry. Uczucie godne podziwu, choć obdarzała nim osobę, która na to nie zasługiwała. - Przekonamy się, kto ma rację, kiedy znajdziemy ich obóz - dodał, odwrócił się i wsiadł na konia.

- Kiedy zbliżymy się do miasta, schowam włosy pod kape-
luszem i włożę spodnie. Jeśli ubrudzę sobie twarz, a ty pożyczysz
mi zapasową koszulę, będę mogła uchodzić za twójego młodszego
brata.

- Oszalałaś! - rzucił, parsknąwszy śmiechem.

- A masz lepszy pomysł?

- Parę razy wygrałem coś w pokera.

- Zakładam się, że strzelam lepiej, niż ty grasz - powiedziała
Kasey.

- Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy... - Przerwał na
chwilę i się zamyślił. - Nie do wiary, że daję się w to wciągnąć.

- Czy to znaczy, że zgadzasz się zarobić trochę grosza?

- To znaczy, że pozwolę ci wjechać do miasta w przebraniu.

To wszystko.

- Uda się nam - zapewniła go Kasey z przekonaniem.

- Jesteś cholernie pewna siebie jak na kobietę.

- Muszę. Biorę udział w męskiej grze.

6



Rzeczywiście, udało się. Wiedziała to od chwili, kiedy rzucała uśmiech swego towarzysza. Wysokie buty, twarz i ręce miała usmarowane ziemią i odrobiną popiołu. Koszula Grasona wisiała na niej tak luźno, że nikt by się pod nią nie dopatrywał zarysów kobiecego ciała. Kasey nie lubiła być brudna, ale powtarzała sobie, że to przebranie, dzięki któremu mogą zarobić potrzebne im pieniądze.

Nie zdradziła tego Grasonowi, ale niezbyt się jej uśmiechało podróżowanie w pobliżu rezerwatu Kruków, zwłaszcza że byli uzbrojeni zaledwie w jeden rewolwer. W ostatnich latach Indianie przestali sprawiać kłopoty, ale nie lubiła niepotrzebnego ryzyka.

Do Bozeman dotarli późnym popołudniem. Miasto kipiało życiem. Mężczyźni, kobiety i dzieci tłoczyli się na chodnikach i ulicach. Przy głównej drodze stały powozy, furmanki i konie, a przez otwarte okna i drzwi dobiegały dźwięki fortepianu, śmiech i głośnie rozmowy.

Kasey i Grason zatrzymali się przed piętrowym budynkiem z wyblakłym szyldem, którego czarne litery głosiły „Saloon Wesołej Mary”.

- Byłaś kiedyś w saloonie? - spytał Grason.

- Zdarzyło mi się. A co? Rezygnujemy z przekrętu?
- Najpierw przyjrzę się tutejszym mężczyznom. Nie byłam tu ze trzy, może cztery lata. Możesz poczekać przy komach albo wejść razem ze mną i się napić.

- Idę - zdecydowała, zeskoczyła na ziemię i poczuła, że nogi się pod nią uginają. Przez cały dzień pomiędzy nią i Grasonem fruwały niewidzialne iskry napięcia.

Weszła do saloonu, brzękając ostrogami. Już kiedyś znalazła się w takiej knajpie i nie było to miłe wspomnienie. Szybko dowiedziała się, że mężczyźni uważają ten teren za swoją wyłączną własność; kobiety tolerowali tylko wtedy, gdy urzędowały w pokojach na piętrze.

Powiodła bystrym spojrzeniem po bywalcach knajpy, siedzących przy stołach, pijących, śmiejących się i tak pochłoniętych rozmowami, że nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Idąc za przykładem swego towarzysza, oparła się łokciami o porysowany i wyszczerbiony bar. Tuż obok niej stał wielki słój z marynowanymi jajkami. Pomieszczenie było mroczne, duszne i pełne oparów zwietrzałej whisky, tytoniu i potu.

Pochyliła głowę i nasunęła kapelusz na czoło. Wiele razy udawało się jej naciągać mężczyzn, ale jeszcze nigdy nie podała się za kogoś innego. To przebranie odbierało jej pewność siebie. A jednak wiedziała, że wszystko będzie dobrze, ponieważ był przy niej Grason. Ta myśl jeszcze bardziej wytrąciła ją z równowagi. Powtarzała sobie w myślach, że nie powinna na niego Uczyć, w żadnej sprawie.

Ale przecież po nią wrócił! Uratował jej życie. Dlaczego nie potrafiła tego przyznać, choćby przed sobą? Ponieważ nie chciała uwierzyć, że jest jej potrzebny. Nie chciała polegać na nikim z wyjątkiem siebie.

- Co podać? - spytał wysoki, chudy jak patyk barman, zarzucając sobie na ramię brudną ścierkę.

- Whisky - powiedział Grason. - I herbatę dla mojego brata. - Rzucił na kontuar półdolarówkę.

Kasey spiorunowała go wzrokiem, po czym zerknęła nieśmiało

na barmana. Z ulgą stwierdziła, że w jego przekrwionych oczach nie pojawił się nawet cień podejrzliwości.

- Herbata? Dzieciak jest za mały, żeby pić? - spytał, napełniając szklaneczkę aż po brzegi. - Zobaczą, czy w kuchni mają herbatę. A kawę wypije?

- Jeśli będzie musiał - mruknął Grason.

Barman oddalił się ciężkim krokiem.

Nagle słodki, duszący zapach wody toaletowej rozniósł się obok Kasey. Dziewczyna obejrzała się przez ramię i ujrzała kobietę w wydekoltowanej sukni z ciemnozielonego atłasu. Nieznajoma przysiadła koło Grasona i pieszczotliwie wzięła go pod rękę.

- Cześć, przystojniaku - szepnęła z uśmiechem. - Może mi postawisz drinka? - Podsunęła mu pustą szklaneczkę.

Grason zareagował jak najbardziej przychylnie.

- Jasne, co tylko zechcesz...

- Millie - przedstawiła mu się kobieta, musnąwszy wypielegnowanym paluszkim jego umięśnione ramię.

Kasey omal nie zerwała się z krzesła, szarpnięta nagłym i niespodziewanym skurczem zazdrości. Miała straszną ochotę złapać tego babsztyla za kok i wywlec z saloonu. Kto jej pozwolił tak się do niego kleić? Millie szepnęła coś do ucha Grasonowi, a ten roześmiał się cicho i wychylił drinka jednym haustem.

- Możesz sobie zamówić, co zechcesz, kiedy barman wróci - powiedział.

Kasey nie odrywała wzroku od Millie. Nie chodziło bynajmniej o jej urodę ani nadzwyczaj wyzywającą sukienkę; niepokojącym sygnałem było trzepotanie ciężkich rzęs nad piwnym oczami i rozmarzony uśmiech pełnych ust, całkiem jakby Grason był człowiekiem, na którego czekała przez całe życie.

Kasey znała te sztuczki - były niezastąpione przy oskubywaniu facetów do suchej nitki. Widziała także, że Grason, wodzący spojrzeniem po białych ramionach Millie, nie zdaje sobie z tego sprawy. Jak śmiał gapić się tak na tę kobietę w jej obecności? Bezwstydnik!

Millie zauważyła spojrzenie dziewczyny i puściła do niej oko. Policzki Kasey zapłonęły wściekle czerwonym rumieńcem; odwróciła wzrok, kipiąc ze złości. Byli prawie bez grosza, a Grason zamierzał przepuścić te nędzne resztki na tę dziwkę!

Na szczęście barman wrócił z kubkiem pełnym mocnej kawy i postawił go przed Kasey. Pociągnęła solidny łyk, żeby zatuszować drżenie rąk. Kawa była zimna i paskudna, więc dziewczyna skrzywiła się i odstawiła kubek.

Przybyli do tego miasta, żeby zrobić przekręt, a nie po to, żeby Grason mógł sobie poplirtować. Musiała zrobić coś, co odwróciłoby jego uwagę od tej kobiety i przypomniało o zawodach, zanim zrobi się ciemno.

Millie znowu szeptała coś Grasonowi do ucha. Kiedy oboje wybuchnęli śmiechem, cichym i porozumiewawczym, Kasey poczuła, że przechodzą ją ciarki. Jeśli zaraz nie weźmie spraw we własne ręce, ten idiota pójdzie z tą dziwką na górę!

Oburzona całą salą bacznym spojrzeniem; przez okna bez zasłon po obu stronach wahadłowych drzwi sączyło się światło chylącego się ku zachodowi słońca, tworząc na podłodze niewyraźne plamy. Niektórzy klienci grali w karty, inni tylko rozmawiali; większość z nich wyglądała na pastuchów i ranczerów.

Doświadczona w swoim fachu, w mgnieniu oka opracowała plan, który miał wyrwać Grasona z ramion nachalnego babizona i jednocześnie zapewnić jej, Kasey, dopływ gotówki. Stała na środku pomieszczenia i odchrząknęła.

- Panowie, proszę o uwagę! - zawołała, starając się obniżyć głos.

Wszyscy - także Grason - odwrócili się w jej stronę.

- Mój brat, który siedzi przy barze z tą... hm, panią, to drugi najlepszy strzelec w Montanie. - Gardło wyszło jej tak, że zaczęła mówić ochrypłym, szorstkim głosem. O to właśnie jej chodziło. - Czy ktoś z was zechce się z nim zmierzyć?

W saloonie przez chwilę panowało martwe milczenie. Kasey poczuła, że żołądek ściska się jej ze strachu. A jeśli nikt się nie zgłosi?

- Stawiam pięć dolarów na to, że Jim go pobije - odezwał się nagle jakiś mężczyzna, siedzący w rogu sali. - A ty masz pięć dolców, mały?

- No pewnie. - Głos jej się załamał, co tylko spotęgowało jej zdenerwowanie. Zerknęła ku Grasonowi, który zeskokczył ze stolka i ruszył ku niej wielkimi krokami. Wzięła głęboki oddech i policzyła do trzech, żeby się uspokoić.

- Chcę je zobaczyć - oznajmił mężczyzna.

- Mój starszy brat trzyma kasę. Gray, pokaż mu pieniądze.

- Gray? Ty mały łobuzie - szepnął Grason, szperając w kieszeni. - Nie mogę cię zostawić ani na chwilę. - Wyjął banknot i rozłożył go. - Co ty kombinujesz?

- Widzicie? Stawiam pięć dolarów na to, że Gray pokona każdego.

- Kto chce się bić z drugim najlepszym? - odezwał się jakiś brodac. - Kto jest najlepszy?

- Ja - oznajmiła z niezmaconym spokojem. - Ja też mogę stanąć do zawodów, jeśli ktoś chce na mnie postawić.

Cała sala gruchnęła śmiechem, tylko Grason i Millie zachowali powagę. Kasey podciągnęła zbyt obszerne rękawy koszuli.

- Dobry Boże, chcę się z tobą zmierzyć! - ryknął brodac, trzymając się za boki.

- Ja też! - zawołał inny mężczyzna.

Grason szarpnął ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Jesteś skaraniem boskim, wiesz o tym? - syknął. - Nie zwracajcie uwagi na tego smarkacza! - dodał głośno. - On by nie trafił w stodołę. Przepraszam, nie chcieliśmy wam przeszkadzać.

- O, nie! - zagrzemiał pijak. - Ten mały powiedział, że jest najlepszym strzelcem w całym stanie. Chcę się z nim zmierzyć. Co ty na to, Bartły?

- No, nie wiem, Web. Jesteś dobry, ale piłeś przez cały dzień. Może niech Jim go załatwi.

- Nie, jeśli nie pobiję tego chwalipięty, chętnie oddam mu pieniądze.

- Coś ty narobiła - mruknął Grason. - Powiniennem się domyślić, że tak będzie. Siedź cicho, a ja spróbuję nas wypłatać z tej awantury.

Kasey wyszarpnęła ramię z jego chwytu, ale ciągle czuła mrowienie skóry w miejscu, którego dotykał.

- To nie jest awantura. Właśnie zdobywamy pieniądze na twoją broń i herbatę dla mnie, a także na masę innych zapasów. Zostaw to mnie, wiem, co robię. Strzelam lepiej od ciebie, i dobrze o tym wiesz.

- Nieprawda.

- Ten gnojek nie jest ode mnie lepszy - oznajmił Web.

Grason wystąpił o krok.

- Mój brat się nie liczy. Jeśli chcesz się z kimś zmierzyć, zostają tylko ja. Ale stawka będzie wyższa niż pięć doliców.

Kasey fuknęła z oburzeniem. Grason był dobrym strzelcem, lecz nie podobały się jej te przechwałki.

Jakiś krzepki, gładko ogolony mężczyzna wstał od stołu i zdjął kapelusz, jakby zamierzał zmówić modlitwę.

- Według mnie, to ten dzieciak nas wyzwał. Powiedział, że jest najlepszy w Montanie, więc najpierw załatwimy się z nim.

Daję pięć dolarów. Uważam, że Web go zwycięży.

- Zgadzam się! - zawołał ktoś inny.

- Daję pięć dolarów na Weba - zakrzyknął barman.

- I ja.

- Daję piątkę.

- Ja też się dokładam!

- Ile masz pieniędzy, mały? - spytał Web.

- Wystarczy - oznajmiła Kasey zuchowato. - Możecie dalej przyjmować zakłady.

- Daję dwadzieścia na Weba.

Każdy obecny w saloonie mężczyzna dorzucił coś do puli. Kasey obliczyła, że ma szansę wygrać około stu dolarów. Czuła narastające napięcie; jej dłonie zesztynniały i zlodowaciały. Czy kiedykolwiek pozbędzie się tego strachu podczas zawodów?

W oczach Grasona płonąła czysta furia.

- Mógłbym ci sprawić lanie - szepnął, zwracając się do dziewczyny.

- A czego się spodziewałeś? Kochałeś się z tą kobietą na moich oczach, wobec Boga i wszystkich innych!

- Kochałem się? Co ty wygadujesz?

- Szeptales jej coś do ucha i uśmiechałeś się do niej. Śmiałeś się. To było nieprzyzwoite! - Potarła dłonie, żeby je rozgrzać.

- Jeśli tak, według ciebie, wygląda kochanie się, to daleko ci do dojrzałości.

- Co?! - oburzyła się Kasey. - Może nie zdaję sobie sprawy z tego, co jest między kobietą i mężczyzną, ale nie podobało mi się, że dotykasz tej baby. Powinieneś się wstydzić!

Na wydatnych ustach Grasona ukazał się niespodziewanie znany jej zadziorny uśmieszek.

- Czy to zazdrość?

- Co?! Chyba upadłeś na głowę! Nie obchodzi mnie, z kim się zadajesz! - oświadczyła dziewczyna.

- Ho ho! A to dopiero... - zaczął jej towarzyszyć.

- Hej, zamierzacie się dalej klócić, czy będziemy strzelać? - przerwał mu barman. - Robi się ciemno!

- Zaraz, może coś jest w przechwałkach tego małego. Tylko on ma broń.

Mężczyźni zaczęli się zbierać wokół wahadłowych drzwi. Kasey odchrząknęła i starając się mówić jak najniższym głosem, oświadczyła:

- Mówię, że jestem najlepszy.

Tuż przed nią stanął chłopak w jej wieku; spojrzał na nią przekrwionymi ciemnymi oczami.

- Nie jestem uzbrojony, ale sobie z tobą poradzę - oznajmił. - W walce na pięści nikt mnie nie pobije.

Podszedł tak blisko, że musiała się cofnąć.

- Ja... nie walczę na pięści.

- Każdy mężczyzna walczy.

Grason chwycił jego pięść, zablokował cios i rzucił napastnika na ziemię.

- Spróbuj jeszcze raz dotknąć mojego brata, a złamię ci rękę. Rozumiesz?

- Ta...tak- wybełkotał chłopak.

- Nie musiałeś mi pomagać - rzuciła Kasey urażonym tonem.

- Akurat. Położyłby cię zimnym trupem. No, skoro już rozpoczęliśmy tę drakę, skończmy ją. Trzeba mi gorącego posiłku, ciepłego łóżka i...

- Kobiety - dokończyła jadowicie.

- Wybacz, ale zdaje się, że to nie twój interes. Podróżujemy razem, ale nie wtrącaj się do moich spraw.

Kasey zerknęła na kobietę przy barze, której baz wątpienia wydawało się, że świeżo poznany mężczyzna do niej wróci zaraz po zawodach.

No i dobrze. Grason miał rację. Nie powinna się interesować jego sprawami. Skoro tak chciał, niech sobie idzie z tą kobietą. Kogo to obchodzi?

Dołączyła do mężczyzn zebranych za saloonem. Ktoś zdążył już nasadzić butelki po whisky na żerdzie plotu. Grason stał z boku z kilkoma klientami z baru.

Kasey zawsze pozwalała, żeby przeciwnik strzelał jako pierwszy, i nie widziała powodu, żeby teraz postąpić inaczej. Web zgodził się na jej propozycję, wyciągnął broń, po czym wrzucił ramionami, wymierzył i zaczął strzelać. Trafił w cztery z sześciu butelek.

- Ciekawe, czy będziesz lepszy! - wrzasnął ktoś z tłumu.

Kasey spojrzała na swego towarzysza; siną głowę.

Po paru minutach oboje zmierzali ku swoim koniom, ona trzymając wygraną w pojemniku na naboje przy pasie. Zebrani rozeszli się powoli, wymieniając niechętne uwagi na temat talentu tego smarkacza.

- Jedźmy już - powiedziała Kasey widząc, że zmierzch stopniowo gęstnieje. - Będziemy musieli poczekać z zakupami do następnego miasta.

- Nie tak szybko - zatrzymał ją Grason, chwytając za ramię. - Nie przyjechaliśmy tu tylko z powodu broni i zapasów żywności. Chcę zjeść coś gorącego i przespać się w łóżku.

Kasey wyrwała mu się i oświadczyła stanowczo:

- Nie wolno zostawać w mieście, w którym się zrobiło taki numer. Wkrótce ci mężczyźni wytrzeźwieją, uświadomią sobie, że stracili pieniądze, i zaczną nas szukać. Przecież nie chcemy kłopotów? Zatrzymamy się w następnym mieście - powiedziała wsiadając na Velvet.

- Dziś nie dotrzemy już do żadnego miasta. Chcesz wyjechać, bo się boisz, że wrócę do Millie?

Już otwierała usta, żeby zaprotestować, kiedy zdała sobie sprawę, że Grason ma sporo racji. Co się z nią działo? Czyżby zaczynała coś do niego czuć?

- Tak sądzisz? - spytała kpiącym tonem. - Świetnie. Zostań i baw się dobrze. Ja mam pieniądze i broń. Odjeżdżam. - To rzekłszy, spięła konia ostrogami i ruszyła galopem.

7



Popędziła na złamanie karku; krzepki mustang galopował tak, że kurz, który się za nimi uniósł, przypominał burzę piaskową. Grason patrzył za Kasey i czuł, że gdyby mógł, skrzyłby jej ten śliczny kark.

Może ona go nie potrzebowała, ale on potrzebował jej. Tylko ta dziewczyna mogła go szybko doprowadzić do Eagle'a Clarka, a nic nie wydawało mu się ważniejsze od znalezienia tego wyrzutka i zmuszenia go do zapłaty za krzywdę, jaką wyrządził Madeline i miastu. Westchnął z desperacją i włożył stopę w strzemiono. W tej samej chwili ktoś dotknął lekko jego ramienia.

Za jego plecami stała, uśmiechając się słodko, kobieta z saloonu.

- Nie tak szybko, kowboju. Jeszcze nie skończyliśmy. - Musnęła jego pierś i ramię uwodzicielskim gestem. - Na czym to stanęliśmy, kiedy nam przerwano?

Tym razem jej zabiegi nie zrobiły na Grasonie wrażenia. Przyjrzał się uważnie jej twarzy w gasnącym świetle dnia. Oczy kobiety błyszczały nadzieją; patrzyła na niego wyczekująco, gotowa zrobić wszystko, czego by zażądał. Była ładniejsza niż

większość dziewczyn z saloonów. Nie tak dawno miał ochotę zabrać ją do pokoju na górze, lecz teraz jego myśli wypełniała tylko jedna kobieta, oddalająca się z każdą sekundą.

- Spotkamy się, kiedy znowu wpadnę do miasta - obiecał, nie chcąc odtrącać jej zbyt brutalnie. - Teraz muszę złapać to diabelskie nasienie.

Millie nie przestała się uśmiechać, ale w jej oczach pojawił się smutek, którego wcześniej nie zauważył. Ile razy trzeba przeżyć odrzucenie, żeby przestało boleć?

Wciąż jednak nie dawała za wygraną.

- Człowiek, który strzela tak jak twój brat, potrafi o siebie zadbać - powiedziała.

Nie zdawała sobie sprawy, jak blisko była prawdy. Kasey nie raz udowodniła, że potrafił sobie poradzić. Grason zerknął w stronę oddalającej się figurki na koniu. Przypomnił sobie tę dziewczynę, stojącą na środku saloonu i wyzywającą podpitych mężczyzn. Powiedziała, że jest najlepszym strzelcem w całym stanie Montana!

Jeden kącik ust podniósł się Grasonowi w uśmiechu. Kasey ożywiła to miasto i zapewniła jego mieszkańcom atrakcję, o jakiej długo będą mówić. Oszukała ich, wmówiła, że jest jego bratem. Wszystko to obudziło w nim podziw nie mniejszy niż strzeleckie umiejętności dziewczyny.

Coś w nim poruszyła. Była silna i nieustraszona, ale kryła w sobie wzruszającą wrażliwość. Udawała, że uważa się za najlepszego strzelca, ale w głębi duszy chyba w to wątpiła. Podziwiał, jak nieustępliwie podąża w ślad za siostrą. Szanował ją coraz bardziej i coraz bardziej pragnął ją dogonić.

- Zostań jeszcze chwilę, kowboju. Nie będziesz się nudzić - wabiła go Millie.

Ochrypli, gorący szept kobiety wdarł się w myśli Grasona.

- Nie teraz - rzucił z rozdrażnieniem. Stracił już zainteresowanie tą uperfumowaną królową nocy. Odtrącił jej rękę, wsiadł na konia i dojechał, nie oglądając się za siebie.

Ślad Kasey był świeży, ale okazało się, że Grason nie mógł

jej dogonić tak szybko, jak się spodziewał. Dziewczyna najwyraźniej starała się odjechać od Bozeman najdalej, jak to możliwe.

Coraz bardziej go intrygowała, gniewała... i kusila. Postanowił, że nie odstąpi od niej na krok, dopóki nie dowie się wszystkiego. Twierdziła wprawdzie, że chce odnaleźć siostrę, ale Grason nie mógł się pozbyć wrażenia, że raczej przed kimś ucieka. Dlaczego chwyciła go za serce tak jak jeszcze żadna kobieta, nawet Madeline?

- Madeline... - szepnął. Pewnie już by się z nią ożenił, gdyby nie odeszła. Niespodziewanie poczuł ulgę. To dobrze, że się z nią nie związał, i to nie ze względu na jej stan. To miało raczej coś wspólnego z kobietą, o kasztanowozłotych włosach, której śladem jechał.

Obudziła w nim więcej uczuć przez jeden dzień niż Madeline przez wszystkie lata ich znajomości.

Ciągle pamiętał drżące ciało Kasey, kiedy wyciągnął ją ze strumienia, kaszlącą i przerażoną. Pamiętał, jak do niego przywarła, jak go objęła. Była prawdziwą kobietą, nieustraszoną i zupełnie niedoświadczoną w miłosnych sprawach. Co za połączenie!

Nie zwolnił, dopóki mniej więcej dwa kilometry od miasta, nie ujrzał w dali jej sylwetki na koniu podążającym wolnym krokiem.

Na ciemniejącym niebie mieszały się zgaszone odcienie fioleto, purpury i złota. Postrzępione szczyty Szalonych Gór znaczyły linię horyzontu na północy, a na południu widniały masywy Gór Śnieżnych. Wczesny księżyc wisiał już wysoko na niebie; upał zelżał, zerwał się chłodny wiatr.

Kiedy Grason dogonił Kasey, zdążyła już umyć twarz, przebrać się we własne ubranie i właśnie zbierała chrust na ognisko. Zdjęła kapelusz; długie kędzierzawe włosy trzepotały na silnym wietrze.

Nie podniosła na niego wzroku, kiedy zsiadał z konia; najwyraźniej długa jazda nie ugasiła jej gniewu. Ciągle wściekała się o tę dziewczynę z saloonu. Grason zastanawiał się, czy naprawdę jest o niego zazdrosna. A jeśli tak? Uśmiechnął się mimowolnie.

Tak, cieszyło go, że to przelotne zainteresowanie okazane Millie zdenerwowało Kasey. Mimo woli zdradziła, że jej obojętność to tylko maska. Choć właściwie reakcje tej dziewczyny nie powinny go obchodzić, nic ich przecież nie łączyło. Kiedy pościg za Eagle'em się skończy, wszystko będzie wyglądać inaczej.

Od chwili, kiedy zrozumiał, że Kasey nie jest kobietą z obwieszczenia, toczył rozpaczliwą walkę z własnymi namiętnościami. I przegrywał. Nawet teraz, kiedy się jej przyglądał, czuł narastające pożądanie. Pragnął jej. Nic dziwnego, taka piękna kobieta, silna i namiętna... W miłości byłaby wspaniałą partnerką, nie miał co do tego wątpliwości. Wszystko, co robiła, było pełne zapamiętania i uczucia. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej pragnął zostać mężczyzną, który obudzi w niej pożądanie.

Ale to nie jej uderzająca uroda wydała się mu najbardziej pociągająca, tak naprawdę najbardziej kusila go ta wewnętrzna siła, którą wyczuwał w Kasey. Pościg za bandą wyrzutków nie mógł być łatwym zadaniem dla kogoś tak młodego i niewinnego jak ona.

- Co cię nagle ugryzło? Dlaczego tak uciekłaś? - spytał. Dziewczyna zerknęła na niego wrogo.

- A co, wyglądam, jakby mnie coś ugryzło?

Słyszał, że nie jest już na niego zła, ale najwyraźniej nie zamierzała tego przyznać.

- Owszem, i to mocno.

- Zapewniam cię, że na mnie można sobie połamać zęby.

Grason ukrył uśmiech satysfakcji. Oto kolejna godna podziwu cecha. Ta kobieta nie miała zwyczaju się obrażać i zamykać w milczeniu. Kiedy była na niego zła, potrafiła ostro dociąć.

Przykląkł i zaczął układać kamienie wokół miejsca wyznaczonego na palenisko. Kasey upuściła na stertę kolejną naręcz chrustu, wyprostowała się, podparła pod boki i spojrzała na swego towarzysza.

- Jeśli chciałeś ją sobie przygadać, trzeba było zostać. Podołały jej się twoje komplementy. Mnie na to nie nabierzesz.

- Nikomu nie prawię komplementów.
- To dobrze, bo na mnie nie działają.
- Nie wątpię - przyznał Grason, powstrzymując śmiech.
- Chciałam jak najszybciej wyjechać.
- Widziałem.
- Nie wolno zostawać w mieście, w którym zrobiło się taki numer - powiedziała Kasey.

- Naprawdę?
- Wcześniej czy później ci mężczyźni mieliby ochotę odzyskać pieniądze albo się z nami policzyć. Zawsze tak jest.

Coś w tonie dziewczyny sprawiło, że Grason spowaźniał.

- Mówisz z doświadczenia?
- Nie - przyznała, spoglądając w mroczniejące niebo. Odgarnęła z twarzy kosmyk lśniących włosów. - Znałam zasady, zanim zrobiłam mój pierwszy przekręt.

Zamyślane spojrzenie Kasey obudziło w nim dziwnie czułe uczucia. I zaintrygowało go. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o życiu, jakie prowadziła. Pamiętał, że to ojciec nauczył ją strzelać; z pewnością udzielał jej również innych rad.

- Wiesz od ojca? - spytał.

- Tak.

Spodziewał się dalszych wyjaśnień, ale odwróciła się, podeszła do przywiązanych koni i zaczęła zdejmować siodło ze swojej klaczy. Najwyraźniej nie zamierzała się wdawać we wspomnianie przeszłości, ale Grason postanowił tym razem nie dać jej spokoju. Powiedziała mu tyle, że chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

Odczekał parę minut, po czym znowu się odezwał:

- Ojciec nie powinien uczyć córki robienia takich przekrętów. Dlaczego to zrobił?

- Nie twój interes! - odrzyknęła Kasey przez ramię i uniosła siodło, sapiąc z wysiłku.

Znowu to samo! - pomyślał Grason, marszcząc czoło. Miał wiele podziwu dla Kasey Anderson, ale te jej uniki, kiedy nie chciała o czymś mówić, potwornie go irytowały.

Dzieciństwo tej dziewczyny musiało wyglądać nieszczególnie, skoro ojciec uczył ją przekrętów, a matka zabraniała przeklinać.

- Jesteś wściekły, bo strzelam lepiej od ciebie - powiedziała Kasey, kładąc siodło po przeciwnej stronie ogniska.

Grason rozniecił ogień i dorzucił parę gałązek chrustu. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna ma ochotę rozmawiać, choć nie na swój temat.

- Nie wykręcisz się - rzekł. - I wcale nie jestem wściekły. Poza tym mógłbym cię z łatwością pokonać, gdybym poświęcał na ćwiczenia tyle czasu co ty.

Rozpostarła na ziemi końską derkę, a na niej rozłożyła koc.

- Najważniejsze jest wyrównanie oddechu i unieruchomienie ręki przed skupieniem się na celu.

- Może z puszkami to się sprawdza, ale co byś zrobiła, gdyby cel się ruszał? - spytał Grason, nalewając wodę z manierki do garnka. - Albo gdybyś patrzyła na wycelowaną w siebie lufę i nie miała czasu na to całe oddychanie i resztę? Wtedy trzeba polegać na instynkcie.

Kasey ułożyła siodło tak, by służyło jako oparcie dla pleców.

- W twojej pracy to pewnie ważne, w mojej wszystko musi być na miejscu.

- Kiedy wjedziesz do obozu bandytów, nie dadzą ci czasu na te sztuczki. - Grason z rozmysłem sprowadzał rozmowę na niewygodny temat, o którym jego towarzyszka wolała na razie nie wspominać.

- Wprawa czyni mistrza - mruknęła, nerwowo wygładzając fałdy koca.

Wodził spojrzeniem za jej dłonią, sunącą po wełnianym materiale o barwie piasku. Jej ruchy były pewne, celowe i szybkie. Miała ładne ręce; smukłe palce o krótkich czystych paznokciach. Grason miał ochotę spojrzeć na wnętrze jej dłoni; pewnie były miękkie i delikatne, jak ręce Madeline. A może odcisnęło się na nich życie, jakie wiodła?

- I daję zbytnią pewność siebie - odparował. - Pamiętaj o tym. Zawsze jest ktoś lepszy od ciebie.

- Wiem, że nie jestem najlepsza, i znam osobę, która strzela

lepiej ode mnie - powiedziała Kasey, westchnąwszy ciężko. -
Przypominam sobie o tym codziennie. Nie musisz tego robić.

W jej głosie brzmiała zaskakująca nuta goryczki. Z każdą informacją, jaką zyskiwał, rozumiał ją coraz lepiej. Nie trzeba było dużo czasu, by się zorientować, że jej problemy wiążą się z Jean.

- Znowu mówisz o swojej siostrze, prawda?
- Nie - odparła natychmiast Kasey.
- Sądzisz, że nie strzelasz tak dobrze jak ona, choć bardzo

byś tego chciała.

- Nie.
- To dlatego codziennie ćwiczysz? - uparcie dążył Grason.
- Nie. - Dziewczyna twardo obstawała przy swoim.

Kłamała, ale nie miał jej tego za złe; jego także dręczyły demony przeszłości.

- Za każdym razem, kiedy wygrywasz, usiłujesz pokonać siostrę.

- Nie, nie, nie! Przestań!
- Trudno to przyznać, co?
- Nie wiesz, o czym mówisz! - rzuciła Kasey z wściekłością. -

Przestań! Kocham Jean i nie zdołasz tego zepsuć.

Bardzo żałował, że nie wie, co naprawdę wydarzyło się pomiędzy siostrami.

- Kasey, słuchaj...

Zielone oczy dziewczyny błysnęły groźnie z drugiej strony ogniska.

- Nie chcę rozmawiać o mojej siostrze, rozumiesz? Jeśli zamierzasz się dalej wtrącać do mojego życia, możemy się rozstać. Chcę odnaleźć Jean i zawieźć ją do matki. To jedyne, co się dla mnie Uczy. Nie obchodzi mnie, czy pojedziesz ze mną. Kiedy będę na miejscu, znajdę kogoś, kto przeprowadzi mnie przez góry.

Jej oczy, ciemny rumieniec, drżenie głosu wyraźnie świadczyły o tym, że był bliski prawdy, nie mógł jednak naciskać dalej. Spojrzał w płomienie i zastanawiał się przez chwilę, zanim znowu się odezwał:

- Czy to znaczy, że obóz Eagle'a znajduje się w pobliżu miasta? Billings albo Miles City?

- Nie powiem.

Ogień płonął, trzaskając głośno, ale nie dawał dostatecznego ciepła. Po zachodzie słońca zerwał się zimny, przenikliwy wiatr. Kasey odgarnęła włosy z twarzy. W świetle ogniska Grason zauważył smugę brudu, którą przeoczyła przy myciu twarzy.

- Chyba nie sądzisz, że znajdziesz kogoś, kto zechce pojechać z tobą do obozu bandytów?

Zdjęła z siodła obszytą frędzlami kurtkę i zarzuciła ją na ramiona.

- Nie chcę, żeby ktoś ze mną pojechał do obozu. Potrzebuję tylko pomocy przy znalezieniu drogi, potem sama sobie poradzę.

Na granatowym niebie zabłyśły jasne gwiazdy. Kasey ukryła oczy za zasłoną spuszczonej rzęsy, ale nie zdołała oszukać Grasona. Wiedział, że dotknął nie zagojonej rany. Uznał, że nic nie osiągnie, jeśli będzie naciskać, tym bardziej że dziewczyna była zmęczona; powieki same się jej zamykały, a oczy przygasty. Podróżowanie od wschodu do zachodu słońca wyczerpało ją, choć nie chciała tego przyznać.

- Dobrze. Będzie tak, jak chcesz - rzekł Grason.

- I już nie rozmawiajmy o Jean.

- Dobrze. - Wstał i podał jej torbę z żywnością. - Przygotuj fasolę i kawę, a ja rozsiodłam konia. Chyba oboje musimy wypocząć.



Kasey poruszyła się przez sen; coś działało się z jej nogą. Skurcz mięśnia, zaraportował uspiony umysł. Skuliła się pod kocem, ale palący ból nie ustępował.

Dziewczyna otworzyła gwałtownie oczy; wyraźnie wyczuwała niebezpieczeństwo. Poruszyła się i drgnęła; ku jej twarzy buchnęły płomienie. Owiał ją gorący podmuch.

Koc stał w ogniu! Całym jej ciałem szarpnął skurcz strachu.

- Grason! - krzyknęła przeraźliwie, usiłując się uwolnić z płonącego materiału.

- Uciekaj! - Jej towarzysz obudził się w mgnieniu oka i skoczył na równe nogi. - Wstań!

Ostroga Kasey uwięzła w kocu.

- Nie mogę! Zaplątałam się!

Im bardziej się szarpała, tym bardziej była skrepowana. Ogień parzył jej palce. Ogarnęło ją przerażenie.

Grason zaczął dławić płomienie obutą stopą i kapeluszem.

- Tarzaj się! - rozkazał, sypiąc ziemię na koc.

Dziewczyna usłuchała, lecz płonący materiał włókł się wraz z nią.

Grason rzucił kapelusz, gołymi rękami zerwał z niej koc, po

czym bił nim o ziemię dopóty, dopóki nie zgasła ostatnią iskierka.

Kasey usiadła na podwiniętych nogach, drżąc ze strachu i zimna nocnego powietrza. Ręce drżały jej tak mocno, że z trudem odgarnęła włosy z twarzy.

Jej towarzysz rzucił zwęglony koc na ziemię i pomógł wstać. Objęła go za szyję i przywarła do niego. Miała wrażenie, że rozpływa się w ciepłe jego ciało. Ramiona Grasona wydawały się stworzone dla niej. Tak dobrze do nich pasowała... Wtuliła twarz w jego szyję, pocierając nosem i wargami o rozgrzaną skórę. Był silny i niewzruszony jak skała.

Zaniósł ją na swoje posłanie i usiadł razem z nią. Kiedy Kasey skuliła się, przygarnął ją do siebie najmocniej, jak mógł.

Nie wiedziała, które z nich drży bardziej. Trzymała go za szyję, bojąc się, że ją od siebie odsunie, a nie chciała tracić tego ciepła.

- Ale się przestraszyłem. Sparzyłaś się? - spytał Grason.

- Nie wiem - szepnęła. - Proszę, potrzyмай mnie tak przez chwilę. Nie odchodź.

- Dobrze. Nic ci już nie grozi.

Gdy wtuliła się w jego ciało jeszcze bardziej, zadrżał. Potarł zarośniętym policzkiem o czoło dziewczyny. Westchnęła z zadowoleniem. W chłodnym powietrzu unosił się odór spalonej wełny.

Nagle Kasey uświadomiła sobie, że już nie myśli o minionym niebezpieczeństwie. Dotyk Grasona rozniecił w niej inny rodzaj ognia. Ogarnęło ją jakieś niezrozumiałe pragnienie; wtuliła biodra w jego ciało. Zesztywniał i powoli się od niej odsunął.

- Sprawdź, czy nic ci się nie stało.

Dziewczyna nie była zachwycona tą nagłą utratą kontaktu z ciepłym męskim ciałem.

- Tutaj mnie boli. - Pokazała punkt poniżej kolana. - Chyba zrobił mi się pęcherz.

Grason poruszył się; na jej nogę padło światło księżyca. Uniosła osmalony rąbek rozciętej spódnicy; ogień wypalił dziurę w bawełnianej pończosze. Kasey wzdrgnęła się, gdy jej towarzysz najpierw położył dłoń na jej kolanie, a potem dotknął poparzonej łydki.

- Cholera - szepnął.
- Nie boli aż tak - uspokoiła go dziewczyna. - Bardziej szczypie. Nic mi nie będzie.
- Przekonamy się rano. Jeśli zrobi się pęcherz, trzeba będzie wrócić do Bozeman, żeby lekarz przyłożył maść czy coś podobnego.
- To chyba nie będzie konieczne. Przestraszyłam się, i tyle.
- Wcale się nie dziwię. Dlaczego spałaś w butach?
- Nogi mi marzną. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Nie wiem, dlaczego ten koc się zapalił. Obudziłam się i zobaczyłam ogień. Nie mogłam się wydostać.
- Zdaje się, że wiatr przywiał iskrę na twoje posłanie niedługo po tym, jak zasnęliśmy. Wełna pewnie od razu się zajęła.

Z nieba mrugały ku nim miliony gwiazd. Zimny powiew poruszył liśćmi nad ich głowami. Nocne ptaki ćwierkały, cykały świerszcze, z oddali dobiegało wycie kojotów.

Kasey trwała bez ruchu, wtulona w Grasona. Jego ciało było niczym tarcza, chroniąca ją przed niebezpieczeństwem. Właściwie powinna wstać i sprawdzić, czy nie zdoła uratować choć części koca, ale nie miała ochoty wyzwalać się z uścisku Grasona, pozbawiać się tego upojnego uczucia, jakim napełniał ją jego dotyk, tego narastającego napięcia.

Nie chciała wiązać się z tym mężczyzną; wszelkie uczucia były przecież w jej sytuacji nie na miejscu, miała jasno wytyczony cel i nie mogła pozwolić, by cokolwiek przeszkodziło w osiągnięciu go. Jak to możliwe, że doznawała tych cudownych wrażeń, skoro ich nie chciała?

Uniosła rzęsy i spojrzała w ciemnoniebieskie oczy, wpatrzone w jej twarz. Nie mogłaby uciec przed tym przenikliwym wzrokiem, nawet gdyby chciała. Pomiędzy nimi działa się coś tajemniczego, a ona była zupełnie bezradna. Czowała błogi spokój, choć jednocześnie wszystkie jej zmysły trwały w stanie najwyższego napięcia. Coś jej mówiło, że Grason czuje to samo.

Podobała mu się. Wiedziała o tym, choć nie zdradził się ani

słowem. Widziała to w jego oczach, rozpoznawała w dotyku. Chyba oszalała, skoro dawała się ponieść tym emocjom.

Oczy Grasona załśniły, pełne usta drgnęły.

- Kasey, to niebezpieczne - ostrzegł..

- Dla ciebie czy dla mnie?

- Dla nas obojga.

- Z tobą jestem bezpieczna - powiedziała dziewczyna z przekonaniem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Kiedy wreszcie oderwali od siebie wzrok, Grason odezwał się dziwnie niskim głosem.

- Nie jesteś. Znam to uczucie i wiem, dokąd prowadzi. Ale ty chyba nie wiesz.

- Chcę się dowiedzieć - szepnęła.

Usłyszała jego gwałtowne westchnienie. Gdy się nad nią pochylał, przeszył ją dreszcz podniecenia. Jego ciepły oddech owiał jej twarz. Serce Kasey zaczęło bić szybciej, mocniej. Poczowała na wargach dotyk jego ust; w piersi odezwało się jej jakieś dziwne drżenie, które spłynęło w dół, do brzucha, i zatrzymało się pomiędzy nogami.

Pocałunek był delikatny, przelotny. Grason cofnął się, jakby dawał dziewczynie szansę ucieczki.

Jej zmysły wyostrzyły się na wszystko, co go dotyczyło. Pachniał spaloną wełną, końskim potem i skórą. Oddychał szybko, nierówno, chrapliwie. Czowała, że otacza ją obłok jego ciepła, oddechu, namiętności. W jego oczach lśniło pożądanie. To ona je budziła.

Jeszcze nigdy nie przeżyła czegoś tak cudownego. Mężczyzna patrzył na nią z nieopisanym pożądaniem. Dzięki temu poczuła się piękna. Wyjątkowa. Inna niż zwykle.

- Możemy to zrobić jeszcze raz? - spytała zdławionym głosem.

- Jasne.

Objął ją w tali. Poczowała, że rozpierają słodki, skomplikowany ból i pragnienie, którego nie potrafiła zrozumieć. Jak to możliwe, że jeden pocałunek może obudzić tak wiele niezwykłych doznań? Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia.

Poczuła rękę Grasona, sunącą po jej plecach aż do karku. Spazm rozkoszy eksplodował w niej w chwili, gdy zaczął gładzić ją po szyi. Przysunęła się bliżej i zamknęła oczy, z zapartym tchem oczekując dalszego ciągu.

Miała wrażenie, że zalewa ją fala ciepła. Jęknęła i pochyliła się ku niemu; znowu poczuła dotyk jego wilgotnych ust. Przywarła do twardej męskiej piersi; czuła, że cała wibruje pragnieniem, którego nie potrafiła zaspokoić.

Dlaczego całował ją tak delikatnie, kiedy wszystko w niej krzyczało o mocniejszy, głębszy pocałunek, o pieszczoty bardziej brutalne? Pragnęła czegoś więcej, pragnęła go całego.

Wargi same się jej rozchyliły. Język Grasona wśliznął się do jej ust, poruszył się powoli, jakby ją smakował. Ten gwałtowny głód, którego nie potrafiła nazwać, spotęgował się i skoncentrował w jej ciele. Poruszyła odruchowo biodrami, niespiesznie, leniwie.

Z ust Grasona wydarł się jęk.

Kasey poczuła, że i on wpiera się w nią biodrami, z żarliwym pożądaniami, równie silnym jak to, które czuła. Jego dłoń ześliznęła się w dół i objęła jej pierś.

Dziewczyna straciła dech od uderzenia nagłego, rozkosznego dreszczu. Głęboko w jej ciele coś wybuchło i załało ją palącym pragnieniem. Kiedy odpowiedziała na pieszczotę, Grason wydarł jęk protestu i odsunął się od niej z trudem.

Otworzyła oczy, zdumiona; patrzył na nią z tym swoim szelmowskim półuśmiechem.

- Lepiej?- spytał.

- Co? - Zaczepnęła powietrza, usiłując opanować wszystkie doznania, które walczyły w niej o lepsze. Nie mogła myśleć, obezwładniona pożądaniami.

Grason musnął dłonią jej policzek.

- Pocałunek powinien łagodzić ból. Pomogło?

Jakby oblał ją kubłem zimnej wody. Pocałował ją tylko po to, żeby przestało jej dokuczać oparzenie? Nie dlatego, że chciał, że uważał ją za godną pożądaniami kobietę. Upokorzona, odsunęła się od niego. Więc źle odczytała to spojrzenie, czułość jego

pieszczot? Chciał ją traktować jak dziecko, podczas gdy ona po raz pierwszy w życiu poczuła się kobietą?

Serce przeszły jej dotkliwy skurcz, o wiele bardziej dokuczliwy niż ból oparzonej nogi. Potarła wargi dłonią i wstała, zbyt zraniona, żeby coś powiedzieć. Całe jej ciało pulsowało nie zaspokojoną żądzą.

Jak mogła się łudzić, że Grason zobaczy w niej kobietę? Przypomniała sobie tamtą wyzywającą Millie z saloonu. Uśmiech Millie wyraźnie mówił, że Grason jej się podoba, że chciałaby z nim być. A ja? - pomyślała Kasey z goryczą. Potrafię zwrócić na siebie uwagę mężczyzny tylko po to, żeby wyciągnąć z niego trochę grosza. Nie umiałabym go podejść tak jak tamta. Nie potrafiłabym dać mu do zrozumienia, że dla mnie jest najważniejszy.

- Proszę, możesz spać na moim kocu - odezwał się Grason. - Jutro sprawdzimy, czy twój da się uratować.

- Nie chcę twojego koca - rzuciła wrogo, pokonując odretwienie. - Poradzę sobie.

Znowu dotknęła ust; ciągle czuła na nich dotyk męskich warg.

- Moja kurtka jest grubsza od twojej - powiedział, już bardziej szorstko. - Bierz ten cholerny koc i daj mi pospać.

- Nie chcesz porozmawiać?

- Nie.

Skinęła głową niechętnie, ale nie zaprotestowała. Nie mogła; ciało zanadto ją dręczyło. Czuła, że jest zbyt zmęczona, żeby się wdawać w kłótnie. Nie wiedziała, nie rozumiała, dlaczego tak mocno zareagowała na tego mężczyznę. Pewien młodzieniec, którego poznała podczas przedstawień z Dzikiego Zachodu, pocałował ją parę razy, ale nigdy nie obudził w niej takiego uczucia. Grason sprawił, że całe jej ciało krzyknęło z pożądania. Kasey nie potrafiła tego wytłumaczyć.

Otuliła się jego ciepłym kocem i zrozumiała coś jeszcze. Teraz nic już nie będzie takie samo, nie po tym pocałunku. Grason przestał być dla niej tylko mężczyzną, który miał jej pomóc w odnalezieniu siostry.

Grason obudził się na dźwięk strzałów. Zerwał się, odruchowo sięgając po broń. Kasey stała w pewnym oddaleniu, ćwicząc strzelanie. Niech ją diabli. Dlaczego go nie obudziła, jak każdy przywoity towarzysz podróży? Dlaczego go nie trąciła nogą, skoro widziała, że zaspał? Nie, ona przecież musiała strzelać z tego cholernego rewolweru.

Przezeszał włosy palcami. Teraz sobie przypomniał o nocnym pożarze. Tym realnym i drugim, nie mniej prawdziwym, który rozgorzał w jego sercu.

Spojrzał na smukłą postać na tle nieba, błękitnego niczym farbka do bielizny, i poczuł, że znowu budzi się w nim głód jej ciała. Chciał ją poczuć, wbić się w nią głęboko, przeżyć rozkosz...

- Szlag! - mruknął pod nosem.

Dzień już teraz był zbyt upalny. Grason zdjął kurtkę, wstał i się przeciągnął, aż trzasnęło mu w kręgosłupie. Nie spał dobrze tej nocy; rozmyślał o Kasey.

Niewinnej Kasey.

Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział jej twarz, czuł reakcję na pocałunek i dotyk. Każdy oddech przypominał mu o woni jej nagrzanym słońcem włosów, słodkim kobiecym zapachu delikatnej skóry. A kiedy nocne ptaki milkły na chwilę, słyszał jej cichy oddech i uświadamiał sobie, że postąpił jak głupiec, nie przyjmując jej wtedy, gdy mu się chciała oddać.

Nawiedziła go okropna pokusa, by zapomnieć, dlaczego się tak zachował, położyć się obok niej, wziąć w ramiona i naprawić błąd.

Widział wyraźnie, że Kasey jest zupełnie niedoświadczona. Nie miała pojęcia, że cały stanął w ogniu, kiedy potarła nosem i ustami o jego rozgrzaną skórę. Nie zdawała sobie sprawy, jak rozpaczliwie chciał ją położyć na ziemi i się z nią kochać.

Ciągle pamiętał, jak namiętnie na siebie zareagowali, ale pamiętał także, dlaczego przerwał pocałunek. Teraz jednak, dręczony tym nieustępliwym pulsowaniem między nogami, wątpił w szlachetność swojej decyzji.

Ta dziewczyna tak go pragnęła, że z łatwością mógł się z nią

kochać, lecz nie tego od niej chciał. I wiedział, że ona również nie tego pragnie. Ich losy i tak były już zbyt poplątane, żeby kolejna komplikacja mogła im wyjść na dobre.

Wziął stojący obok paleniska garnek; był jeszcze ciepły. Nalał sobie kawy do kubka i zaczął powoli popijać. Potarł zarosniętą brodę. Tak, nie wolno mu było zapominać, że i bez niego dziewczyna ma dość problemów. Nie powinien jej obarczać nowymi.

Kasey włożyła wreszcie rewolwer do kabury i zbliżyła się do obozu. Zatrzymała się i podniosła z ziemi spalony koc. Grason czuł, że stara się na niego nie patrzeć. Ona także nie zapomniła o wczorajszej nocy.

- Jak noga? - spytał.

- Dobrze. Ciągłe zaczerwieniona, ale nie ma bąbla. Chyba szybko się zagoi - powiedziała Kasey i rzuciła koc na ziemię.

- Ale i tak musisz na nią uważać. Może wdać się zakażenie.

- Wiem.

- Słuchaj... to, co się zdarzyło, między nami...

- Nie - przerwała mu. - Oboje byliśmy wzburzeni. Ten ogień mnie przeraził, a ty mnie uspokoiłeś. Nie mówmy o tym więcej, bo niczego nie zmienimy. Zapomnijmy o wszystkim.

- Właśnie to chciałem powiedzieć - rzekł Grason, ale dobrze wiedział, że to, co między nimi zaszło, było zaledwie wstępem do czegoś więcej. Na razie jednak zamierzał zapomnieć o tym pocałunku. Na razie. Musiał pamiętać, że mają przed sobą tylko jedno zadanie.

Kasey Anderson była jego łącznikiem z Eagle'em. Nie mógł pozwolić, żeby pożądanie stanęło mu na drodze do celu. Mieszkańcy Ransom traktowali go tak samo jak jego ojca - z szacunkiem. Pora, żeby na niego zasłużył i oddał Eagle'a i jego bandę w ręce sprawiedliwości.

Z oddali dobiegł jakiś głuchy dźwięk. Początkowo Grason wziął go za odległy grzmot, ale odgłos nie ustawał.

- Słyszysz?- spytał, podnosząc się z ziemi.

- Tak. Ktoś tu jedzie. To chyba wóz.

Grason skinął głową.

- I szybko się porusza.

Teraz tętent kopyt i skrzywienie kół były już całkiem wyraźne.

- Tam - odezwała się Kasey, wskazując na południowy zachód. - Wóz handlarza. To Dinker.

Spojrzała na swego towarzysza po raz pierwszy tego ranka. Żadna kobieta nie może wyglądać ładnie po trzech dniach na szlaku, a jednak ona prezentowała się zachwycająco.

- Dinker? Znasz go?

- Niezupełnie. Rozmawiałam z nim przez parę minut w drodze z Ransom. Spytałam, czy nic zna skrótu do Bozeman.

Powoli znowu zaczęli zwracać się do siebie tak, jakby nic się nie stało. Grason odetchnął.

- Więc dlatego tak szybko się oddaliłaś? Pojechałaś krótszą drogą.

Nie odpowiedziała. Sprytna kobieta z tej Kasey Anderson, pomyślał. Między innymi dlatego powinien zapomnieć o tym nieszczęsnym pocałunku i skupić się na pościgu za Eagle'em Clarkiem. Kasey miała zaprowadzić go na miejsce, i tylko tego od niej chciał. Wszystko inne mógł dostać w każdym napotkanym mieście.

- Pewnie nas dogonił, bo wczoraj zatrzymaliśmy się w Bozeman - zauważyła.

- Chyba tak.

- Szybko jedzie. Ciekawe, co go tak przestraszyło.

- Zaraz się dowiemy, pruje w naszą stronę.

Po chwili siwe kłacz, ciągnące wóz Dinkera, zatrzymały się przy obozowisku.

- Usłyszałem strzelaninę! - zawołał handlarz, zaciągając ręczny hamulec. - Pomyślałem, że ktoś ma kłopoty. Co to było?

- Kasey - wyjaśnił Grason. - Ćwiczyła strzelanie do celu.

Dinker przyjrzał mu się, poprawiając okulary.

- A po co? Alem się wystraszył. Jużem myślał, że to Indiancy.

- Nie, nic się nie stało. - Kasey zbliżyła się do wozu. -

Pamiętasz mnie?

- No jasne. Masz chłopięce imię. I jego też pamiętam. Przygłolował godzinę po tobie i pytał o ciebie.

- Tak myślałam - mruknęła i zerknęła na swego towarzysza. Ten wzruszył niewinnie ramionami i posłał jej promienny uśmiech.

- Myślałem, że jechałaś do Bozeman - dodał Dinker.

- Już tam byłam.

- To jest ten, z którym miałaś się spotkać?

- Nie. Okazało się... - Zawahała się i dokończyła dopiero po chwili: - Nie zdążyłam na spotkanie, ale ten też się nada.

Grason schylił się, podniósł sponiewierany kapelusz i spróbował oczyścić go z sadzy. Nie udało się; nakrycie głowy wyglądało jak siedem nieszczęść. Spojrzał z namysłem na wóz handlarza.

- Jakie towary masz w tym objazdowym sklepie?

- Po trochu wszystkiego.

- A masz kołty?

Dinker przechylił głowę na bok.

- Aha. I bardzo ładnego remingtona.

- A winchestera?

Handlarz skinął głową.

- Nawet dwa - pochwalił się.

- A kapelusze? - dorzuciła Kasey.

Grason zerknął na dziewczynę; jej ciemnoróżowe wargi rozchyliły się lekko i przez chwilę wydawało się, że pojawi się na nich uśmiech.

- Nowe i używane dla mężczyzn, ale żadnego dla damy.

- To dobrze. Ten kapelusz nie jest dla mnie. Zobaczymy, może któryś się nada.

- A masz herbatę? - spytał Grason bez zastanowienia. Właściwie nie chciał, żeby Kasey pomyślała, iż obchodzą go jej zachcianki.

Stary handlarz uśmiechnął się szeroko.

- Najlepszą w tej okolicy. - Zdjął kapelusz i podrapał się po głowie, wodząc spojrzeniem od Kasey do Grasona. - Chcecie kupić to wszystko?

- Tak - powiedzieli jednocześnie.

Dinker parsknął śmiechem, po czym uderzył się kapeluszem w kolano.

- A niech mnie! Możecie mnie nazwać małym stryjem, jeśli to nie jest mój szczęśliwy dzień!

Rozstali się z Dinkerem koło południa. Odjechali z jukami wypchanymi suszoną wołowiną i puszkami z kukurydzą, fasolą i buraczkami. Kasey od razu poczuła się pewniej, mając własne zapasy żywności. Już teraz cieszyła się na myśl o gorącej herbacie.

Pałące słońce na intensywnie niebieskim niebie podążało w tym samym kierunku co oni. Cała okolica wydawała się pełna absolutnego spokoju i harmonii. Ale Kasey nie czuła błogości, jaką emanował krajobraz; z wysiłkiem starała się usunąć wspomnienia wczorajszej nocy. A kiedy niepokorna pamięć wykorzystała chwilę nieuwagi, dziewczyna usiłowała myśleć o tym, co powinna zrobić dla matki.

Za każdym razem, kiedy ojciec wyjeżdżał na występy, mówił jej, że ma się zająć matką. I tak robiła. Tyle razy go zawiodła, nie mogąc dorównać Jean w strzelaniu, rzucaniu lassem czy jeździe konnej. Ale to jedno potrafiła zrobić: zajmowała się matką. Teraz, kiedy nie było już ojca ani Jean, czuła się bezwarunkowo odpowiedzialna za los Mae Anderson. Nie miała wpływu na jej zdrowie, ale na pewno mogła sprowadzić Jean do domu. I choć nie chciała, żeby Grason o tym wiedział, niepokoila się, że siostra nie zechce z nią wrócić.

Zerknęła na swego towarzysza, jego nowe nakrycie głowy nie przypominało starego stetsona, ale robiło dobre wrażenie. Miało kolor ogona bobra i nabijaną ćwiekami opaskę.

Dotarli do rzeki Yellowstone, prawie ze sobą nie rozmawiając, po czym ruszyli wzdłuż jej brzegu ku Billings. Słońce prażyło niemiłosiernie. Od czasu do czasu zrywały się lekkie poddmuchy wiatru, a wielkie puchate chmury powoli przetaczały się przez niebo i znikwały za odległymi, groźnie najeżonymi górskimi szczytami.

Łubin, goryczka i inne polne kwiaty oraz zioła stały w pełnym rozkwicie, znacząc krajobraz plamami fioletu, błękitu, różu i żółcieni. Brzegi rzeki mieniły się wspaniałymi odcieniami zieleni.

Nie można było się dziwić, że Indianie nie chcieli zrezygnować z tej ziemi.

Kasey nie spała dobrze tej nocy, więc przy każdej kępie drzew czuła pokusę, by się zatrzymać i nieco zdrzemnąć, ale nie miała ochoty przyznawać się Grasonowi, że jest zmęczona. Była pewna, że jeśli dostrzeże jej słabość, zechce z tego skorzystać.

Nie mogła zapomnieć tego wczorajszego pocałunku. Była pewna, że nigdy go nie zapomni. Dla Grasona nie znaczył wiele, ale dla niej stał się kamieniem milowym. Zmienił wszystko - także to, co czuła do swego towarzysza podróży.

Przedstawiał sobą typ człowieka, w którym chciałaby się zakochać. Twardy, ale sprawiedliwy. Pomagał jej w poszukiwaniu siostry i - choć nigdy nie wyraził tego jasno - wiedziała, że podziwia jej umiejętności. Lubiła na niego patrzeć, jechać obok niego, siedzieć z nim przy ognisku. Chciała poznać do końca te cudowne doznania, jakie w niej obudził, ale zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej tego pragnąć. Zresztą nie miała pewności, czy Grason w ogóle pamięta wczorajsze zajście. Musiała zdławić swoje uczucia.

Późnym popołudniem dotarli na szczyt stromeego wzgórza. Daleko przed nimi stała mała drewniana chatka, tuż przy brzegu rzeki. Z jej komina unosił się dym, a na podwórku dwaj chłopcy

bawili się w chowanego. Za domem, na ogrodzonym pastwisku, zauważyli dwie kozy i krowę. Parę kur dziobało coś na podwórku.

Kasey zastanawiała się, czy mieszkańcy tego niewielkiego gospodarstwa mają kłopoty z Indianami ze szczepu Kruków, których rezerwat znajdował się w okolicy. Nic na to nie wskazywało; małe domostwo robiło miłe wrażenie. Ściągnęła wodze i przyjrzała się mu uważniej.

- Coś nowego- odezwał się Grason, stając obok niej.
- Naprawdę? - rzuciła, nieco zbyt tęsknie.
- Jest śliczny, ale dla mnie za mały.
- Mnie się wydaje, że ma odpowiednie rozmiary.
- Nie mówię o domu - sprostował Grason.

Odwrociła się w jego stronę; w jego oczach iskrzyły się łobuzerskie iskierki.

- Chodzi mi o twój uśmiech - wyjaśnił. - Nie jest tak szeroki, jak bym chciał, ale to twój pierwszy uśmiech, jaki zobaczyłem. - Jego ton zlągódniał. - Powinnaś się częściej uśmiechać.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i spojrzała na niego poważnie. Znowu poczuła ten ogień, który wczoraj buchnął między nimi i nadal się w niej tlił. Grason uśmiechał się do niej. Podobał się jej z tą dobronudszą miną, ale to ten jego chępliwy pół-uśmiešek drażnił jej zmysły i zmuszał serce, by galopowało jak spłoszony koń.

Czy rzeczywiście miał rację? Podróżowała z nim już kilka dni. Czyżby naprawdę się nie uśmiechała? Umysł natychmiast podsunął jej wspomnienie wczorajszego pocałunku i tych cudownych doznań, jakie się w niej obudziły. To z pewnością wywołało uśmiech szczęścia na jej twarzy.

- To, o czym myślę, nie jest warte uśmiechu.

- Wszyscy mamy problemy. Dowcip w tym, żeby nie dać się pokonać.

- Mówisz z doświadczenia? — spytała.

Nagle powietrzem wstrząsnął krzyk kobiety. Kasey podskoczyła.

- Słyszałeś? - rzuciła i natychmiast zdała sobie sprawę, jak głupie było jej pytanie.

- Głuchy by usłyszał - odparł Grason, marszcząc czoło.

- Co się stało? - Znowu spojrzała w stronę domu; chłopcy przerwali zabawę i stali na progu, zaglądając do środka.

- Nie wiem, ale to, co się tam dzieje, to nie nasza sprawa. Kasey szeroko otworzyła oczy.

- Jak możesz! Ta kobieta krzyczała z bólu. Ktoś jej zrobił krzywdę!

- Nie widzę żadnych koni, więc nie napadli jej bandyci ani Indianie. Dzieci bawią się na podwórku...

- Bawiły się - przerwała mu. - Teraz stoją w drzwiach.

Grason znowu zerknął w stronę chatki.

- Podejrzewam, że ta kobieta kłóci się z mężem. A jeśli tak, żadne z nich się nie ucieszy, jeśli się wtrącimy.

- Co za absurd! Jeśli mąż ją bije, ona na pewno potrzebuje naszej pomocy.

- Słuchaj, byłem szeryfem przez trzy lata, a mój ojciec przez dwadzieścia. Wiem, o czym mówię. Małżonkowie nie lubią, kiedy ktoś się wtrąca do ich kłótni.

Z domu dobiegł ich kolejny krzyk, cichszy i bardziej bolesny. Grason zeszytniał; Kasey wiedziała, że walczy ze sobą. Ona nie miała żadnych wątpliwości.

- Nie wtrącaj się, skoro nie chcesz - oświadczyła. - Ja muszę się przekonać, co się tam dzieje.

- Jeśli to jej mąż, nikt ci nie podziękuje - uprzedził ją Grason, chwyciwszy cugle jej wierzchowca.

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy.

- To mnie nie obchodzi. Nie odjadę, dopóki się nie dowiem, co się stało.

- Dobrze, pojedziemy razem, ale jeśli to kłótnia, nie wtrącaj się do niej. To ty będziesz najbardziej poszkodowana.

Kasey dobrze pamiętała, jak pewnego dnia chciała pogodzić kłócących się rodziców, a ci zaczęli wrzeszczeć na nią, zamiast na siebie. Nie zamierzała zwierzać się z tego Grasonowi.

- Potrafię o siebie zadbać, nie pamiętasz?
- Może, jeśli masz rewolwer w dłoni, ale zdaje się, że nie umiesz sobie poradzić, kiedy ktoś cię atakuje pięściami.

Miała ochotę coś odpyskować, ale zacisnęła zęby i odczekała chwilę, po czym powiedziała szczerze:

- Rozumiem. Jedźmy.

Spięli konie ostrogami i ruszyli po skłonie wzgórza. Kiedy znaleźli się blisko domu, chłopcy odwrócili się w ich stronę. Drzwi frontowe otworzyły się i wypadł z nich nieco starszy, może czternastoletni, chłopak.

- Tato! Tato! - krzyczał. Kiedy ujrzał twarze przybyszów, znieruchomiał na najniższym schodku.

Zatrzymali konie i stanęli tuż przy nim. Z otwartych drzwi dobiegały żalostne jęki. Serce Kasey ścisnęło się strachem. Ta kobieta okrutnie cierpiała.

- Myślałem, że to ojciec - powiedział chłopak ochryplym głosem. Jego wargi drżały, jakby miał się rozplakać. W błękitnych oczach czaił się strach.

- Co się stało, synu? - zagadnął Grason, odsuwając kapelusz z czoła.

- Słyszeliśmy jakiś krzyk - dodała Kasey z nutą niepokoju. Chłopiec zerknął w stronę domu.

- Mama rodzi. Coś się stało. Nie wiem co. Dan jest z nią, ale nie chce mnie wpuścić do pokoju.

- Kto to jest Dan? - spytała Kasey łagodnie.

- To mój starszy brat. Tata pojechał wczoraj do miasta, żeby sprzedać skóry. Pewnie wróci dopiero jutro albo pojutrze. Mamie coś się stało, ale nie wiemy, co robić.

Grason spojrzał na swoją towarzyszkę.

- Znasz się na przyjmowaniu porodów?

- Nnnie. A... ty?

- Też nie.

- Proszę pani, z mamą jest naprawdę niedobrze. Krzyczy od kilku godzin. - Głos chłopca zadrżał, a jego grdyka poruszyła się konwulsyjnie.

- Jak masz na imię, synu? - spytał Grason.
- Ar... Arnold. - Głos mu się załamał. - Arnold Nolan. Po-
możecie mojej mamie?
- Zobaczmy, co da się zrobić - oznajmiła Kasey, zeskakując
z konia. Zarzuciła wodze na balustradę wokół ganku.
- Wejdźcie. Pokażę wam, gdzie mama leży. - Arnold wbiegł
po schodach i zatrzymał się przy dwóch umorusanych brzdą-
cach. - Powiedziałem chyba, że macie się bawić. Ale już!
Chłopcy pisnęli z udawanym strachem i śmignęli po schod-
kach.

Kasey bezskutecznie usiłowała opanować narastający strach.
Czuła, że żołądek skacze jak oszalały polny konik. Miała ochotę
chwycić Grasona za rękę, ale zanadto się obawiała, że ją ode-
pchnie, żeby sobie na to pozwolić. A choć w kwestii odbierania
porodów był tak samo niedoświadczony, jak ona, w jego towa-
rzystwie czuła się znacznie pewniej.

- Codziennie rodzi się jakieś dziecko - rzuciła, starając się
zachować lekki ton.

- Wiem.

- Jeszcze nigdy nie byłam przy porodzie, ale podobno to
zupełnie normalne, że kobieta krzyczy.

- Wiem - powtórzył Grason.

- A skoro ta kobieta już parę razy rodziła, na pewno nam
powie, co mamy robić.

- Wiem, wiem. - Zatrzymał się przed drzwiami i położył rękę
na ramieniu Kasey. - Przestań się tak denerwować.

- Wcale się nie denerwuję- skłamała i oblizała nerwowo
wargi.

- Właśnie, że się denerwujesz. Ja też.

Dziewczynyna zamrugnęła, zdumiona tą szczerością.

- Tak?

- Oboje pakujemy się w coś, o czym nie mamy bladego
pojęcia. Musimy się denerwować.

Jego łagodny głos, pewna ręka i uśmiech sprawiły, że Kasey
znowu zaczęła myśleć. On nie zostawi jej samej; zostanie z nią

i pomoże jej stawić czoło wszystkiemu, co czekało po tamtej stronie drzwi. Uśmiechnęła się z ulgą.

- Tak już lepiej - rzekł Grason.

Łagodnie uściśnął ramię dziewczyny. Nawet pocałunek nie sprawiłby jej tyle radości.

Poszli za chłopcem do dużej izby. Po jednej stronie, przy kominku, stały trzy krzesła i parę stołków, po drugiej ujrzeli kuchenny stół z ławami i kaflową kuchnię.

- Jest tutaj - powiedział Arnold. Odgarnął wiszącą w drzwiach spłowiała czerwoną zasłonę.

Kasey weszła do ciasnej alkowy bez okna. W twarz uderzyło gorące, nieświeże powietrze. Młody chłopak klęczał na podłodze przy łóżku, ściskając dłoń śmiertelnie bladej kobiety. Od pierwszego spojrzenia było wiadomo, że poród nie jest normalny.

Rodząca kobieta miała zupełnie białe policzki i usta; jej jasnoblękitne oczy błyszczały jak kwarc. Na dłoniach widniały zaczerwienione smugi i ślady zębów. Pot lśnił na jej czole i górnej wardze, ciemne włosy były posklejane.

Kasey czując, że strach chwyta ją za gardło, instynktownie chwyciła Grasona za rękę. Uściśnął ją krzepiąco.

- Myśleliśmy, że to tata! - Młodzieniec puścił dłoń matki i wstał. Był pewnie o rok starszy od Arnolda; miał takie same jak brat smutne błękitne oczy.

- Dzie... cko nie... chce wyjść... - wyszeptała słabo kobieta. - Pomóście... - Wyciągnęła rękę ku Kasey.

Dziewczyna chwyciła jej zimną dłoń, zerkając przelotnie na Grasona. Serce się jej ścisnęło. Twarz zdradzała, że, według niego, kobieta i jej dziecko nie mają szans przeżycia.

- Bóle... zaczęły się dziś... rano- wymamrotała rodząca. Z każdym oddechem jej wzdęty brzuch poruszał się i opadał pod białą bawełnianą koszulą. - O miesiąc za wcześniej...

- Będziemy bardzo wdzięczni, jeśli nam pomożecie - powiedział Dan.

Kasey widziała, że jest przerażony, i natychmiast przypomniała

sobie własną matkę i sąsiadkę, która zgodziła się jej doglądać. Uśmiechnęła się do chłopca niepewnie.

- Oczywiście, że wam pomożemy - zapewniła.

Na twarzy Dana odmalowała się ogromna ulga.

- Gorąco tu jak w piekle - zauważył Grason.

- Bałem się, że mama się zaziębi - wyjaśnił Dan.

- Nie zaziębi się - rzuciła Kasey, zdejmując pas z bronią i kładąc go na małej skrzyni. - Otwórz drzwi i okna w drugiej izbie i odsuń tę zasłonę, żeby mama mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. Straszny tu zaduch, nie ma czym oddychać.

- Arnold -odezwał się Grason-przynies z moich juków butelkę whisky. To złagodzi ból. I utnij z cugli j akieś dziesięć centymetrów rzemienia, dobrze? - Położył kapelusz obok rewolweru Kasey.

- Tak jest! - Arnold wypadł z pokoju jak burza.

Słowa Grasona zdopingowały Kasey do działania; natychmiast pochyliła się nad kobietą.

- Jak się nazywasz?

- Thelma... - Blade wargi poruszały się z trudem. Całe ciało kobiety poderwało się nagle, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie bólu. - Pomocy!

- Nie mamy doświadczenia w odbieraniu porodów. Będziesz musiała nam powiedzieć, co mamy robić.

- Weźcie... - Thelma uniosła dłoń do ust, usiłując zdławić krzyk bólu.

- Nie, nie gryź. - Kasey delikatnie odsunęła jej rękę i zerknęła na Grasona. - No, zróbże coś!

- Ona nie chce, żeby dzieci słyszały jej krzyk. - powiedział Dan. - Musicie poczekać. Kiedy ból minie, powie wam wszystko. To znaczy, że dziecko wychodzi na świat.

Kasey spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że musi zachować spokój.

- Wiem, że będziemy potrzebowali gorącej wody i noża, którym przetniemy pępowinę. Możesz nam to przynieść?

- Woda już czeka na kuchni. Mama kazała zagotować. Zaraz przyniosę.

Wybiegł, a Thelma opadła na poduszki, spazmatycznie łapiąc oddech. Spojrzała żałośnie na Kasey i Grasona.

- Za wcześniej się zaczęło... Dziecko jest za małe, za słabe, żeby... wyjść. Trzeba je... chwycić i wyciągnąć, bo oboje umrzemy.

Kasey, słuchając jej ze ściśniętym gardłem, powoli zaczęła się cofać. Co ta kobieta mówiła? Jak to sobie wyobrażała?

Zatrzymała się dopiero, kiedy wpadła na twardą pierś Grasona. Przytrzymał ją za ramiona, pochylił się nad jej uchem i szepnął:

- Nie ruszaj się. Nie pokazuj jej, że się boisz.

- Nie wiem, co robić.

- Jesteś pewna, że to już? - spytał spokojnie, zwracając się do kobiety.

- Od kilku godzin... nie kopało. Już nie mam sił, żeby przeć.

Musicie mi pomóc, bo umrzemy. Mam czterech synów... oni potrzebują... - Urwała i zdławiła krzyk. Kolejny skurcz uniósł jej ciało; podniosła kolana i wbiła pięty w materac.

- Co robimy? - spytała rozpaczliwie Kasey.

- Nie pozwolimy jej umrzeć. Znajdź coś, w co można owinąć dziecko.

Kiedy spojrzał jej prosto w oczy, serce jej stopniało. A więc będzie przy niej!

Arnold wbiegł do pokoju, trzymając butelkę i kawałek rzemienia. Dan podązał tuż za nim z dużym garnkiem pełnym parującej wody. Grason odebrał go i postawił na skrzyni obok kapelusza.

- W skrzyni... - Głos Thelmy brzmiał nieco mocniej. - W szufladzie... kocyk...

Kasey rzuciła się ku skrzyni, a jej towarzysz stanął za nią i szepnął:

- Trzeba zająć Dana i Arnolda. Nie muszą przez to przechodzić.

- Ja się tym zajmę - odszepnęła, wyjmując biały kocyk robiony na drutach. Położyła go w nogach łóżka i obmyła ręce w gorącej wodzie.

- Ona jest bardzo słaba. Musimy się pospieszyć, zanim zupełnie opadnie z sił- ponaglił ją Grason.

Dziewczyna zwróciła się do starszego z braci.

- Pomóż Arnoldowi pilnować chłopców.

- Nie zostawię mamy - oświadczył Dan z powagą.

Kasey otworzyła pudełko na naboje i wyjęła z niego monetę.

- Zajmiemy się twoją mamą. Ty musisz dopilnować braci i naszych koni. To dla ciebie i Arnolda. - Podała mu monetę. - W moich jukach znajdziecie trochę lukrecji. Możecie się podzielić.

- Mamo...?

Thelma upiła odrobinę alkoholu i skrzywiła się słabo.

- Biegnij, Danielu. Możemy... im zaufać. Posłuchaj ich.

Gdy obaj chłopcy wyszli cicho z alkowy, Kasey stanęła przy łóżku.

- Zwykle... nie piję alkoholu - szepnęła kobieta.

- Poczujesz się lepiej. A kiedy nadejdzie następny skurcz, spróbujemy ci pomóc.

Thelma skinęła głową i znowu upiła mały łyk.

Nie musieli czekać zbyt długo; nagle odstawiła kubek i wyprężyła całe ciało.

- Chwyć... dziecko - rzuciła przez zaciśnięte zęby, unosząc zgięte nogi. - Dam... sobie radę. Pomyślę o moich dzieciach i wszystko będzie dobrze.

Kasey zadrżała, przejęta lękiem przed nieznanym. A jeśli nie zdołają ocalić kobiety albo jej dziecka? Zerknęła na Grasona i poczuła, że spływa na nią spokój.

- Będziemy musieli zrobić tak, jak powiedziała. Masz mniejsze palce.

Dziewczyna pochyliła się nad rodzącą i ujrzała czubek głowy dziecka. Zaczepnęła powietrza; bała się, że zemdleje. Grason stanął obok niej.

- No, odwagi - powiedział.

Nagle zdała sobie sprawę, że słyszy nie jego, lecz głos ojca. *Jeśli Jean to potrafi, to i ty możesz.*

*Nie mogę. Mam pęcherze na dłoniach, to boli!
Znikną, kiedy ręce ci się wzmocnią. Chcesz, żeby Jean była
lepsza we wszystkim?*

Nie. Chcę wygrać. Chcę wygrać!

- Kasey...

Potrząsnęła głową, odsuwając od siebie wspomnienia. Wiedziała, że Grason stoi obok, ale nawet na niego nie spojrzała. Na szyi Thelmy nabrzmiały drgające żyły, twarz poczerwieniała jej z wysiłku. Przez zęby, zaciśnięte na kawałku rzemienia, wydzierały się gardłowe dźwięki.

- Przyj! - krzyknął Grason, rozchylając jej nogi. - Przyj! - powtórzył i zwrócił się do Kasey: - Pomóż jej! Złap dziecko i pociągnij.

Dziewczyna wcisnęła palce w otwór kanału rodnego i dotknęła czegoś lepkiego. Omal nie cofnęła ręki, ale przypomniała sobie słowa ojca, więc delikatnie chwyciła małą główkę po obu stronach i pociągnęła ostrożnie. Nagle ujrzała małą, ściągniętą fioletową twarzyczkę, pokrytą jakąś białą powłoką.

- Widać główkę! - zawołał Grason.

- Zaczekamy na następny skurcz? - spytała Kasey drżącym głosem.

- Nie, ciągnij. Ostrożnie.

Serce waliło jej dziko. Thelma krzyknęła przeraźliwie.

- Przyj, przyj! - rozkazał Grason.

- O mój Boże! - pisnęła Kasey, gdy małeństwo wyłoniło się na świat. Powoli zaczęła wierzyć, że wszystko zakończy się szczęśliwie.

Niespodziewanie poczuła obok siebie ręce Grasona. Pomagały jej trzymać dziecko.

- Przyj! - zawołała. - Wychodzi!

Razem delikatnie pociągnęli małe ciało. Thelma stęknęła i napięła się konwulsyjnie. Niemowlę wylądowało w dłoniach Grasona.

- Mam go! Przetnij pepowinę i zawiąż!

Kasey słyszała tylko jego głos. Ujęła nóż, metodycznie wykonała polecenie swego towarzysza i spojrzała na dziecko.

- Nie oddycha - powiedziała z niepokojem.

Grason wziął noworodka za stopy i odwrócił do góry nogami, po czym uderzył go po małych pośladkach, nie większych od cytryn.

Thelma opadła na poduszki, wybuchając płaczem.

- Oczyszcmy mu usta i nos - rzuciła Kasey gorączkowo.

Zanurzyła ręce w gorącej wodzie. Kiedy Grason przysunął ku niej nieruchomą twarzyczkę, wepchnęła palec w małe usta i sięgnęła w głąb gardła.

- Jeszcze raz! - rozkazała.

Grason znowu uderzył mocno w małąką siną pupkę. W absolutnej ciszy słycać było tylko chlipanie Thelmy.

- Jeszcze - powtórzyła Kasey. - Jeszcze raz!

Znowu dał klapsa w małe pośladki i tym razem ciało noworodka drgnęło, a małe rączki zatrzepotały w powietrzu. Kiedy uderzył ponownie, cała alkowa zatrzęsa się od gromkiego płaczu.

- O Boże miłosierny! - szepnęła Thelma, unosząc się na łóżku.

- Tak, oddychał - krzyknęła radośnie Kasey, promieniejąc. - Patrz, robi się różowy.

Grason przykląkł i oddał niemowlę matce.

Kobieta szepnęła coś niezrozumiałego, po czym wzięła w objęcia płaczące, wierzgające, brudne maleństwo.

- Jak mam wam dziękować? - spytała; po jej kredowobiałych policzkach płynęły strumienie łez.

- Odpocznij - odparła Kasey. - Wezmę dziecko i je umyję, a ty odpoczywaj.

- Jest taki mautki. Czy... przeżyje?

- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że ma szansę.

- W każdym razie płuca ma w porządku - mruknął Grason.

Noworodek rozprostował nóżki. Błada twarz Thelmy rozpromieniła się niebiańskim uśmiechem, a z jej bezkrwistych ust wyrwał się cichy śmiech.

- Może i umiecie pomóc przy porodzie - szepnęła słabo - ale na dzieciach się nie znacie. - Powiodła wzrokiem od Kasey do Grasona. W jej jasnych oczach po raz pierwszy rozbłysły iskry. - To dziewczynka. Po czterech chłopcach wreszcie dziewczynka! - Drżącymi rękami uniosła noworodka. - Przedstawiam wam moją córeczkę.

Kasey zerknęła na uśmiechniętego Grasona, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go uściśnęła.

- Niewiarygodne! Uratowaliśmy dziewczynkę!

10



Grason czuł, że musi ją pocałować. Leżał obok niej na drewnianej podłodze przed kominkiem w domu Nolanów, za jedyne pośłanie mając cienki koc. Kasey miała zamknięte oczy, ale nie sądził, że już zasnęła, choć była bardzo zmęczona.

Po umyciu noworodka, zmienieniu pościeli i przebraniu Thelmy w czystą koszulę, ugotowali wielki gar rosołu, pożywne i pyszne. Kasey nie zdawała sobie sprawy z tego, że Grason ją obserwuje. Sam jej widok budził w nim gorący dreszcz. Ta dziewczyna go podniecała, choć nie powinien tego przyznawać. Poza tym była zdumiewająca. Jak to możliwe, że umiała tak świetnie gotować, będąc jednocześnie tak znakomitym strzelcem? Wydawało mu się, że opanowanie obu tych umiejętności wyklucza się nawzajem.

A kiedy się roześmiała na widok uratowanego dziecka, myślał, że serce mu pęknie. Ten śliczny dźwięk wzniecił w nim przyjemność, jakiej już dawno nie odczuwał. Rzuciła mu się w ramiona i uścisnęła z taką radością, że natychmiast dał się ponieść jej szczęściu. Sam jej śmiech był dla niego wystarczającą nagrodą za uratowanie Thelmy i jej dziecka. A gdy ją uścisnął, kiedy

poczuł w ramionach jej kruche ciało, narodziło się w nim nowe pragnienie.

Przez małe okienko wpadało światło księżyca i kładąc się na policzku Kasey, budziło słabe lśnienie w jej włosach. To jedwabiste bogactwo, wreszcie nie zgniecione pod kapeluszem, otaczało jej głowę puszystym obłokiem. Miał ogromną ochotę, żeby go dotknąć, poczuć pod opuszkami palców atlasową śliskość. Marzył o tym, by zanurzyć w nim twarz i wciągnąć w nozdrza jego woń.

Noc była gorąca i parna, inna niż na szlaku, a jednak Kasey wydawała się chłodna i świeża jak kwietniowy poranek. Zdjęła kurtkę, kamizelkę oraz wysokie buty i rozpięła trzy pierwsze guziki białej bluzki. Srebrny promień wyłonił z ciemności skrawek delikatnej skóry pomiędzy piersiami.

Jej ciało błagało o dotyk.

Grason przełknął z wysiłkiem ślinę. Tej nocy chciał się poić widokiem Kasey. Gdyby mógł, patrzyłby na nią przez całą wieczność. Wczoraj, kiedy dotknął jej piersi, wydała mu się delikatna i kusząca. Miał ochotę rozpiąć do końca tę białą bluzkę i podziwiać jej ciało, pieścić tę śliczną skórę. Chciał jej dotknąć, ale nie obudzić.

To pragnienie nie dawało mu zasnąć.

Jej uroda przyciągała go pomimo wszystkich postanowień. Z każdym dniem pragnął jej bardziej. Marzył, że obejmuje ją i tuli dopóty, dopóki nie rozpułynie się w jego ramionach i nie pozwoli mu wejść w swoje ciepło. Chciał znowu usłyszeć jej śmiech, poczuć gładkie wargi, posmakować słodczy jej ust.

Od lat nie był tak podniecony. Dlaczego akurat na jej widok drżał z niecierpliwości? Dlaczego chciał ją poznać, dowiedzieć się o niej wszystkiego? Dlaczego przez nią zapomniał o słodkiej Madeline?

- Patrzysz na mnie? - spytała Kasey szeptem.

Zamrugał i spojrzał prosto w zielone oczy.

Co by powiedział, gdyby wyznał jej prawdę? Gdyby zdradził, że rozpaczliwie pragnie zatopić się w niej i rozładować ten ból, który rozsadzał mu lędźwie?

Kasey otworzyła oczy, żeby po raz ostatni przed snem zerknąć na Grasona, i zobaczyła jego szeroko otwarte, skupione oczy. Nad czym tak rozmyślał? Czy zastanawiał się nad czymś odległym, czy też przedmiotem jego zadumy była ona?

Westchnęła i potarła nos.

- Mam brudną twarz?

- Nie. Myślałem o tym, że jestem z ciebie dumny. Pomogłaś Thelmie, zajęłaś się chłopcami. Zaczynam się zastanawiać, czy istnieje coś, czego nie potrafisz.

Szczęścieomal jej nie rozsadziło. Przez całe lata pragnęła, żeby ojciec ją pochwalił, a on nigdy tego nie zrobił. Serce zabiło jej mocniej. Grason był nie tylko miły, ale i szlachetny, przecież chwalił ją za coś, w czym sam miał udział.

- Zrobiłeś tyle samo co ja... jeśli nie więcej.

Pokręcił głową.

- Nie. To twój sukces. Mam tak duże ręce, że nigdy bym sobie nie poradził.

Uniosła dłoń i przyjrzała się jej w świetle księżycy.

- Tak - szepnęła. - Mam małe dłonie.

Ile razy pragnęła, żeby były większe! Wtedy łatwiej byłoby utrzymać rewolwer. Ojciec nie chciał słuchać, kiedy mu tłumaczyła, że nie może odciągać kurka i naciskać spustu, nie porawiając chwytu po każdym strzale.

- Hej, jesteś smutna - szepnął Grason. - Nie powinnaś, uratowałaś dwoje ludzi. - Wyciągnął rękę i podniósł jej brodę.

Jego dotyk obudził w niej dreszcz pożądania.

- Jestem bardzo szczęśliwa, że wszystko dobrze się skończyło.

- Tak, ja też - przyznał cicho, położył się na plecach i spojrzał w ciemny sufit.

- Dlaczego wdychasz? - spytała Kasey.

- Myślałem, że sprawiasz więcej kłopotów...

- ...niż możesz znieść? - dokończyła z łobuzerskim uśmiechem.

- Nie - powiedział ciepło. - Sądziłem, że sprawiasz więcej kłopotów, niż jesteś warta.

- Czyżby? - W oczach błysnęło jej demoniczne światélko. - Jak to możliwe, skoro, jak dotąd, tylko ci pomagam?

- Ty mnie? Niby jak?

- Wygrałam w Bozeman tyle pieniędzy, że mogeś się zaopatrzyć w broń i kapelusz. Prowadzę cię do kryjówki Eagle'a Clarka i... uratowałam cię ze szponów tej wymalowanej kobiety z miasta.

Grason roześmiał się.

- Nie straciłbym kapelusza ani broni, gdybyś mnie nie wciągnęła w kłopoty, a to, czy zaprowadzisz mnie do Eagle'a, pozostaje ciągle otwartą kwestią. Co do tej kobiety z miasta, być może nie chciałem zostać uratowany z jej szponów.

Kasey żałowała, że w ogóle wspomniała o tej całej Millie. Znowu mógł jej zarzucić zazdrość, a co gorsza, chyba rzeczywiście była zazdrosna. Nie mogła zapomnieć, z jaką swobodą tamta kobieta zajęła się Grasonem.

- Pewnie byś z nią został na noc, gdyby nie ja?

- Owszem.

Spuściła oczy; z jakiegoś niezrozumiałego powodu jego słowa sprawiły jej ból.

- To dlatego powiedziałeś, że sprawiam kłopoty.

- Nie zamierzam cię przeproszać za to, że jestem mężczyzną.

- Wcale tego nie oczekuję.

- Pewne rzeczy przychodzą łatwiej, kiedy podróżuje się w pojedynkę.

Kasey była zazdrosna, nie mogła temu zaprzeczyć.

- Następnym razem możesz swobodnie spędzić noc z każdą kobietą, jaka ci się spodoba - oznajmiła lodowato.

- To nie rozwiąże mojego problemu.

Zerknęła na niego z zaskoczeniem.

- Dlaczego?

- Bo nie przestanę pragnąć ciebie - rzekł Grason, a kiedy zobaczył, że dziewczyna otwiera ze zdumienia usta, dodał: - Jesteś bardzo ponętną kobietą.

Kasey poczuła się tak, jakby w gardle utkwiała jej jakaś kula, która utrudnia oddychanie.

- Kobieta? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Potraktowałeś mnie jak dziecko.

- Wydawało mi się, że tak będzie bezpieczniej. - Przewrócił się na bok i oparł głowę na ręce. - Kontakty z tobą są niebezpieczne.

- Dla ciebie czy dla mnie?

Grason zaśmiał się cicho.

- Zdaje się, że już odbyliśmy tę rozmowę. Poza tym dla mnie to nie jest pierwszy raz.

- A dlaczego myślisz, że dla mnie jest?

- A nie? Kiedy cię pocałowałem, zareagowałaś tak, jakbyś była całkowicie niedoświadczona. Kobieta, która już spała z mężczyzną, dobrze wie, jak go dotykać i pieścić. I rzadko się waha.

Kasey znowu poczuła, że nie spełniła czyichś oczekiwań; cofnęła się i skuliła. Grason wyciągnął ku niej rękę, ale odwrócił się od niego. Jego słowa zraniły ją do żywego.

- Kasey, posłuchaj. Niewinność nie jest czymś niewłaściwym.

- Nie — rzuciła z goryczą. — Ale nie jest też czymś, czym można się chwalić.

- Bzdura. Spójrz na mnie. - Dotknął jej ramienia. - No, proszę cię. Chcę, żebyś mi spojrziała w oczy i powiedziała, że rozumiesz.

Odwróciła się powoli. Był tak blisko, że widziała go nawet w tym mrocznym pokoju. Wieczorem zdążył się ogolić; w powietrzu wisiał zapach mydła. Kasey miała ochotę dotknąć jego gładkiego policzka; chciała wtulić nos w jego szyję i zaczerpnąć tego czystego zapachu. Zdała sobie sprawę, że marzy, żeby należeć do niego, ale jak miała dorównać tym kobietom, których pragnął?

- Sztuka kochania nie ma nic wspólnego z doświadczeniem w tych sprawach. Przeważnie to tylko pożądanie, które należy zaspokoić, ale czasami... czasami to wyraz...

- Miłości.

- Tak. Nie zamierzam cię okłamywać. Pragnę wziąć cię w ramiona i pokazać, jak mężczyzna kocha kobietę, nauczyć, jak kobieta powinna kochać mężczyznę.

Jej serce podskoczyło dziko na myśl, że znowu poczuje jego pieszczoty, pocałunki, dotyk skóry... Ale kiedy spojrzała mu w oczy, radość ją opuściła.

- I nie zrobisz tego, prawda?

- Nie. Nie pozwolę, żeby moje ciało przejęło kontrolę nad rozumem. W tej chwili jesteś dla mnie łącznikiem z Eagle'em i nie chcę, żeby cokolwiek przeszkodziło mi go odnaleźć.

Do ust napłynęła jej gorycz. Tak bardzo chciała poznać wszystko, o czym mówił. Tak bardzo pragnęła przeżyć te doznania, które nawet teraz dawały o sobie znać. I nie miała pojęcia, dlaczego miałyby im przeszkodzić w dotarciu do Jean i Eagle'a.

- Chcesz powiedzieć, że nasza znajomość to tylko układ?

- Tak musi być. Kiedy znajdę Eagle'a, nie będę miał czasu na twoje uczucia... albo moje.

Kasey znieruchomiała.

- Nasze drogi się rozejdą.

- Niezupełnie. Obiecałem ci, że pozwolę twojej siostrze na spotkanie z matką. I tak zrobię, ale nie puszczę was samotnie. Potem oddam Jean w ręce władz.

Gardő ścisnęło się jej jeszcze bardziej. Chciała odnaleźć siostrę, ale perspektywa rozstania z Grasonem przejęła ją dotkliwym bólem. Jak mogła się tak przywiązać do mężczyzny, który postanowił odesłać Jean do więzienia?

- Chcesz powiedzieć sędziom, że ona chciała cię zabić?

- Tak. I nie tylko ja ją oskarżę. Są świadkowie tego napadu, a bank w Ransom nie był jedynym, który padł łupem bandy.

- A Eagle?

Grason znowu zapatrzył się w sufit.

- Kiedy się spotkamy, tylko jeden z nas...

Cichy płacz noworodka przerwał mu w pół słowa. Kasey podniosła się z posłania. Była zadowolona, że dziecko nie pozwoliło mu dokończyć, wiedziała bowiem, co chciał powiedzieć.

- Spij - szepnęła. - Sprawdź, czy Thelma potrzebuje pomocy.

Wyszła tak szybko, jakby uciekała. Nie wiedziała tylko przed kim.

Następnego ranka opuścili domostwo Nolanów, ale najpierw Kasey pocałowała na pożegnanie nowo narodzoną dziewczynkę, nazwaną jej imieniem. Grason połaskotał małą Kasey po policzku i ucisnął dłoń jej matki.

Thelma podniosła się z łóżka z energią, jakiej nikt by się po niej nie spodziewał. Uparła się, żeby wzięli na drogę chleb, który upiekła w tym tygodniu.

Dzień był bardzo upalny; musieli jechać powoli, by konie się nie przegrzały. Odległe góry były przysłonięte delikatną mgiełką. Po południu zerwał się ostry, gorący wiatr, i coraz bardziej się nasilał. Mocniejsze podmuchy ciskały w nich garściami piachu. Kasey zaczęła się zastanawiać, czy nie powinni się zatrzymać i rozbić obozu. Potwornie chciało jej się pić. Marzyła o kubku herbaty.

Kiedy słońce zbliżyło się ku zachodowi, wiatr przybrał gwałtownie na sile i ostre drobinki piasku bez przerwy wciskały się im do ust i oczu. Zasłona lekkiej mgiełki zasnuła cały krajobraz. Coś wisiało w powietrzu. Rzeka Yellowstone płynęła trzysta metrów dalej, a jednak zupełnie nie było jej widać.

Grason przystanął i rozejrzał się uważnie.

Kasey zatrzymała Velvet obok niego.

- To powietrze wcale mi się nie podoba - powiedziała.

- Ani mnie. Zaczynam się martwić. Ten wiatr zerwał się zbyt gwałtownie.

- Myślisz to co ja? - spytała dziewczyna.

Jej towarzysz przytaknął.

- Burza piaskowa, i to silna.

Nagły poryw ostrego wichru załopotał jego chustką i sygnął w twarz Kasey kłującymi drobinami piasku. Dziewczyna skrzywiła się i otarła oczy rękawem.

- Nie trzyj, tylko je zaognisz - poradził Grason. - Zamrugaj,

niech lży wypłuczą piasek. I zasłoń twarz. - Uniósł zawiązaną na szyi chustkę i naciągnął ją na twarz aż po oczy. - Kapelusz wciśnij głęboko na czoło.

Jego koń zaczął nerwowo pisać w miejscu; Velvet poruszyła się niespokojnie. Kasey pospiesznie dostosowywała się do zaleceń Grasona.

- Musi... znaleźć... chronienie... - Wiatr porywał słowa Grasona i zacierał ich brzmienie.

Kasey rozejrzała się uważnie, kiedy wróciła wzrokiem do swego towarzysza, uświadomiła sobie, że ten coś mówi. Dotarło do niej słowo „rzeka” i zrozumiała, że jest tego samego zdania co ona.

Groziło im niebezpieczeństwo.

Konie zaczęły się płoszyć. Gniadosz grzebał kopytem w ziemi i żuł wędzidło. Kasey czuła drżenie mięśni swojej klaczy. Zmusiła ją do uległości i zbliżyła się bardziej do Grasona, żeby usłyszeć, co do niej mówi.

Zdarzyło jej się już przeżyć niewielkie piaskowe burze, ale zawsze znajdowała się wtedy w pobliżu domu albo miasta, w którym mogła znaleźć schronienie. Tym razem w zasięgu wzroku nie było żadnych wielkich głazów, drzew ani kanionów. Rozejrzała się jeszcze raz; przed nimi rozciągał się ogromny szmat płaskiego terenu. Coraz bardziej narastało w niej przerażenie.

- Co robimy? - spytała, przekrzykując wiatr. Odwróciła się w stronę Grasona i krzyknęła: - Patrz!

W ich stronę zbliżała się trąba powietrzna.



Grason spojrział za siebie i natychmiast odwrócił się do Kasey.

- ...kryjówkę! ...za mną! - dobiegło ją, zanim spał konia ostrogami i ruszył z kopyta.

Popędziła za nim. Przez chwilę wydawało jej się, że niebezpieczeństwo minęło. Powietrze stało się czystsze i bardziej przejrzyste. W oddali pojawiła się kępa topoli. To one musiały być schronieniem, o którym mówił jej towarzysz.

Kiedy burza piaskowa ich dogoniła, Kasey widziała już tylko zad konia Grasona w piaskowej zamieci.

Wiatr był coraz silniejszy, piasek coraz gęstszy. Burza zamknęła się wokół nich. Dziewczyna czuła, że serce wali jej jak oszalale. Gdy wierzchowiec Grasona znikł za zasłoną wirującego piasku, spięła Velvet ostrogami, zmuszając ją do szybszego kroku.

Ostre ziarenka piasku kęsały ją w szyję i oczy, jedyne odsłonięte części ciała. Miała wrażenie, że oddycha gęstymi kłęбами dymu. Nozdrza i płuca paliły ją, gardło zaciskało się jak przy kaszlu. Strach chwycił ją za serce. Pochyliła się nisko nad szyją klaczy i zmrużyła oczy. Grason zwolnił; dogoniła go i znalazła się u jego boku. Widziała jedynie zarysy jego sylwetki.

- Rzuć... wodze... wsiadaj... mojego konia!
- Dlaczego? - wrzasnęła, przerażona.
- Do chole... kłóć się ze mną...
- A mój koń?
- Później... nie martw... same... teraz... wodze. Zgubimy...

w... burzy.

Z porywanych wiatrem strzępów słów wywnioskowała, że Grason boi się, iż rozdzieli się w burzy. Wyciągnęła rękę; gniadosz jej towarzysza spłoszył się i stanął dęba. Velvet zarżała i odskoczyła od niego. Kasey uspokoiła ją z trudem, odwróciła się, ale nie zobaczyła już Grasona. Wszędzie wirował piasek.

- Grason! — wrzasnęła ze wszystkich sił. Nie chciała zostać sama w środku szalejącej burzy. - Grason!

Usiłowała przekrzyknąć ryk wiatru, ale krztusiła się piaskiem. Velvet nadal szalała.

Kasey niemal zeszywniała ze strachu, prawie oślepla; z zaczerwienionych, podrażnionych oczu płynęły strumienie łez. Utknęła w burzy i nie wiedziała, w którą stronę jechać. Obróciła się i rozejrzała bezradnie.

Nagle coś wyłoniło się z piaskowego wiru i dotknęło jej ramienia. Rozpoznała dłoń Grasona. Ulga spłynęła na nią ciepłą falą, z serca spadł jej kamień. Wczepiła się w rękaw swego wybawcy, chwyciła go tak kurczowo, jakby znalazła skrzynię ze skarbami.

Gdy Grason przyciągnął ją ku sobie, uwolniła nogi ze strzemion, skoczyła i wylądowała w jego ramionach. Złapał ją i pomógł jej się usadowić na siodle za sobą. Objęła go mocno w pasie, przytulając twarz do jego pleców. Skórzana kamizelka była szorstka od drobin piasku i drapała ją w policzek, ale to jej nie przeszkadzało. Czowała z niezbitą pewnością, że nic jej nie grozi, ponieważ on jest przy niej.

Grason wstrzymał konia i ryknął przez wycie wiatru:

- Rozwiąż koc... zapasy... na niego...

Rzemienie przez chwilę stawiały opór, ale wkrótce się poddały i Kasey przycisnęła do piersi koc i juki z żywnością. Drugą ręką nadal obejmowała swego towarzysza.

Wiatr wciąż przybierał na sile; oddychanie stało się prawie niemożliwe, nawet przez chustkę. Nagle koń się zatrzymał, a Grason zeskoczył i wyciągnął ręce po Kasey. Kiedy chwycił ją w tali, miała ochotę rzucić mu się w ramiona, szukać w nich ratunku. Kiedy poczuła ziemię pod nogami, objął ją i ruszyli pieszo.

Nie rozumiała, jak to możliwe, że on widzi coś w oslepiającej burzy, ale zaprowadził ją prosto do kępy drzew. Przykucnęła przy jednym z nich, opierając się o nie plecami. Pień nie stanowił dobrej osłony przez siekącym wichrem.

Grason przykucnął tuż obok.

- Przytrzymaj koniec koca nogami. Usiądź na nim i trzymaj go nad głową, o tak.

Pospiesznie wykonała polecenie, jej towarzysz tymczasem zajął się drugim końcem koca. W zamieszaniu wbił jej łokieć w żebra tak mocno, że aż jęknęła.

- Przepraszam - wymamrotał, zanosząc się kaszlem.

- Nie bolało - skłamała.

- Trzymaj mocno. Nic nie widzę.

- Nie ma na co patrzeć - powiedziała Kasey z sarkazmem.

- Nie wymądrzaj się.

- Niech to, oczy mnie pieką.

Wreszcie zdołali schować się pod osłoną koca i pnia dużego drzewa. Porywisty wicher wył niczym wilcze stado, drzewa chwiały się i skrzypiały. Wiatr szarpał brzegi koca, usiłując go porwać.

Kasey była już zupełnie spokojna, miała przecież przy sobie Grasona. Zsunęła chustkę z twarzy. Wszystkie odsłonięte części ciała piekły ją żywym ogniem. Zamrugła w nadziei, że łzy wypłuczą z oczu uwierające drobiny. Grason kaszlał, usiłując pozbyć się piasku z płuc.

Pod prowizorycznym namiotem panowały nieprzeniknione ciemności. Kasey zaczęła szukać torby z zapasami, w której była zapasowa manierka.

- Co robisz? - wychrypiał Grason, chwytając ją za nadgarstek.

- Szukam zapasów. Musimy mieć wodę.
- Szukasz pomiędzy moimi nogami. Nie znajdziesz tam żadnych zapasów.
- Przepraszam! - powiedziała dziewczyna, gwałtownie cofając rękę. — Nic nie widzę.

Jego chrapliwy śmiech zmieszał się z łopotaniem koca.

Na policzki i szyję Kasey wypłynął pałący rumieniec. Miała nadzieję, że jej towarzysz na nią nie patrzy, bo z pewnością biła od niej łuna, widoczna nawet w ciemności. Rękawiczki miała uszyte z cieniutkiej skóry, ale i tak nie mogła stwierdzić z całą pewnością, czego dotyka.

- Nie masz za co przepraszać - uspokoił ją Grason. - To było raczej miłe.

Dziewczyna odchrząknęła z zakłopotaniem.

- Powinieneś mi powiedzieć.
- Jeszcze czego! Wtedy straciłbym rozrywkę. Całkiem mi się podobało, jak mnie obmacywałaś.
- Ja cię obmacywałam? - mknęła. - Akurat! I na pewno nie robiłam tego umyślnie.
- Nic ci się nie stało? - wykrztusił pomiędzy atakami śmiechu.
- Nic. A tobie?
- Też nic, tylko najadłem się piasku. - Znowu odkaszlnął. - Juki są tutaj. Znajdę manierkę.

Po chwili pod wełnianym kocem zrobiło się nieznośnie gorąco. Kasey zdjęła rękawiczki i przekonała się, że piasek zdołał się jakoś przez nie przebić. Starannie je wytrzepała i znowu przetarła oczy, które bolały ją niemiłosiernie.

- A konie? - spytała. - Co zrobimy, jeśli się zgubią?
- Nie martw się, znajdziemy je. Kiedy tylko burza minie, pójdą w kierunku rzeki. Jeśli szczęście nam dopisze, wiatr uspokoi się przed zmrokiem. Jeśli nie, rozbijemy obóz tutaj, a rano je znajdziemy.
- Mam nadzieję. Od najbliższego miasta dzieli nas przynajmniej dziesięć kilometrów.
- Masz. Pij.

Dłoń dziewczyny napotkała manierkę. Grason pomógł jej ją przytrzymać. Wypłukała usta, splunęła i *zaczęła*, pić. Zmoczyła palce i przetarła nimi oczy, co przyniosło jej nieco ulgi.

- Niech to, oczy mnie bolą. Jakim cudem znalazłeś te drzewa? Kropelki wody prysnęły jej na twarz, kiedy Grason obmył sobie oczy i zaczął pić.

- Instynkt - rzekł, po czym zakorkował manierkę, oparł ją o pień drzewa i westchnął.

Kasey siedziała w milczeniu, ale oczy za bardzo ją piekły, żeby mogła zasnąć.

- Czemu wdychasz? Nudzi ci się? - spytała.

- Nie. Jeszcze nigdy nie widziałem tak wielkiej trąby powietrznej.

- Pewnie to też moja wina?

- Nie, nie sądzę. Ale myślałem o tobie.

Zadrżała, przejęta przyjemnym dreszczem.

- Zastanawiałem się, dlaczego się z tobą zadaje- uściślił Grason.

Nie żartował, ale także nie robił jej wyrzutów. Najwyraźniej coś go dręczyło. Kasey przysunęła się bliżej i oparła łokieć na jego kolanie.

- To pewnie los pchnął nas wspólnie w tę podróż.

- Mhm. Masz rację. Spotkałem cię w dniu, w którym miałem pecha. Pamiętasz, jak to powiedziałaś?

- Mniej więcej. Pamiętam, że się trochę przekomarzałyśmy.

Grason roześmiał się.

- Nie tylko przegrałem z kobietą, i to w dodatku spoza miasta, ale jeszcze pojechałem za tobą, żeby cię ostrzec przez łowcę nagród i...

- I zaprowadziłeś go prosto do mojego obozu.

- Nie. On i tak by cię znalazł. Chciałem tylko powiedzieć, że teraz czuję się za ciebie odpowiedzialny.

Kasey zeszywniała; nie chciała być dla niego ciężarem.

- Nie ma potrzeby. Sama potrafię o siebie zadbać - oświadczyła z przekonaniem.

- Czasami.
- Jeszcze nie wpakowałam się w kłopoty, z których nie potrafiłabym się wyciągnąć.
- Kwestia interpretacji - rzucił Grason.
- Jak zwykle - szepnęła ze smutkiem. Ojciec powiedział jej kiedyś coś bardzo podobnego, kiedy obiecała, że dorówna Jean.
- Jesteś bardzo tajemniczą osobą. Myślałem o tym... i jeszcze o innych rzeczach.

Dziewczyna westchnęła. Była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać, ale zauważyła, że Grason kojarzy się jej z ojcem. Być może chciała sprostac jego oczekiwaniom tak, jak niegdyś robiła wszystko, by nie rozczarować Waltera Andersona.

- Boję się spytać, co jeszcze chodziło ci po głowie - odezwała się po chwili.
- Ty. Tylko ty.

Oparła się mocniej o pień i zamknęła oczy; czuła się zupełnie bezpieczna.

- Wiem - powiedziała. - Już mówiłeś, że uważasz mnie za źródło swoich kłopotów.

- No, nie wszystkich - rzekł Grason, śmiejąc się. - Rozmyślałem raczej o twoim dzieciństwie. Opowiedz mi o swoich rodzicach.

Chciała zaprotestować, ale się powstrzymała. Miał ochotę poznać jej życie; cieszyło ją to, a jednocześnie niepokoiło. Była zadowolona, że budzi w nim takie zainteresowanie, choć nie chciała mu zdradzać swoich tajemnic.

Wiatr wył jednostajnie. Przez jakiś czas i tak byli unieruchomieni. Dlaczego więc nie mieliby porozmawiać?

- Mój ojciec był bardzo przedsiębiorczy. W Teksasie był znanym rewolwerowcem, dopóki nie poznał mojej mamy. Wydaje mi się, że się naprawdę kochali. Wzięli ślub i tata chciał się ustatkować. Mama też tak sądziła. Kupili niewielkie ranczo i tata próbował hodować warzywa i doić krowy. Urodziła się Jean, a potem ja. Ale mama mówiła, że ktoś ciągle pukał do drzwi i prosił Tate o przysługę, bo wciąż miał dobrą rękę i oko.

- A twoi rodzice potrzebowali pieniędzy, więc ojciec się zgadzał.

- Właśnie. Mama powiedziała, że po paru latach, kiedy częściej się kłócili, niż kochali, sprzedali ranczo. Przeprowadziliśmy się do Wyoming, żeby uciec przed tymi, którzy znali Tate i chcieli go wynająć. Dowiedział się, że Buffalo Bill organizuje przedstawienia ze scenami z Dzikiego Zachodu, i pojechał z pierwszym tournée. Wrócił w bardzo dobrym nastroju. Natychmiast zaczął nas uczyć rzucać lassem, jeździć konno i strzelać. Chciał, żebyśmy razem dawali występy. Pewnego dnia mieliśmy się stać sławni.

- Ale twojej matce się to nie podobało.

- Nie. Jean była starsza ode mnie o trzy lata i uwielbiała to wszystko, czego uczył ją ojciec. Codziennie ćwiczyła godzinami i szybko stała się bardzo dobra.

- A ty nie.

Kasey skuliła się. Nie miała pojęcia, dlaczego mu o tym opowiada i właściwie dlaczego go to interesuje.

- Nie. Dla mnie to było trudniejsze. Nie tylko dlatego, że broń była ciężka. Przede wszystkim nie pasowała do mojej ręki. Nie szło mi, dopóki tata nie kazał zrobić rewolweru specjalnie dla mnie. Ale nawet wtedy było mi trudno, bo mama chciała, żebym jej pomagała w domu.

- Tego rewolweru używasz do dzisiaj?

- Tak. Codziennie musiałyśmy wstawać wcześniej i ćwiczyć. Zmarnowałyśmy mnóstwo kul. Tata zniknął od czasu do czasu, żeby zarobić pieniądze na amunicję.

- Przekrętami?

- Tak. Ale kiedy mama czuła się gorzej, co zdarzało się często, i chciała, żebym jej pomagała w gotowaniu, szyciu i sprzątaniu, wzywała mnie na pomoc. Jean mogła ćwiczyć dalej. Tata twierdził, że będzie tak dobra jak Annie Oakley. Ta Annie była sławna i zarabiała mnóstwo pieniędzy. Tata był przekonany, że jego córka poradzi sobie równie dobrze z rewolwerem, jak Annie ze strzelbą.

- A ty z nim też występowałaś? - spytał Grason.

Do oczu Kasey napłynęły łzy.

- Nie. - W gardle jej zaschło. Pod kocem było potwornie duszno.

- A Jean?

- Tata poddał nas próbie. Powiedział, że wyjedzie na parę dni, a kiedy wróci, mamy się nauczyć wbijać strzałami gwoźdź w deskę z odległości dwudziestu kroków.

- Niech mnie diabli! To bardzo trudne, wystarczy pomylić się o włos.

Po policzkach Kasey pociekły łzy. Nie walczyła z nimi; w ciemnościach i tak nie było widać jej twarzy.

- Jean się nauczyła, a ty nie, prawda? - domyślił się Grason.

- Tak - szepnęła ochryple.

- Ale teraz już potrafiysz?

- Owszem. - Coraz trudniej było jej mówić. Zesztywniała, usiłując się opanować.

- I chciałybyś, żeby Jean i ojciec się o tym przekonali?

- Między innymi.

Łzy płynęły jej po policzkach strumieniami; ramiona dygotały jak w febrze. Dawna, prawie zapomniana świadomość, że nie jest dość dobra, znowu zwała się na nią jak głąz. Dlaczego po tylu latach ciągle czuła ten ból? Dlaczego rana wciąż się zagoiła, czemu była zbyt prawdziwa, żeby o niej zapomnieć?

Gardło ścisnęło się jej tak, że prawie nie mogła odetchnąć.

Jak to się stało, że dała się wciągnąć w tę rozmowę? Nic dobrego nie wyniknie z rozdrapywania starych ran. Kasey zdawała sobie z tego sprawę, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła sobie z tym poradzić. Usiłowała zapomnieć, wymazać wszystko z pamięci, ale nawet najniewinniejsza uwaga urażała nie za-bliźnione miejsca. Nikt tego nie rozumiał, ale bolało ją nawet to, że teraz, kiedy wreszcie nauczyła się wbijać te przekłete gwoździe, nie może tego pokazać ojcu.

- Wiesz, wtedy na zawodach wściekłem się, że przegrałem - odezwał się Grason.

Potrafiła docenić tę szczerłość, a także to, że jej towarzysz wie, kiedy należy zmienić temat.

- Wiem. Było widać.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, kto by tak strzelał. Powiniennem ci wtedy pogratulować, ale, prawdę mówiąc, byłem oszołomiony.

Kasey odetchnęła głęboko i wytarła łzy. To, co mówił, nie przychodziło mu z łatwością.

- Tak. Mężczyzna prędzej dałby się powiesić, niżby przyznał, że jestem lepsza.

W śmiechu Grasona zabrzmiała dziwna nuta goryczy, która ją zaskoczyła. Dotychczas nie zdradzał takiego bólu, nawet wtedy, gdy mówił o Eagle'u.

- Trudno się pogodzić z myślą, że się kogoś zawiodło-ciągnął. - Zwłaszcza jeśli ta osoba odchodzi i już nie można naprawić błędu.

Kasey z trudem przełknęła ślinę. Nagle uświadomiła sobie, że Grason nie mówi już o niej.

Grason wiedział, dlaczego jego towarzyszka nagle zamilkła. Czuł dygotanie jej ciała, słyszał ciche dźwięki, które usiłowała zdławić. Nadal cierpiała z powodu wydarzeń z dzieciństwa, ale starała się tego nie zdradzić. Sukcesy najwyraźniej nie przyćmiły wspomnienia porażek.

Nie trzeba było wiele, żeby się domyślić, że Jean była faworyzowanym dzieckiem, przynajmniej przez ojca. Mimo woli zaczął się zastanawiać, dlaczego ten człowiek nie zauważał, że Kasey jest mniejsza i młodsza od siostry. Co za brutalny bydlak!

Grason miał ogromną ochotę wziąć dziewczynę w ramiona, pocieszyć ją, dać się wypłakać, dopóki złe wspomnienia nie odejdą, ale nie chciał, by znowu pomyślała, że traktuje ją jak dziecko.

Jedynie, co mógł zrobić, to pozwolić jej zapomnieć o porażkach

i zrobić to, czego zaniedbał jej ojciec - pochwalić ją za wszystko, co zasługiwało na pochwałę.

- Wydaje mi się, że to nieważne, kiedy się osiągnie cel. Grunt, że się go osiągnęło.

Oddech Kasey uspokajał się stopniowo, ramiona już nie dygotały. Grason odetchnął, gdy zauważył, że jego strategia okazała się skuteczna.

Burza wreszcie powoli się kończyła. Wyjący wiatr przycichł, ale ciągle szarpał brzegiem koca, a gałęzie drzew jeszcze ocierały się o siebie ze skrzypieniem. Grason siedział nieruchomo, pograżony w rozmyślaniach. Coś mu mówiło, że tego dnia, gdy spotkał Jean, ta zapomniała o codziennych ćwiczeniach i dlatego spudłowała. Był tego absolutnie pewien - a także tego, że nie pora, by przekonywać o tym Kasey. Nadal podziwiała siostrę i nie chciała słuchać zarzutów pod jej adresem. A jednak czuł, że w głębi duszy pragnie się z nią zmierzyć... i wygrać.

Jean mogła być kiedyś lepsza, ale dziś Grason stawiał raczej na dziewczynę, która siedziała obok niego.

Kasey pociągnęła nosem.

- Powiedziałaś, że nie ożeniłeś się z Madeline, ale nie wiem dlaczego.

Poderwał gwałtownie głowę, choć pod kocem panowały zupełne ciemności. Nie spodziewał się, że jego towarzyska zacznie zadawać pytania. Zwłaszcza takie, na które nie chciał odpowiadać.

- Rozmawiamy o tobie, pamiętasz?

- Tak, i skończyły mi się smutne historie - odparła Kasey. - Teraz twoja kolej.

- Ja nie znam żadnych smutnych historii - mruknął, przeczesując włosy palcami. Piasek zdołał wdrzeć mu się pod kapelusz.

- Niech ci się nie wydaje, że wykręcisz się sianem po tym, jak obnażyłam przed tobą duszę. Co się dzieje z Madeline? Co teraz porabia?

Przypomnił sobie Madeline taką jaką widział ją po raz

ostatni. Leżała w łóżku, w domu lekarza, jej blade wargi drżały, błękitne oczy lśniły błędnie po opium, które podawano jej dla uśmierzenia bólu. Błagała go, żeby nie ścigał Eagle'a.

Ale jak mógł jej posłuchać? Czuł, że nie może żyć spokojnie, dopóki nie odnajdzie tego bandyty i nie odda go w ręce sprawiedliwości.

- Nie wiem, co porabia - powiedział w końcu.

- Jak to nie wiesz? - zdumiała się Kasey.

- Nie wiem, jak się miewa ani co porabia. O co ci właściwie chodzi?

- Dlaczego nie wiesz, co się z nią dzieje? - dopytywała się z uporem.

- Ponieważ wyjechała z miasta, kiedy wyruszyłem za Eagle'em, i nie zostawiła żadnego adresu. Psiakrew! Teraz jesteś zadowolona?

- Oczywiście, że nie. Jestem zdziwiona. To cię chyba bardzo zraniło.

- Nie aż tak jak powrót bez Eagle'a - mruknął i pożałował, że to przyznał.

- Bo czujesz, że zawiodłeś mieszkańców Ransom?

- I Madeline. I mojego ojca. - Powiedział to tak cicho, że nie wiedział, czy go usłyszała. Miał nadzieję, że nie. Nie zamierzał się wyplakiwać na ramieniu tej dziewczyny. Nie powinien czuć odpowiedzialności za całe Ransom, a mimo to czuł.

- Opowiedz mi o tym. Zakładam, że nie wyjechałeś z miasta, dopóki nie byłeś pewien, że Madeline będzie żyła.

Pod kocem zrobiło się zbyt gorąco. Grason uniósł jego brzeg, żeby wpuścić odrobinę świeżego powietrza. Nie powinien w ogóle zaczynać tej rozmowy. Chciał, żeby Kasey zapomniała o bólu, ale nie zamierzał budzić własnych demonów. Jak do tego doszło?

Żałował, że w ciemnościach nie widzi jej twarzy. Czy pytała z czystej ciekawości? Oparł głowę o pień drzewa i zamknął oczy. Widział to wszystko tak, jakby wydarzyło się wczoraj.

- Oczywiście, że zostałem - powiedział cicho. — Zaniósłem

Madeline do doktora Willarda i zostałem przy niej przez całą operację. Czekałem, aż przyjdzie do siebie, tymczasem lekarz wyjął mi kulę z ramienia. Madeline obudziła się i nie czuła bólu. Wydawało mi się, że wyzdrowieje. Za bandytami posłano konny oddział, ale wiedziałem, że to na nic. Już chciałem ruszyć w drogę, kiedy Madeline zaczęła krzyczeć, że nie ma władzy w nogach. Czułem się za to odpowiedzialny, byłem szeryfem. Powinienem coś zrobić, nie dopuścić do tego, co się z nią stało.

- Nie mogłeś wiedzieć, że gang napadnie na bank. To musiało być straszne.

- Było. - Grason przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło. - Doktor nie potrafił powiedzieć, czy Madeline będzie jeszcze chodzić. Nie chciała, żebym jechał za Eagle'em. Nie rozumiała, że muszę to zrobić. Dla niej i miasta.

- A dla siebie?

- Też. - Poczuję, że spada z niego wielki ciężar. Kasey rozumiała coś, czego nie potrafił wytłumaczyć ani Madeline, ani mieszkańcom Ransom. Nie mógł spocząć, dopóki nie schwyta Eagle'a. To była kwestia honoru. Zawiodł, więc musiał się zrehabilitować.

W pewnym sensie rozumiał Kasey, która ciągle chciała przekonać ojca i siostrę o swoich znakomitych umiejętnościach. On także musiał udowodnić Madeline i całemu miastu, że potrafi być odpowiedzialny. Właśnie dlatego uparł się, że przyprowadzi Eagle'a i odda go pod sąd.

- Nie mogłem czekać, aż Madeline wyzdrowieje. Z każdą godziną Eagle coraz bardziej oddalał się od Ransom. Minęło parę dni od strzelaniny, zanim ruszyłem w pościg.

- Domyślałeś się, dokąd uciekają?

- Nie, ale z łatwością mogłem za nimi podążać, dopóki znajdowali się na terytorium Stanów. Okradli parę banków na trasie do Kanady. Zgubiłem ich ślad jakieś sto kilometrów za granicą. Wpadłem w parę burz śnieżnych, które mnie zatrzymały. Wróciłem do Ransom na wiosnę, żeby sprawdzić

stan Madeline, i dowiedziałem się, że wkrótce po strzelaninie wyjechała razem z rodzicami.

- Zostawiła jakąś wiadomość, wyjaśnienie?

- Parę zdań, w których zrywała zaręczyny i pisała, żebym o niej zapomniał i żył dalej. Nie chciała, żebym miał kalekę za żonę, ale...

- Podejrzewasz, że to nie wszystko?

Grason poczuł, że powiedział już zbyt wiele.

- Kto wie, co się dzieje w głowie kobiety? Nie powinienem wracać do Ransom bez Eagle'a. Trzeba było zostać w Kanadzie, dopóki go nie znalazłem.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Przecież musiałeś kiedyś wrócić, choćby ze względu na Madeline. Na pewno wszyscy się ucieszyli, że jesteś cały i zdrowy.

- Mieszkańcy Ransom są zbyt dobrzy. Powitali mnie serdecznie i powiedzieli, że chcą, bym nadal był szeryfem. Zupełnie, jakby nic się nie stało. Ale nie mogłem. Chcieli, żebym pozostał na stanowisku, ponieważ mój ojciec był dobrym szeryfem. Nie ja. Ja ich zawiodłem, kiedy trzeba było schwytać Eagle'a.

- I nie wrócisz, dopóki nie oddasz go w ręce sprawiedliwości.

- Właśnie.

- Tęsknisz za Madeline? - spytała Kasey.

Grason roześmiał się ponuro i zacytował jej słowa:

- To nie twój interes.

Najgorsze, że wcale nie tęsknił za byłą narzeczoną. A powinien. Nawet jeśli był na nią zły, nawet jeśli uważał, że źle postąpiła, uciekając i nie dając mu szansy. Czasami zastanawiał się, jak się jej widzie. Jak sobie radzi, okaleczona. Nie, nie tęsknił za Madeline, ale się o nią martwił.

Teraz, kiedy miał czas, żeby zastanowić się nad ich związkiem, doszedł do wniosku, że chciał się z nią ożenić tylko po to, by się ustatkować. Szeryf Ransom powinien mieć żonę. Wybrał Madeline, ponieważ była młodą damą z dobrego domu, wymarzoną kandydatką na żonę.

Prawda wyglądała tak, że od czasu gdy poznał Kasey w ogóle

nie myślał o tamtej kobiecie. Madeline była obowiązkiem.

Kasey - przygodą.

- Jeśli zamierzałeś się ożenić, to pewnie masz dom, może nawet z ogrodem?

- Za życia mego ojca mieszkańcy Ransom zrobili składkę i zbudowali dom dla szeryfa.

- Kto przejął twój urząd, kiedy oddałeś odznakę?

- Nikt, przynajmniej do dnia, w którym wyjechałem. Burmistrz ciągle miał nadzieję, że zmienię zdanie i zostanę.

- Twój ojciec nie żyje, ale chyba nie wspominałeś o matce.

- Mieszka szczęśliwie z nowym mężem w Butte. No, teraz i mnie skończyły się smutne historie. Zostań pod kocem, a ja sprawdzę, czy już można wyjść.

- Poczekaj. - Dotknęła delikatnie jego ramienia. - Rozumiem, że niełatwo ci o tym mówić, ale pozwól mi spytać jeszcze o jedno.

- Pytaj.

- Gdyby nadał czekała na ciebie w Ransom... - zaczęła Kasey.

- I gdyby ciągle chciała mnie poślubić, czy poszedłbym z nią do ołtarza? - dokończył za nią. Właściwie nie czuł się niezręcznie. Nie dziwiło go, że Kasey chce się dowiedzieć wszystkiego o jego związku z Madeline. Podobnie jak całe Ransom.

- No właśnie. Poszedłbyś?

- Odpowiedź brzmi: to ona mnie zostawiła. Koniec, kropka. A teraz siedź tutaj, a ja sprawdzę, czy burza się skończyła.

Wypętlął spod koca i zakaszłał. Wiatr osłabł, ale powietrze było gęste od pyłu. Ściągnął okrycie z Kasey i pomógł jej wstać.

- Po wszystkim. Musimy znaleźć konie.

Dziewczyna wyprostowała się z trudem. Kiedy na siebie spojrzeli, oboje parsknęli śmiechem.

- Wyglądam tak zabawnie jak ty? - spytał Grason.

- Jeśli przypominam brudnego szopa, to tak.

Na ubraniach osiadła im skorupa piasku i ziemi. Podobało mu się, że Kasey potrafi dostrzec zabawną stronę ich sytuacji.

W ogóle podobała mu się ta dziewczyna.

- Musimy się wykąpać - orzekła, składając koc. - Ścigamy się do Yellowstone?

- Nie tak szybko. Najpierw chcę się rozejrzeć i sprawdzić, czy nasze konie nie bląkają się gdzieś w pobliżu. Chyba że chcesz się miotać w kółko po okolicy. Wejdźmy na to wzgórze. Kurz opadł na tyle, że będziemy mogli je zobaczyć.

- Dobrze - zgodziła się Kasey. - Ale chciałabym się umyć przed zmrokiem.

Po paru minutach znaleźli oba wierzchowce; pasły się spokojnie w dolinie nieopodal kępy drzew, w której przeczekali burzę. Żaden nie ucierpiał, ale oba były pokryte warstwą pyłu i piasku.

Grason zajął się przywiązywaniem koca i torby z żywnością do siodła; jego towarzyszka tymczasem zabrała się za czyszczenie swojej klaczy.

- Słuchaj... - odezwała się po pewnym czasie. Jej głos brzmiał bardzo dziwnie.

Grason podniósł wzrok.

- Co?

- Jak ci się zdaje, czy jesteśmy bardzo blisko rezerwatu?

- Dość blisko- odparł, zdziwiony jej pytaniem. - Bo co?

- Popatrz na lewo.

Dociągnął węzeł i spojrział, na zboczu wzgórza stało kilkunastu indiańskich jeźdźców, którzy przyglądali się im w milczeniu.

- O cholera - szepnął.

- Mamy kłopoty?

Powietrze zatrzęsło się od nagłego wrzasku, gdy Indianie ruszyli na nich galopem.



Wiejemy! - krzyknął Grason, obracając się w siodle. - Na północ!

Serce podeszło Kasey do gardła. Spięła konia ostrogami i ruszyła. Nie miała czasu się zastanawiać, dlaczego Indianie mieliby ich atakować.

Kapelusz zsunął się jej z głowy na plecy i podskakiwał przy każdym szarpnięciu; wiatr załopotał włosami. Ścisnęła klacz nogami, pochylając się nisko nad jej szyją. Za plecami słyszała wrzaski i tętent. Żołądek ścisnął się jej ze strachu. W każdej chwili spodziewała się poczuć rozdzierający ból od uderzenia kuli.

Kiedy Grason wyprzedził Velvet, ściągnął cugle i zaczął na Kasey. Dziewczyna zerknęła przez ramię na pościg. Czowała narastające przerażenie i dopiero kiedy ujrzała Grasona u swego boku, zmusiła się, by opanować strach i zacząć myśleć. Chciała żyć! Pragnęła tego jak nigdy dotąd.

Zastanowiła się usilnie, jak odeprzeć atak.

- Musimy przejść przez Yellowstone! Jedź za mną! - ryknął jej towarzysz i skręcił ku rzece.

Velvet pogalopowała w ślad za ogierem. Serce Kasey dudniło

w rytmie uderzeń kopyt klaczy. Być może istniała słaba szansa na ratunek... Po chwili zza zasłony osiadającego pyłu wyłoniły się ciemnoniebieskie wody Yellowstone. Grason zwolnił i wprowadził konia w rwącą wodę, a zaraz potem także Velvet wskoczyła w nurt rzeki.

Gdyby zdołali zniknąć pogoni z oczu, mogliby się ukryć w kępie drzew. Kasey obejrzała się; Indianie stali na brzegu Yellowstone, najwyraźniej nie zamierzając jej przekroczyć. Krew zlodowaciała dziewczynie w żyłach. Indianie zamierzali za nimi strzelać! Przywarła do szyi klaczy.

Ale kiedy wyszli na drugi brzeg, Grason odwrócił się w stronę prześladowców.

- Co się stało? - spytała zdumiona Kasey, z trudem łapiąc powietrze. - Teraz mamy szansę uciec!

- Nie. Poczekaj.

Nie miała ochoty czekać; z całego serca chciała uciec jak najdalej. Serce tłukło się jej w piersi jak kopyta spłoszonego konia.

- Oni nie zamierzają przejść przez rzekę- dodał Grason ochryple.

- Co? - Ledwie łapała oddech. - Skąd wiesz? - wykrztusiła, ściągając cugle, gotowa do ucieczki na najmniejszy ruch Indian.

Grason nie odwracał od nich oczu.

- Mieli mnóstwo czasu, żeby nas dogonić - rzekł.

Dziewczyna spojrzała na rząd jeźdźców na przeciwległym brzegu. Byli ubrani w skórzane spodnie, ozdobione frędzlami i paciorkami; wyglądali imponująco. Jeśli chodziło im o to, żeby napędzić strachu bladym twarzom, odnieśli pełny sukces - przynajmniej w przypadku Kasey.

Nagle jeden z nich, zajmujący miejsce w środku grupy, gwałtownie poruszył strzelbą. Podniósł ją i opuścił kilka razy, jakby w demonstracji siły, wydając z siebie dziwne, niemal melodyjne zawodzenie. Zawrócił konia i odjechał. Inni poszli w jego ślady, wrzeszcząc i wyjąc.

- Odjeżdżają? - szepnęła Kasey, nie wierząc własnym oczom.

- Na to wygląda.

Omali nie zemdlali z ulgi, kiedy ostatni Indianin zniknął w piaskowej mgłę, a tętent kopyt ucichł w oddali.

- Nie wiem, kiedy ostatnio się tak przestraszyłam. - Oparła czoło na rękę.

- I to nie po raz pierwszy tego dnia - dodał ciepło.

- Nie jestem pewna, czy moje serce wytrzyma więcej takich atrakcji.

- Jak się czujesz?

Dziewczyna uniosła głowę. Po policzkach Grasona spływały strużki potu, żłobiące bruzdy w zaskorupiałym brudzie na twarzy i szyi. Nie mogła powstrzymać uśmiechu; wołała jednak nie myśleć, jak wygląda jej twarz. Przepęłniło ją dziwne, słodkie uczucie. Na razie nic im nie groziło i tylko to się liczyło. Była szczęśliwa, że ma przy sobie tego mężczyznę. Czy zdołałaby dotrzeć tak daleko, gdyby jej nie towarzyszył?

Roześmiała się cicho.

- Poczuję się dobrze, jak tylko zdołam odetchnąć. - Wyprostowała się, wyjęła manierkę i podała ją Grasonowi.

Kiedy wyciągnął rękę i ich palce musnęły się przelotnie, ciało Kasey przeszył dreszcz podniecenia.

Grason nie odrywał spojrzenia od jej twarzy.

- Cholernie dobrze jeździsz, Kasey. Ojciec nauczył cię i tego?

- Rzucania lassem, jazdy konnej i strzelania. Na tym polegało przedstawienie, w którym mieliśmy wystąpić wszyscy troje.

Grason pociągnął łąpczywie łyk z manierki i oddał ją dziewczynie.

- Jak sądzisz, dlaczego zawrócili? - spytała.

- Tylko się domyślam. Chyba uznali, iż weszliśmy na ich ziemię. Albo zbliżyliśmy się bardziej, niżby chcieli. Wojownicy do nas nie strzelali, więc nie sądzę, żeby naprawdę chcieli nam zrobić krzywdę.

- Szkoda, że po prostu nie poprosili nas, żebyśmy sobie poszli. Nie musieli od razu rzucać się na nas z wrzaskiem.

- Prawdopodobnie nie ufają żadnemu białemu człowiekowi.

Poza tym ten pościg był pokazem siły. Myślę, że robili to bardziej dla zabawy niż z innego powodu.

- Ja się tak nie bawię. - Kasey otarła usta i poczuła pod palcami rozmazujący się brud. Drżącą ręką uniosła manierkę i napiła się powoli. Miała straszliwą ochotę się wykapać, ale wiedziała, że nie ośmieli się wejść do rzeki, dopóki nie oddała się od terytorium Kruków.

- Na razie nie możemy odpocząć- odezwał się Grason, całkiem jakby czytał w jej myślach. - Zatrzymamy się dopiero o zmroku.

Kasey odetchnęła głęboko; znowu czuła ucisk w piersi. Grason obudził w niej tyle nie znanych jej uczuć...

- Masz rację. Wolę być brudna i żywa.

- Pojedziemy do granicy rezerwatu i dopiero wtedy przejdziemy na południowy brzeg Yellowstone.

- Wcale nie musimy jechać południowym brzegiem.

Grason spojrział na nią badawczo, ale zachował spokój.

- Miejsce, do którego jedziemy, leży na północ od rzeki - wyjaśniła Kasey.

- Więc po jaką cholere jechaliśmy po południowej stronie?

- Nie sądziłam, że to nam zrobi jakąś różnicę. Poza tym jechałam za tobą.

- Za mną?! - Grason był wyraźnie zirytowany.

- Twój koń szedł pierwszy - przypomniała mu dziewczyna.

- Nie wiedziałem, dokąd jedziemy. Niech to szlag, myślałem że zawrócisz mnie z drogi, jeśli pojedę w niewłaściwym kierunku.

- Ale my jedziemy we właściwym kierunku! Na wschód.

W tej chwili nie ma znaczenia, czy jesteśmy po północnej, czy południowej stronie rzeki.

- Dość tego. Dlaczego w końcu mi nie zaufasz i nie zdradzisz mi nazwy tego miejsca?

Kasey po raz kolejny otarła usta dłonią. Nie chciała go rozznosić; tak naprawdę marzyła o tym, żeby się do niego przytulić, zanurzyć twarz w jego ciepłe, poczuć się bezpiecznie w silnych męskich ramionach i obudzić te podniecające doznania,

które nie pozwalały jej o sobie zapomnieć. Chciała usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, choć wiedziała, że teraz nikt nie może jej tego obiecać.

- Jak daleko stąd do Billings? - spytała.

- Trzy, może cztery dni. A co? Czy to tam jedziemy?

- Znam nazwę tego miejsca, ale wiem tylko, że znajduje się gdzieś w pobliżu Billings. Nie mam pojęcia, jak się tam dostać z miasta. Mam nadzieję, że ktoś, kto je zna, wskaże nam drogę.

- I nie chcesz mi zdradzić tej nazwy.

Kasey spojrzała na brudną twarz swego towarzysza. Z całego serca chciała go zapewnić, że już udowodnił, iż jest godny zaufania, ale rozum nakazywał jej co innego.

- Nie - odparła. - I nie jestem pewna, czy nadal się tam ukrywają. Po powrocie z Kanady mogli się przenieść gdzie indziej.

- Mhm. - Grason spojrzał w rwący błękitny prąd. - Oboje ryzykujemy. Ale skoro nikt ich dotąd nie złapał, istnieje szansa, że kryjówka jest niedostępna i nie widzą powodu, żeby szukać drugiej.

- W Billings podam ci nazwę ich obozu.

- Nie ufasz mi, prawda?

Teraz to ona spojrzała w czyste, rwące wody Yellowstone.

- Nie mogę. Odnalezienie Jean jest dla mnie zbyt ważne.

- Ze względu na twoją matkę.

- Tak - przyznała dziewczyna, a po chwili dodała: - Ale nawet gdybym nie chciała jej znaleźć dla mamy, musiałabym ją ostrzec.

- Bo nie wierzysz, że do mnie strzelała.

Zielone i ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w siebie nieustępliwie.

- Robię to, ponieważ jest moją siostrą - oświadczyła wreszcie Kasey.

Grason parsknął pogardliwie.

- A ona, oczywiście, zrobiłaby dla ciebie to samo.

Kasey zeszywniała.

- Zdaje się, że już to przerabialiśmy?

- Owszem - przyznał Grason. - Wiedziałaś, o co mi chodzi, od samego początku tej podróży.

- Podobnie ty.

Skinął głową i rzekł:

- Do zmroku została godzina. Jedziemy.

Po piaskowej burzy słońce nie wyszło już zza chmur. Kasey i Grason jechali, dopóki niebo zupełnie nie pociemniało. Zatrzymali się przy niewielkiej zatoczce, gdzie mogli się wykapać i pozbyć resztek piasku.

Grason został na warcie w obozie, jego towarzyszka tymczasem weszła w lodowaty nurt, mając na sobie tylko krótką koszulkę i długie pantaloney. Namydliła się od czubka głowy po koniuszki palców u nóg. Kilka razy zanurkowała w rzece, żeby wypłukać z włosów piach i mydliny, po czym uprała swoje ubranie.

Wyszła z wody, dygocząc i dzwoniąc zębami, stanęła za prowizorycznym parawanem, który Grason sporządził z koca, zawieszono go na gałęzi drzewa; tam przebrała się w czyste pantaloney i bluzkę, a także spódnice do konnej jazdy. Potem objęła wartość, a jej towarzysz rzucił się z pluskiem do wody. Zrobiło się już zupełnie ciemno; burza piaskowa i atak Indian wydawały się odległymi wspomnieniami.

Kasey powiesiła uprane rzeczy na niskich gałęziach. Od czasu do czasu zerknęła przez ramię, z nadzieją, że zobaczy kąpiącego " się Grasona. Trudno jej było uwierzyć, ale coś pchało ją ku rzece. Miała nadzieję, że Grason się pospieszy i w porę wyjdzie z wody, zanim ona zdąży zrobić coś głupiego.

Uporała się z praniem, uczesała schnące włosy i zaplotła je w warkocz. Zajrzała do fasoli i kukurydzy, gotujących się nad ogniskiem, i nalała wody do garnka, żeby zaparzyć herbatę. Wreszcie zdała sobie sprawę, że nie wytrzyma ani chwili dłużej, wzięła głęboki oddech i ruszyła ku rzece.

Grason stał w plamie księżycowego światła; jego szeroka pierś lśniła wilgocią.

Kasey westchnęła z zadowoleniem. Przyzwyczała się do obecności tego mężczyzny w swoim życiu. Rozstanie z nim będzie trudniejsze, niż się jej początkowo wydawało.

- Czyżbyś mnie podglądała?! - zawołał.

- Wcale nie! - odrzyknęła. - Przyszłam, żeby wziąć twoje rzeczy. Powieszę je, żeby wyschły.

- Masz wypatrywać strasznych Indian, a nie przyglądać mi się w kąpielni.

Uśmiechnęła się, choć nie wiedziała, czy zauważył to w ciemnościach. Te sprzeczki sprawiały jej przyjemność. Jeszcze nikt nie obudził w niej tylu uczuć co on.

- Jestem uzbrojona. Uratuję cię, jeśli nas napadną. Więc mam zabrać te ciuchy czy nie?

- Jasne, już idę.

Zniknął na chwilę pod wodą i wyłonił się bliżej brzegu. Wyprostował się; woda sięgała mu poniżej brzucha. Światło księżycy lśniło na muskularnym ciele. Kasey poczuła nagłe pragnienie, by skoczyć do wody i rzucić mu się w ramiona.

- Gdzie... gdzie twoje ubranie?

Uniósł ponad wodę dłoń, w której trzymał ociekające spodnie.

- Przyniosę ci je. - Jego mięśnie drgały pod złocistą skórą.

- Nie! - Odwróciła się błyskawicznie i wyciągnęła rękę. - Tylko mi je podaj.

Poczuła, że zatrzymał się za jej plecami. Coś przeszkadzało jej w oddychaniu. Zadrzała. Co się z nią działo? Pragnęła, żeby Grason zapomniał o wszystkim, wziął ją w ramiona i pocałował. W tej chwili, kiedy był mokry i nagi.

On tymczasem roześmiał się cicho.

Co by zrobił, gdyby się odwróciła, rzuciła mu się w ramiona i zaczęła go całować? Czy odtrąciłby ją? Czy powinna zaryzykować?

Zaczerpnęła powietrza; w chwili, kiedy zdecydowała się odwrócić, ociekające wodą ubranie wylądowało na jej wyciągniętej ręce.

- Ubiore się, zanim skończysz - rzekł Grason. - Fasola jest już pewnie gorąca.

Dopiero teraz wypuściła wstrzymywane długo powietrze i popieszyła ku obozowi.

Po paru minutach kolacja dobiegła końca. Kasey i Grason siedzieli w milczeniu, patrząc w ognisko. Zabłąkane poddmuchy wiatru mąciły spokój nocy, z czarnej kopuły nieba mrugało ku nim tysiące gwiazd. Księżyc wszedł już w trzecią kwadrę.

Kasey popijała powoli gorącą herbatę; napój działał jak balsam na jej zszarpane nerwy. Powtarzała sobie dziesiątki razy, że jej reakcje są spowodowane wydarzeniami tego burzliwego dnia. Gdyby nie przeżyła tych wstrząsających chwil, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby rzucić się nagiemu i mokremu Grasonowi w ramiona.

Nagle zaczęło jej bardzo zależeć na odnalezieniu Jean i powrocie do domu. Ten mężczyzna obudził jej zmysły i uczucia, wstrząsnął nią, jak jeszcze nikt. Im szybciej od niego ucieknie, tym pręcej zapomni o nim i tych wspaniałych doznaniach, które targały jej ciałem, kiedy trzymał ją w objęciach i całował.

Spojrzała w ogień. Musiała się przygotować na kłótnię z Jean, a także - o czym nie chciała w tej chwili myśleć - na fakt, że Grason może ją oszukać. Pragnął odnaleźć Eagle'a i Jean równie mocno jak ona.

Osuszyła kubek i schowała go do torby.

- Jestem bardzo zmęczona- powiedziała, dorzucając do ognia ostatnie kawałki chrustu. - Chyba zaraz zasnę. - Rozpięła pas z bronią i zaczęła układać się na postaniu.

- Nic z tego - rzekł jej towarzysz.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Co?

- Chcę, żebyś położyła się po tej stronie ogniska.

Żołądek ścisnął się jej gwałtownie.

- Tu mi dobrze.

- Będę się czuł lepiej, jeśli się do mnie przeniesiesz, tak na wszelki wypadek.

W jego oczach odbijały się płomienie. Rozpięta koszula ukazywała skrawek skóry na piersi. Grason promieniował chłopięcym urokiem, który budził w niej dreszcz pożądania. Nie mogła się dłużej oszukiwać. Pożądała go, a mimo to postanowiła się z nim podroczyć.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz się czuć bezpieczniej? Mam cię bronić własnym ciałem? Zdaje się, że Indianie napędzili stracha nam obojgu.

Grason uśmiechnął się krzywo.

- Chodź tutaj. - Jego głos brzmiał ochryple i rozkazująco. Rozbudził w Kasey ogień, którego nie potrafiła opanować.

Wiedziała, że nie powinna spełniać jego prośby, ale całe jej ciało krzyczało, że ma to zrobić. Wstała, zabrała koc i broń i podeszła do Grasona.

Kiedy pomógł jej rozścielić wełniany koc, w milczeniu położyła rewolwer przy głowie i wyciągnęła się na posłaniu.

Gdy Grason pochylił się nad nią i dotknął ustami jej warg, drgnęła zaskoczona, ale po chwili poddała mu się, objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie.

Pałająca namiętność wybuchła w niej płomieniem, tak że Kasey aż jęknęła z rozkoszy. Grason pokrywał pocałunkami jej policzki, oczy i usta. Pachniał mydłem i świeżością. Czowała jego siłę i to także sprawiało jej rozkosz, napełniało spokojem i radością. Poruszyła się, usiłując przylgnąć do niego całym ciałem.

Pieszczota jego języka wydała się jej nieznośnie rozkoszna, słodka aż do bólu. Przywarła do niego całym ciałem, pozwalając mu zaspokoić pragnienie, które w niej rozniecił.

- Mmmm... pięknie pachniesz. - Pocałował ją w szyję.

- Ty też - szepnęła.

- Nie chcę przestawać.

Ujęła twarz Grasona w obie ręce i spojrzała na niego zamglonymi oczami.

- Ja też nie chcę.

Znowu pocałował ją natarczywie; drżała coraz mocniej w jego

mocnych ramionach. Wiedziała, że ma na niego wpływ, i to dawało jej poczucie władzy. Przesunął dłońmi wzdłuż jej ciała i objął pośladki, przyciągając dziewczynę do siebie. Musnął pieszczotą jej pełną pierś. Kasey westchnęła i zamknęła oczy, skupiając się na nowych doznaniach, wybuchających w niej z nie znaną dotąd siłą. Przesunęła dłońmi po jego drgających mięśniach piersi i ramion. Sięgnęła niżej, aż do szerokiego pasa. Zawahała się i wyciągnęła rękę ku...

Grason puścił ją raptownie i się odsunął.

- Cholera, nie powinnaś mi pozwolić! Nie mogę cię dotykać, a ty trzymaj ręce z daleka ode mnie.

Uniosła się na łokciu. Jej ciało stało w ogniu. Czuła dziwny niedosyt - jakby czekała na coś, co się nie wydarzyło.

- Ale ja chcę cię dotykać. Wiem, co robię.

Potańczał i usiadł.

- Sama nie rozumiesz, co mówisz. Dałaś się ponieść chwili, a niebezpieczeństwo wytrąciło nas z równowagi.

- Nieprawda, ja...

Położył jej palec na ustach.

- Cśśś. Musiałem cię pocałować. Tylko jeden raz, powiedziałem sobie. Miałem na to ochotę od chwili, kiedy zaczęłaś płakać.

- Wcale nie...

Znowu ją uciszył.

- Owszem, płakałaś. Wiem. I rozumiem. - Obliznął usta. - Nie chciałem, żebyś znowu mówiła, że traktuję cię jak dziecko, więc nie próbowałem cię pocieszać. Ale nie mogłem pozwolić ci zasnąć z przekonaniem, że nie wiem o twoim bólu i nie myślę o tobie jak o godnej pożądania kobiecie.

Poczuła, że podjął już decyzję.

- Ale na tym zamierzasz skończyć? - spytała urażona.

- Owszem. Nie wezmę tego, co do mnie nie należy. Tak postępują mężczyźni tacy jak Eagle.

Ogarnęło ją dławiące zimno. Grason wyznaczył jej rolę, jaką miała pełnić w jego życiu. Nie należała do niego i nie miał zamiaru tego zmienić.

Położył się na swoim pościeliu i odwrócił się do niej plecami.
- Obudź mnie, jeśli coś usłyszysz - powiedział.
- Dobrze- zgodziła się odruchowo. Podłożyła rękę pod głowę i spojrzała w rozgwieżdżone niebo.

Grason... Z jakiegoś powodu potrafił kocić jej lęki. Przy nim czuła się wyjątkowa i bezpieczna, wydawało się jej nawet, że ten nadzwyczajny mężczyzna rozumie to, co miało miejsce pomiędzy nią, Jean i ojcem. Jeszcze nigdy nie czuła się tak swobodnie w czyimś towarzystwie, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, jakie to niebezpieczne. Nie powinna zdradzać emocji, które w niej obudził.

Grason miał własne demony, z którymi musiał walczyć. Chciałaby mu w jakiś sposób pomóc. Gdyby schwytał Eagle'a i wszystkich jego ludzi, może wtedy poczułby, że sprawiedliwość została wymierzona. Ale przecież do bandy wyrzutków należała także Jean. I o tym Kasey nie mogła zapomnieć.

Grason obudził się ze świadomością, że coś jest nie w porządku. Nie drgnął, nie otworzył oczu; leżał i nasłuchiwał. Co tak zaniepokoiło owady i nocne zwierzęta, że nagle umilkły?

Jego zmysły trwały w stanie wyjątkowej gotowości.

Powoli uniośł powieki; nadal było ciemno, ale niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Po pewnym czasie wychwycił odgłos stąpania bosych stóp. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że to Kasey chodzi po obozie, ale przecież słyszał jej cichy oddech tuż obok.

Intruz, który wtargnął do obozu, nie był duży i nie nosił butów.

Kroki zbliżyły się. Powoli sięgnął po nowego remingtona, uchylił powieki jeszcze odrobinę i nieznacznie odwrócił głowę w stronę Kasey.

Jego spojrzenie padło na spodnie z jeleniej skóry. I proste czarne włosy.

Nad Kasey pochylał się Indianin. Z rewolwerem w dłoni.



Grason zerwał się z ziemi jednym płynnym ruchem i rzucił się ku nogom Indianina. Chwytał je i przyciągnął do siebie. Wojownik stracił równowagę i upadł, stękając boleśnie. Grason wyszarpnął mu pistolet z dłoni, usiadł na nim i wepchnął lufę remingtona pod jego brodę.

Kasey krzyknąwszy cicho, skoczyła na równe nogi.

Indianin zamachnął się i wymierzył potężny cios. Grason jęknął; przed oczami zatańczyły mu gwiazdy. Potrząsnął głową, przygwoździł do ziemi ramię wojownika i przytrzymał je kolaniem. Chwyłszy Indianina za drugą rękę, unieruchomił mu ją nad głową.

Napastnik zrozumiał, że został pokonany, i przestał walczyć. Ciemne gniewne oczy spojrzały prosto w twarz Grasona.

Indianin był młody, bardzo młody; nie skończył jeszcze dwudziestu lat.

- No, zabij mnie, biały człowieku - rzucił z pogardą. - Zasluguję na śmierć.

- Pewnie tak.

- Chyba nie zamierzasz go zabić? - Kasey zbliżyła się do nich powoli.

- Nie w tej chwili - odparł jej towarzysz.
- Nie możesz mu zrobić krzywdy. To jeszcze dziecko.
Indianin rzucił jej wściekle spojrzenie.
- Ja nie dziecko! Ja wojownik... mężczyzna.
- Nie martw się, potraktuję cię jak mężczyznę - zapewnił go Grason, wpierając lufę remingtona w szyję młodzika.
- Puść go - zażądała Kasey.
- Ten chłopak i tak ma szczęście, że to nie ty go złapałaś.
Przecież ty najpierw strzelasz, a potem pytasz.
- Ja... ja...

Grason widział ból w oczach dziewczyny. Zranił ją, choć wcale tego nie chciał, ale teraz nie miał czasu się o to martwić.

- W pewnych sprawach jestem do ciebie podobny - rzekł. - Nie ufam komuś, kto wkrada się do mojego obozu.

- Nie wkrada. Jimmy Szybka Stopa nic nie wkrada - za-protestował Indianin z przekonaniem.

- Jimmy Szybka Stopa, tak? - Grason doskonale zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą młodzika, a nie uzbrojonego i niebezpiecznego indiańskiego wojownika. - To, co z tobą zrobię, Jimmy, zależy od twoich odpowiedzi.

- Jimmy Szybka Stopa nie odpowiesz biały człowiek. Woli umrzeć.

- Może tak się stanie, ale jeszcze nie teraz. - Grason powoli opuścił rewolwer i wstał, uwalniając Indianina.

Młodzik natychmiast rzucił się do ucieczki, lecz Kasey podstawiła mu nogę i runął na ziemię z jękiem.

Grason chwycił go za kostkę i przyciągnął do siebie. Jimmy Szybka Stopa wierzgał i młócił rękami, ale bez trudu został obezwładniony.

- Nie tak szybko. - rzekł Grason, po czym zwrócił się do Kasey: - Weź nóż z moich juków i utnij kawałek sznura.

- Nie wieśza Jimmy Szybka Stopa. - Indianin usilnie próbował się uwolnić. - Nie wkrada od biały człowiek.

- Grason! - szepnęła ze zgrozą Kasey.

- Do cholery, nie zamierzam go powiesić, tylko związać.
Żeby nie uciekł, dopóki się nie dowiem, dlaczego stał nad tobą z bronią. Przynieś ten sznur.

Niespełna pół godziny później Grason, Kasey i Jimmy Szybka Stopa siedzieli przy roznieconym ognisku. Słońce wyłoniło się nad horyzontu i rozproszyło mrok. W jednym garnku bulgotała kawa, w drugim parzyła się herbata.

Jimmy Szybka Stopa przestał się bać; ale siedział nadąsany jak dziecko. Nie przyjął poczęstunku.

- Nikt cię nie oskarża o kradzież - wytłumaczyła mu Kasey. - Musisz jednak przyznać, że to podejrzane, iż tak cicho wszedłeś do naszego obozu, w dodatku uzbrojony.

Nie załadowany rewolwer leżał obok Grasona. Najwyraźniej Jimmy zamierzał im wmówić, że ma w nim naboje.

- Powiedz nam, o co ci chodziło i gdzie jest reszta twojego plemienia - rozkazał Grason.

- Chciał popatrzeć na białą dziwkę.

Grason zareagował błyskawicznie i bez ostrzeżenia; chwycił Jimmy'ego za koszulę i przyciągnął go do siebie.

- Uważaj, co mówisz, bo obetnę ci język.

- Nie przestraszy mnie. Biali ludzie to tchórze.

- Nic się nie stało, puść go - wtrąciła się Kasey. - Na pewno mówi tylko to, co usłyszał od innych.

- Nie będzie tego mówił w mojej obecności- oświadczył zirytowany Grason, ale puścił Jimmy'ego. - Gdzie jest twoje plemię?

- Wiele dni stąd, na ziemi z płótem białego wodza.

Najwyraźniej chodziło mu o rezerwat.

- Dlaczego nie jesteś z nimi?

- Ja mężczyzna. Poluje sam.

- Uciekłeś? - dopytywał się Grason.

Jimmy spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Uciec od mój lud? Nigdy, biały człowieku.

- Więc dlaczego tak się oddaliłeś od rezerwatu?

- Cały dzień szedł za tobą i białą dziwką...

Grason sięgnął błyskawicznym ruchem do juków, wyszarpnął z nich nóż i zbliżył go do gardła Jimmy'ego.

- Nazwij ją tak jeszcze raz, a nigdy więcej nie zobaczysz wschodu słońca.

Jimmy zerknął na Kasey, oczekując jej pomocy.

Grason nie odrywał od niego oczu. Miał nadzieję, że tym razem dziewczyna weźmie jego stronę. Gdyby znowu przemówiła w obronie chłopaka, on, Grason, straciłby poważanie w oczach Indianina.

- Nazywam się Kasey - powiedziała spokojnie. - Możemy ci pomóc albo cię skrzywdzić. To zależy od twojego zachowania. Nasłuchałam się już dość obelg. Więc jak będzie?

W oczach młodzika błysnęła wściekłość. Grason nie tego się spodziewał. Nadal trzymał nóż przy jego gardle.

- Powiedz, dlaczego wszedłeś po kryjomu do naszego obozu - rzekł stanowczym tonem.

- Powie prawdę - wymamrotał Indianin.

Grason odetchnął i opuścił nóż.

- Słucham.

- Chce pokazać nasz wódz, jestem dobry myśliwy, jak mój starszy brat. Chce znaleźć wielkie zwierzę. Zabić i przynieść mięso mojemu ludowi. - Pochylił głowę. - Jimmy Szybka Stopa nie tak dobry jak brat. Stracił łuk i strzały w rzece, nie ma już kul w broni. Chciał zabrać broń białej kobiety, żeby zabić wielkiego łosia, nakarmić lud i mieć szacunek.

Grason spojrział na Kasey. Musiał wierzyć, że dziewczyna znajdzie właściwą odpowiedź. Czekał w milczeniu.

- Nie mamy zbędnej amunicji, ale mamy jedzenie - odezwała się po chwili. - Niezbyt wiele, ale możesz je wziąć.

- Zamieni jedzenie.

- Zamienisz?

- Pokaże. - Jimmy sięgnął związanymi rękami ku szyi i zdjął rzemyk z nanizanym kawałkiem złotego kwarcu wielkości dwudziestodolarówki, wygładzonym tak, że lśnił jak prawdziwe złoto. - Daje szczęście w drodze - dodał, podając go dziewczynie.

Kamień zaiskrzył się w świetle ogniska i pierwszych promieniach słońca. Kasey obróciła go w dłoniach.

- Och, nie. Nie możemy tego przyjąć. To jest warte o wiele więcej niż jedzenie. - Wyciągnęła ku niemu naszyjnik.

- Ma więcej. Zatrzymaj. Zamieni za jedzenie.

Kasey spojrzała na swego towarzysza; liczyła na jego pomoc. Żółty kwarc, aczkolwiek nie tak cenny jak złoto, przewyższał wartością te skąpe racje żywności, które im zostały. Grason nie reagował; przyglądał się dziewczynie nieruchomym wzrokiem. Nie zamierzał jej przeszkodzić, jeśli chciała pomóc Jimmy'emu, ale to ona musiała zdecydować.

Wstał.

- Osiodłam konie - powiedział, wstając. - Musimy ruszać.

Kiedy zatrzymali się na krótki popas nad brzegami Yellowstone, Kasey rozwinęła sfatygowaną mapę.

- Jak sądzisz, czy już blisko do miasta? - spytał Grason, kiedy obmył twarz i szyję. — Zdążymy przed zmrokiem, żeby kupić zapasy?

Dziewczyna zwilżyła wargi; zaczynała się trudna rozmowa, ale nie mogła dłużej zwlekać.

- Chyba tak. Wygląda na to, że zblizamy się do Merrill. Nigdy o nim nie słyszałam, ale chyba możemy tam wpaść i zdobyć pieniądze, a potem pojechać do innego miasta, Stillwater, gdzie kupimy jedzenie.

- Zdobyc pieniądze? - powtórzył. - Wydaje mi się, że po zakupach u Dinkera zostało nam jeszcze trochę grosza.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Owszem, ale teraz nie mamy już nic.

- A niby dlaczego? Zgubiliśmy wszystko, kiedy uciekaliśmy przed Indianami?

- Nie. Dałam je Jimmy'emu Szybkiej Stopie.

- Co? - Odsunął kapelusz z czoła. - Dałaś mu nasze je-

dzenie i jeszcze w dodatku pieniądze? Nie mamy nawet kolacji!

- On potrzebował tego bardziej niż my.
- Nie wierzę. Amunicję też mu dałaś, tak?

Kasey nie odpowiedziała.

- Wiedziałem - rzekł Grason. - Uczylaś go strzelać co najmniej przez godzinę, a potem dałaś mu własne naboje, tak?

- Tylko sześć - wyznała z niepokojem. - Nie mogłam go odesłać bez amunicji. Musiał się czymś bronić.

- Dziwię się, że nie oddałaś mu własnego konia. Pewnie byś to zrobiła, gdyby przyszło ci do głowy, że pozwolę ci jechać na moim.

- Nie ma potrzeby się tak denerwować. Możemy zdobyć pieniądze i kupić jedzenie. Jimmy Szybka Stopa musi coś przynieść swoim ludziom, żeby zasłużyć na szacunek.

- Pomyślą, że ukradł to wszystko.
- Nie, powie im, że kupił to za złoty kamień.
- Miał się nauczyć, jak być mężczyzną, nie żebrakiem.

Powinnaś go zostawić w spokoju, żeby zdobył wszystko o własnych siłach. Tego chciał.

Jego słowa sprawiły Kasey ból. Może za bardzo starała się pomóc temu chłopcu, może rzeczywiście nie postąpiła właściwie.

Grason zdjął chustkę z szyi, zanurzył ją w wodzie, wycisnął i znowu zawiązał. Dziewczyna miała wrażenie, że słyszy jego myśli. Nie pochwalał przekrętów, ale potrzebowali pieniędzy.

- Nie wjedziesz do miasta - odezwał się.
- Dlaczego?

- Bo to cholernie niebezpieczne. Ostatnim razem miałąś szczęście. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś cię rozpozna.

- Bzdura, dobrze o tym wiesz. Nikt w całym Bozeman nawet nie pomyślał, że jestem kobietą. Przeszkadza ci to, że zwyciężam z każdym mężczyzną.

- Nie zamierzam znowu zaczynać kłótni.

- Dobrze, bo nie masz racji. Do Billings mamy po drodze jakieś cztery miasta. Odwiedzimy pierwsze, zrobimy przekręt, a do następnego pojedziemy po zakupy.

- Uważasz, że to już postanowione?

Kasey uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Tak.

- Mylisz się - oświadczył stanowczo Grason. - Tym razem zrobimy to na mój sposób.

- Czyli?

- Wygram pieniądze w karty, a ty zostaniesz w obozie.

Dziewczyna złożyła mapę; włożyła ją do kieszeni i dosiadła Velvet.

- Nie chcę zostawać w obozie.

- Gram w pokera tak dobrze, jak ty strzelasz.

- Słuchaj... - zaczęła Kasey, ale jej towarzysz nie dał jej dokończyć.

- Gdybym cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że lubisz, żebym cię ratował.

Jego zarozumiały uśmiešek doprowadził ją do szału.

- Co? Jeszcze nigdy mnie nie uratowałeś!

- Świetnie. Dzisiaj też nie zamierzam. Pomogę ci rozbić obóz, pojedę do Merrill i wrócę z kolacją.

Nie odezwała się ani słowem.

- Chyba się nie boisz Indian? - spytał Grason po chwili.

- Oczywiście, że nie. Potrafię o siebie zadbać.

- Ale zatrzymamy się blisko miasta. Nie zostaną dłużej niż to konieczne.

Od chwili, kiedy uznała, że Indianie chcieli ich tylko ostrzec, zapomniała o całym zajściu, ale nie mogła wyrzucić z pamięci obrazu kobiety z saloonu w Bozeman. Wiedziała, że Grason także o niej pamięta.

Niech to! Nie chciała tego przyznać, nawet przed sobą, ale bała się puszczać go samego.

Widok saloonu przypomniał Grasonowi o Corym, który został nowym szeryfem Ransom. Skrzywił się z niesmakiem. Dobrze, że ojciec nie widział, jak były rewolwerowiec rządzi miastem, które on pomagał zakładać.

Pomieszczenie było pełne dymu. Grason podszedł do baru i oparł stopę na balustradzie, nigdzie nie zauważył śladu obecności barmana. Promienie nisko wiszącego słońca przesiewały się przez zmatowiałe, brudne szyby. W sali było dość pusto, a tylko przy jednym stoliku grano w karty; prawdziwi hazardziści nie pojawiali się tak wcześnie. Mimo to Grason był pewien, że uda mu się zdobyć dość pieniędzy, żeby wystarczyło na kupno żywności. Przed zmierzchem wróci do Kasey.

Kasey. Ta kobieta rzuciła na niego czar. Ciągłe go czymś zaskakiwała. Spodziewał się, że mu zarzuci, iż chce pojechać samotnie do miasta tylko po to, by spędzić parę godzin z kobietą. Nie powiedziała ani słowa.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że inne kobiety już dla niego nie istnieją. Liczyła się tylko ona. Grason nie potrafił przestać o niej myśleć.

Potań brodę. Nie był zły za to, że oddała pieniądze Jimmy'emu Szybkiej Stopie. Właśnie czegoś takiego się po niej spodziewał, ale musiał jej dać do zrozumienia, że postąpiła niemądrze. Nie wiedział tylko, czy mu się to udało.

Drzwi za barem otworzyły się i w progu stanął żylasty mężczyzna w brudnym fartuchu. Skinął głową Grasonowi i stanął za barem.

- Co podać?

- Whisky. - Grason sięgnąwszy do kieszeni kamizelki, rzucił na kontuar srebrną monetę. Dobrze, że nie oddał Kasey wszystkiego.

Barman przykrył ją dłonią.

- Nietutejszy, co?

- Mhm. Jestem tu przejazdem.

- Mamy wszystko, czego dusza zapagnie. - Barman popchnął ku niemu napelnioną szklaneczkę - Whisky, kobiety i karty.

- Słyszałeś o bandzie Eagle'a Clarka?
- Ostatnio te bydlaki schowały się gdzieś w górach, ale nikt nie wie, gdzie ich szukać. Podobno paru jego ludzi i chyba ta kobieta, co to z nią podróżuje, zostali ranni w Miles City podczas napadu na bank.

Grason znieruchomiał. Niech to szlag. Miał nadzieję, że Jean przeżyła - ze względu na Kasey.

- Pytali tu już o nich jacyś łowcy nagród?
- Jesteś pierwszy. Słyszałem, że szeryf Miles City wysłał za nimi obwieszczenie, ale z Miles City do Billings jest szmat drogi. Traperzy już się wynieśli z gór, nikt tam nie mieszka.

Grason skinął głową, uniósł szklaneczkę do ust i rozejrzał się po sali. Miał wrażenie, że obóz Eagle'a znajduje się gdzieś pomiędzy Billings i Miles City. Ale, jak powiedział barman, to kawał drogi. Może dzięki Kasey poszukiwania będą łatwiejsze.

Odstawił szklaneczkę na bar.

- Czy ci tutaj mają ochotę na niewielką partyjkę? - spytał, wskazując na trzech mężczyzn, grających w pokera.

- Może. Hej, Sid, macie miejsce dla jeszcze jednego?

Brodaty mężczyzna przyjrzał się Grasonowi.

- No pewnie. Dawaj go tutaj!

Pół godziny później dwa dolary Grasona zmieniły się w dziesięć. To wystarczyło, żeby kupić tygodniowy zapas żywności, ale on postanowił rozegrać jeszcze parę rozdań.

Dostał pięć kart. Rozłożył i uśmiechnął się w duchu. Szczęście mu wyraźnie dopisało: miał asa, damę i waleta karo. Odłożył dwójkę pik i asa kier i zerknął spod oka na przeciwników.

Orin przewyższał ich wszystkich umiejętnościami. Większość pieniędzy leżała przed nim. Chłopak imieniem Jess nie nauczył się jeszcze zachowywać nieprzeniknionej miny i stracił prawie wszystko z wyjątkiem paru dolarów. Grason doszedł do wniosku, że brodaty mężczyzna - Sid - jest równie dobrym graczem jak on. Wziął trzy nowe karty i rozłożył je; serce zaczęło mu bić szybciej. Nie wierzył własnym oczom: król i dziesiątka karo.

Niech to diabli! Taka karta trafia się raz w życiu, a stawki wcale nie były wysokie.

Zmusił się do spokoju. Ułożył karty w porządku, dokładając wysiłków, żeby zachowywać normalne ruchy.

Spojrzał na Orina, rozdającego. Ten człowiek był zdecydowanie najbardziej opanowanym graczem, jakiego zdarzyło mu się widzieć, ale w tej chwili to nie miało znaczenia. Nic nie mogło pobić kart Grasona. Teraz powinien tylko podnieść stawkę.

Jess dodał jednego dolara do czterech, które już leżały na stole. Sid podwoił stawkę. Grason zdecydował, że nie będzie szaleć. Rzucił na stół dwa dolary i podwyższył stawkę o dwa kolejne.

Orin nawet nie drgnął; położył na stole cztery dolary i dorzucił pięć.

- Pasuję - odezwał się Jess i rzucił karty.

Sid przebił go o dolara. Wszystko szło lepiej, niż można się było spodziewać. Grason musiał uznać, że to jego szczęśliwy dzień.

Właśnie gdy sięgał po pieniądze, usłyszał odległą strzelaninę. Zatrzymał rękę w pół ruchu. Cztery, pięć, sześć. Dwie sekundy ciszy pomiędzy każdym strzałem. Psiakrew! Kasey przyjechała do miasta i znalazła ofiarę.

- No, koledzy, ja wychodzę - powiedział Jess. - Jakiś kretyn nie wie, że w mieście jest zakaz strzelania. Zobaczą, kogo szeryf wsadzi do więzienia. I tak już ograliście mnie do suchej nitki.

Więzienie? Grason zdretniał.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to Kasey strzelała. Powinien się domyślić, że nie dostosuje się do jego zarządzenia. Czy przebrała się za chłopca? Czy już teraz zamykają ją za kratki?

Orin i Sid spojrzeli na niego z napięciem na twarzach. Na zewnątrz rozległo się znowu sześć odmierzonych strzałów. Grason pozbył się wszelkich wątpliwości; ta precyzja stanowiła znak firmowy Kasey.

Jess roześmiał się i wcisnął na czoło brązowy filcowy kapelusz.

- Szeryf Wright się wścieknie, nie ma co.

Co robić? - zastanawiał się Grason. Jeszcze nigdy w życiu karta mu tak nie szła, a jednocześnie wiedział, że musi ratować Kasey. Czy pojawiła się w mieście przebrana za chłopca, czy też wygląda jak Jean?

- Grasz czy nie? - spytał Orin.

Grason spojrział na niego z wahaniem. Dziewczyna mogła mieć poważne kłopoty. Ale Orin sprawiał wrażenie człowieka, który postawi w tej grze ostatni grosz...

Co robić? - zachodził w głowę Grason.

14



Kasey siedziała w obozie, śmiertelnie znudzona. Wyobrażenie sobie tego, co Grason mógł robić w mieście, doprowadzało ją do szaleństwa. Roznieciła ogień i zaparzyła herbatę, zbyt zdenerwowana, by usiedzieć spokojnie. Powinna się uprzeć i pojechać razem z nim. Przynajmniej by wiedziała, na co się zanosí.

Popołudnie było ciepłe i duszne. Położyła się i spróbowała zasnąć, ale sen nie nadchodził. Grason nieustannie stał jej przed oczami. Nie chciała, żeby całował jakąś kobietę. Nie wiedziała, jak mu to dać do zrozumienia... i czy w ogóle chce, żeby o tym wiedział.

Wytrzymała godzinę, zanim postanowiła przebrać się za chłopca i pojechać do miasta, żeby zbadać sytuację.

Nie zamierzała z nikim rozmawiać, ale na wszelki wypadek ubrudziła ręce i dłonie i włożyła spodnie. Włosy wepchnęła pod kapelusz, a jego rondo nasunęła nisko na czoło. Nie miała ochoty na spotkanie z następnym łowcą nagród.

Dostrzegłszy na niewielkim rynku za stajnią młodego chłopca ćwiczącego wyjmowanie broni, postanowiła podjechać bliżej. Wysoki, chudy młodzieniec miał na sobie czyste i świeżo

wyprasowane ubranie. Pas z dwiema kaburami robił wrażenie zupełnie nowego i jakoś dziwnie nie pasował do jego szczupłych bioder. Chłopak mógł mieć jakieś osiemnaście lat - nie wyglądał jeszcze na mężczyznę, lecz nie był już dzieckiem. Zerknął przelotnie na Kasey.

- Dzień dobry - rzucił.

Nie zsiadła z konia; skinęła młodzikowi głową, zastanawiając się, czy ćwiczył dla siebie, czy też na pokaz.

Zerknął na nią jeszcze raz, wyciągnął oba rewolwery jednocześnie i pociągnął za spust.

- Pach! Pach! - Zdmuchnął niewidzialny dym z luf i schował broń do kabur.

Kasey musiała przyznać, że chłopak robi na niej wrażenie. Odwrócił się do niej twarzą i stanął, opierając dłonie tuż nad drewnianymi rękojeściami rewolwerów.

- W czym mogę pomóc?

- Tylko patrzę - odpowiedziała dziewczyna, starając się mówić jak najniższym głosem.

- Tak? I już się napatrzyłeś, czy chcesz zobaczyć więcej?

Przyjrzał się jej badawczo. Zauważył brudną twarz, ale także buty, konia i siodło. Wyglądała nieporządnie, ale wszystkie części jej ekwipunku były wykonane z najwyższą starannością. Każdy najdrobniejszy szczegół wyposażenia był ozdobiony srebrnymi esami-floresami. Walter Anderson dopilnował, żeby jego córki miały wszystko co najlepsze.

- Jestem Ted.

- Kasey - mruknęła, skinąwszy ponownie głową. Unikała patrzenia chłopakowi w oczy.

- Widzę, że masz fajny rewolwer. Jesteś dobry?

- W szybkim wyciąganiu broni? Nie.

- Sprawdzimy. Już!

Jej ręka sama sięgnęła ku broni, ale ledwie zdążyła jej dotknąć, Ted trzymał już oba rewolwery. Roześmiał się, rozbawiony i najwyraźniej dumny ze swoich umiejętności. Kasey naburmuszyła się, zła na siebie.

- Już byś nie żył, gdybyśmy naprawdę do siebie strzelali - rzekł chłopak. - Już bym cię trafił w samo serce.

Ta arogancja ją rozdrażniła i odwróciła uwagę dziewczyny od tego, po co tu przyjechała.

- Mylisz się. Strzeliłbyś tutaj. - Wskazała szyję. - To nie byłaby śmiertelna rana.

Uśmiech spelzł z twarzy młodzieńca.

- Kłamiesz. Strzeliłbym prosto w serce, dobrze o tym wiesz. Kasey nie myliła się, ale uznała, że nie ma sensu sprzeczać się z młodym zabijaką, który najwyraźniej szuka zwady. Nie był wart zachodu. Odwróciła się, żeby odjechać, ale Ted zawołał pośpiesznie:

- Hej, Kasey, nie masz przypadkiem pieniędzy?

- Może i mam. A co?

Przyjrzała się mu uważnie; jego piwne oczy błyszczały nadzieją. Ach, a zatem o to mu chodziło. Prawie się uśmiechnęła. W innych okolicznościach dałaby się skusić.

- Stawiam pięć dolarów na to, że cię zwyciężę. No? - niecierpliwił się chłopak. - Co ty na to?

- To masa pieniędzy. Już mówiłem, że nie potrafię szybko wyciągać broni, a ty to udowodniłeś. Dlaczego miałbym tracić na ciebie ostatniego dolara?

- Spotkałeś kiedyś kogoś lepszego ode mnie?

- Owszem - odparła dziewczyna.

Chłopak zmarszczył czoło i poprawił pas, zsuwający się mu z wąskich bioder.

- Ale nie w tej okolicy - powiedział. - Jestem najlepszy w mieście i wszyscy o tym wiedzą.

- Tak? A to dopiero - mruknęła Kasey z wyraźnym powątpiewaniem.

- Coś ci powiem. Zakładam się o pięć dolarów, że będę szybszy nawet wtedy, gdy wyciągnę lewą ręką broń z prawej kabury. - Wyjął monetę z kamizelki w brązowo-białe laty.

Prowokował ją, ale postanowiła się nie poddawać. Nie chciała zwracać na siebie uwagi.

- Skąd masz tyle pieniędzy? - spytała.
- Pracuję. Dostaję pięć dolarów za miesiąc. Ile masz forsy?
- Dolar.
- Dobra. Jak wygram, wezmę twojego dolara, jeśli ty wygrasz, dostaniesz moją wypłatę. I co ty na to?

Kasey miała ogromną ochotę utrzyć nosa temu zarozumialcowi. Rozejrzała się; miasto było niewielkie, zaledwie parę budynków wzdłuż głównej ulicy. W którymś z nich był teraz Grason. Dziewczyna zastanawiała się, czy narobi sobie kłopotów, jeśli zostanie tu na tyle długo, żeby pokazać temu smarkaczowi, gdzie jego miejsce?

- Nie. Każdy może szybko wyciągnąć broń- powiedziała lekceważąco. - Ważne jest to, czy się trafi.

Ted wyprostował się i znowu poprawił pas. Kości zostały rzucone.

- Jestem od ciebie lepszy, jeśli o to ci chodzi.

Drażnił ją tym zarozumiałstwem. Powinna siedzieć cicho i zostawić go samemu sobie, ale nie mogła... jeszcze nie. Dopóki mu nie pokaże, że ważna jest precyzja, nie szybkość.

- Może - przyznała. - Ale nie liczyłbym na to. - Nasunęła kapelusz na czoło.

- Stawiaj - ponaglił ją chłopak, rzucając monetę na beczkę do zbierania deszczówki.

- Dobrze - zgodziła się Kasey, zsiadła z konia i zarzuciła cugle na słupek balustrady. - Ale pod warunkiem, że potem załatwimy to na mój sposób.

- Czyli?

- Wyznamy cele i będziemy strzelać. Kto trafi najwięcej, wygrywa.

Ted parsknął ironicznym śmiechem.

- Dobra.

Dziewczyna poprawiła pas i stanęła naprzeciwko niego, doskonale zdając sobie sprawę, że nigdy nie pokona młodzieńca,

I rzeczywiście, przegrała. Ted roześmiał się, wyciągając rękę po pieniądze.

Kasey przytrzymała jego dłoń i spojrzała groźnie prosto w piwne oczy.

- To jeszcze nie koniec - oświadczyła.

- Naprawdę chcesz się upokorzyć jeszcze bardziej? - spytał chłopak, szczerząc zęby.

Ten smarkacz chciał ją oszukać. Mimo że krew uderzała jej do głowy, zachowała spokój i skinęła głową.

Nagle Ted stracił pewność siebie. Kasey знаła dobrze takie zachowanie. Nie był tak dobry, jak twierdził; na chwilę zwątpił w swoje siły. Przeształ z nogi na nogę.

- Bo widzisz... chodzi tylko o to, że mój... eee, w mieście jest zakaz...

- Co, chcesz się wykrecić? - rzuciła jadowicie.

- Nie, nie. Tylko...

Coś jej mówiło, że powinna zostawić chłopaka, dopóki jeszcze nic się nie stało, ale bardzo chciała mu utrzcć nosa.

- Wykrztuś to wreszcie. Chcesz powiedzieć, że stchórzyłeś, tak?

Chłopak poczerwieniał z wściekłości.

- Wcale nie. Tylko... nie mam amunicji. Wystrzelałem przed twoim przyjazdem.

Przed oczami stanęła jej szyderczo uśmiechnięta twarz Grasona. Nie podobałoby mu się to, co tu wyprawiała. Otworzyła usta, by powiedzieć chłopakowi, że może sobie zatrzymać pieniądze, ale nie zdołała wydobyć z siebie słowa.

Ted nie miał z nią żadnych szans. Powinna go zostawić przekonanego, że ją pokonał, ale chciała go nauczyć rozumu, zanim smarkacz napyta sobie prawdziwych kłopotów. Wyciągnęła sześć naboń i wręczyła je Tedowi.

Zawahał się, ale potem coś błysnęło w jego oku.

- Dobra. Niech będzie.

Znaleźli wąski zaułek przy głównej ulicy i ustawili dwa rzędy puszek. Kasey nie mogła się pozbyć wrażenia, że Ted coś knuje. Nagle stał się zbyt chętny.

- Ty pierwszy — powiedział.

Natychmiast przeszła do wyćwiczonych czynności; stanęła na narysowanej na ziemi linii i zaczęła metodycznie strzelać do celu. Ted stał i obserwował.

Odwróciła się. Przyglądał się jej z wyraźnym osłupieniem.

- Niech mnie diabli! - Pokręcił głową, zdjął kapelusz z szerokim rondem i otarł czoło ramieniem. - Jak to zrobiłeś?

- Dużo ćwiczę - mruknęła, ładując rewolwer. - Teraz ty. Pokaż, na co cię stać.

- Niech to diabli - powtórzył, jakby nie dosłyszał ostatniego zdania. - Nie potrafię tak strzelać. Ile masz lat?

Dość dużo, żeby poznać naciągacza, pomyślała.

- Wiek nie ma znaczenia - powiedziała. - Liczą się umiejętności. - Uśmiechnęła się i schowała rewolwer do kabury.

Ted włożył kapelusz.

W pierwszej chwili nie chciała zabrać pieniędzy, ale doszła do wniosku, że Grason może ich potrzebować, jeśli miał pecha przy grze w karty. Poza tym to by nauczyło rozumu tego zarozumiałego smarkacza. Zabrała monety i schowała je w pudełku na naboje.

- Pokaż to jeszcze raz - odezwał się Ted z oczami błyszczącymi podnieceniem. - Pewnie miałeś szczęście i tyle.

Kasey nie miała już wiele amunicji.

- Nie - ucięła.

- I kto tu jest tchórzem? Więc nie potrafisz tego powtórzyć?

Niech to, musiała już iść, ale chciała udowodnić temu smarkaczowi, że potrafi strzelać, poświęciła przecież lata na doskonałenie umiejętności. Wyciągnęła rewolwer i strzeliła kolejno do puszek przeznaczonych dla Teda. Kupi sobie naboje za pieniądze, które wygrała.

Nagle usłyszała suchy trzask odciąganego kurka i zamarła. Zimna lufa wbiła się jej pomiędzy łopatki.

Powoli uniosła rękę. Ktoś wytrącił jej broń z dłoni.

- Oddaj chłopakowi pieniądze.

Głos za jej plecami brzmiał twardo i złowroźnie. Zmusiła się do zachowania spokoju. Nie podobał się jej złośliwy uśmiešek, który rozlał się na twarzy Teda.

- Wygrałem pieniądze uczciwie - odpowiedziała. - Powiedz mu, Ted.

- Ja mu mówiłem, żeby nie strzelał, wujku! - pisał chłopak. - Ale on koniecznie chciał mi pokazać, że jest dobry.

Kasey zagryzła wargę. Ten szczeniak zamierzał wykreć się sianem.

- Jeśli cofniesz broń, odwrócę się i załatwimy to bez problemów - powiedziała najniższym głosem, jaki mogła z siebie wydobyć. - Z odgłosów rozlegających się za jej plecami wywnioskowała, że mężczyzna chowa broń do kabury.

Odetchnęła i powoli odwróciła się do wuja Teda. Wzdrygnęła się; patrzyła wprost na gwiazdę szeryfa, przypiętą do brązowej koszuli. Tego się nie spodziewała. Spod szerokiego ronda kapelusza spoglądały na nią twarde, zimne oczy.

Niech to, jęknęła w duchu.

- Dzień dobry, szeryfie - powiedziała, spuszczać głowę. - Ted i ja właśnie zrobiliśmy sobie zawody w strzelaniu. Nikt nie ucierpiał. Nie ma powodu, żeby pan wkraczał.

- Nie poinformowałeś go o zakazie strzelania w tym mieście? Kasey poderwała głowę; usta same się jej otworzyły.

- No pewnie, że to zrobiłem. Powiedział, że go to nie obchodzi. Chciał mi pokazać, że jest dobry.

Więc jednak Ted zamierzał się odegrać. Ten podstępny gad postanowił wpakować ją w kłopoty.

- Co masz na swoją obronę? - spytał surowo szeryf. Kasey zgrzytnęła zębami; po raz pierwszy w życiu miała

ochotę uderzyć mężczyznę, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna tracić głowy. To nie rozwiązałoby jej problemu. Musiała znaleźć jakiś sposób.

W pierwszej chwili zamierzała powiedzieć szeryfowi, że jego siostrzeniec kłamie. Potem dotarło do niej, że takie oskarżenia nie byłyby rozsądne. Wątpiła, żeby szeryf uwierzył jej, a nie krewnemu.

- Pewnie nie zrozumiałem, co Ted mi powiedział - wyznała, wbijając wzrok w ziemię. - Nie szukałem kłopotów.

- Wsadzisz go do więzienia? - spytał Ted złośliwie.

Kasey zerknęła na szeryfa, ale ten patrzył nieżyczliwie na siostrzeńca. Zaniepokoiła się nie na żarty. Więzienie? Pomyślała o Grasonie. Gdyby kiedykolwiek miała zacząć naprawdę przeklinać, to teraz nadeszła odpowiednia chwila. Psiakrew! Co teraz?

- To moja sprawa, nie twoja. Wracaj do domu, zanim zmienię zdanie i powiem twojej matce, że przegrałeś cały zarobek.

Ted spłonął szkarłatnym rumieńcem.

- On... To on...

Kasey otworzyła pudełko z nabojami i wyjęła monetę.

- Proszę, zabierz swoje pieniądze. Nie chcę ich.

Chłopak wytrzeszczył oczy, pokręcił głową i cofnął się o krok.

Przestąpił z nogi na nogę, po czym spojrzał na wuja.

- Znasz mnie, wujku. Z nikim się nie zakładam.

- Akurat - parsknął szeryf i odprawił go niecierpliwym machnięciem ręki. - Wynoś się, bo i ciebie wsadzę do pudła.

Ted rzucił Kasey wściekłe spojrzenie na pożegnanie, ale w tej chwili nie miała czasu martwić się niczym poza perspektywą więzienia. Musiała jakoś się wybronić.

Szeryf wsadził za pas jej rewolwer. Zagryzła wargę. Zwykle w przypadku kłopotów szeryfowie grzecznie zwracali jej broń i prosili, żeby poszukała szczęścia w innym mieście. W pobliżu zebrała się grupka gapiów. Pomyślała, że Grason pewnie także usłyszał strzały, i wzdrygnęła się. Niewątpliwie już się domyślił, że to jej sprawka.

Szeryf wykręcił ręce dziewczyny.

- Co... co pan robi? - spytała, usiłując się wyszarpnąć.

- Zakładam ci kajdanki. Jesteś aresztowany.

- Co? To niemożliwe! - Wściekłość rola w niej z każdym słowem. - Chyba pan żartuje!

Jak śmiało traktować ją jak zwykłego przestępcę? Wydawało mu się, że zdobędzie sobie poważanie mieszkańców miasta, zakuwając ją w kajdanki na ich oczach? Kiedy japościł, odwróciła się do niego z furją.

- To skandal!
- Co? - Szeryf uniósł krzaczaste brwi; na jego twarzy odmalowało się osłupienie.

Kasey zdała sobie sprawę, że zaczęła się zachowywać i mówić jak kobieta. Złodowaciała ze strachu. Musiała teraz bardzo szybko coś wymyślić.

Wiedziała, że niczego nie zwojuje krzykiem. Już dawno nauczyła się oceniać chłodno sytuację. Zaciśnęła zęby, skupiła się i wzięła głęboki oddech.

- Nie wiedziałem, że Ted jest pana siostrzeńcem, szeryfie, i nie wiedziałem, że macie tutaj zakaz strzelania do celu.

- To nieważne. Złamałeś prawo i musisz zapłacić. Noc w areszcie albo dwadzieścia pięć dolarów.

Zmarszczyła czoło z niedowierzaniem.

- Nabiera mnie pan, tak?

- To by chyba było nie na miejscu, nie sądzisz?

Dopiero teraz Kasey zaczęła mu wierzyć. Nie próbowałby jej oszukać w obecności tylu świadków.

- Do nikogo nie strzelałem. Nikt nie znalazł się przeze mnie w niebezpieczeństwie. Poza tym chyba liczy się to, że nie wiedziałem o waszym prawie.

Serce biło jej coraz szybciej; zdała sobie sprawę, że szeryf postanowił ją ukarać dla przykładu. Już nieraz wyrzucano ją z miasta, ale jeszcze nikt jej nie próbował aresztować.

Matka prosiła, żeby nie pakowała się w kłopoty, z którymi nie potrafiłaby sobie poradzić. Dlaczego nie słuchała swojego wewnętrznego głosu, kiedy ostrzegął ją przed tym chłopakiem?

- Wiem, co myślisz - odezwał się szeryf. - Ted cię oszukał. Nie ukarzę go oficjalnie, bo jest synem mojej siostry, ale przez miesiąc będzie sprzątał więzienie za darmo.

Kasey parsknęła wściekle. Ten szeryf z piekła rodem nie da się odwieść od swego zamiaru!

- Jeszcze nigdy nie byłem w więzieniu - powiedziała.

- Zawsze jest ten pierwszy raz.

Chciała się znowu sprzeciwić, ale coś jej mówiło, że jeśli

będzie się dłużej klócić, nie wyjrzy z więzienia przez tydzień.
Miała ochotę złapać Teda i uświadomić mu, jaki z niego padalec.

- Idziemy - rzucił szeryf, dając jej szturchańca.
- Co się stało, szeryfie?

Kasey odwróciła się i ujrzała nadchodzącego Grasona. Nogi się pod nią ugięły z ulgi. Dzięki Bogu, przyszedł jej na pomoc. Miała ochotę rzucić mu się w ramiona.

- Grason - szepnęła i czym prędzej dodała chłopięcym głosem: - Szeryf chce mnie wsadzić do więzienia.

Jej towarzysz zignorował ją i skupił uwagę na szeryfie.

- Ten młokos jest ze mną. Jestem za niego odpowiedzialny.

Co znowu zmalował?

- Strzelał w obrębie miasta. - Szeryf splótł ręce na piersi i stanął na rozstawionych nogach.

- Znowu ćwiczyłeś? - zwrócił się do niej Grason.

Kasey spuściła głowę i zaczęła grzebać czubkiem buta w piachu.

- Nie tylko. Ograł mojego siostrzeńca do suchej nitki.

- Oddaj pieniądze i przeproś - rozkazał Grason.

Dziewczyna miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Mogę to wyjaśnić... To nie tak, jak sądzisz...

Grason sapnął tylko i odwrócił się do szeryfa.

- Ile wynosi kara?

- Dwadzieścia pięć dolarów albo noc w areszcie. Możecie wybierać.

Kasey niemal słyszała jęk Grasona. Niech to, teraz żałowała, że w ogóle przyjechała do miasta. Dlaczego koniecznie musiała udowodnić tamtemu, że potrafi strzelać, że go pokona?

Znała odpowiedź. Nadal usiłowała pokonać swoją siostrę.

Nieważne, jak dobrze strzelała, ilu mężczyzn zdołała pokonać... nigdy nie zwyciężyła w pojedynku z Jean.

Grason sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął dwie monety, złotą dwudziestodolarówkę i piątkę. Brzęknęły w jego dłoni, kiedy podał je szeryfowi. Ten rozpiął kajdanki Kasey i wyjął zza pasa jej rewolwer. Wyciągnęła rękę, ale on oddał broń Grasonowi.

- Lepiej go zatrzymaj, jeśli nie potrafisz upilnować tego małego. Jeszcze kiedyś napyta sobie biedy.

Grason rzucił okiem na Kasey.

- Już sobie napytał.

- Spodziewam się, że do zachodu słońca opuścicie miasto.

- Oczywiście. Uzupełnimy zapasy i ruszamy w drogę.

Szeryf, skinąwszy głową, oddalił się w kierunku grupki gapiów.

Kasey odprowadziła go wzrokiem. Coś takiego! Oddał Grasonowi jej broń!

- Grason, chcę...

- Cicho bądź i wsiadaj na konia. Już dość narozrabiałś jak na jeden dzień.

W pierwszym odruchu zamierzała zaprotestować, ale ugryzła się w język. Ted ją pognębił, a Grason miał powody, żeby się wściekać. Wydał na nią sporo grosza.

- A mój rewolwer? - spytała.

- Oddam ci go, kiedy uznam, że na niego zasługujesz.

- Nie traktuj mnie jak dziecko - poprosiła, dotykając jego ramienia i spoglądając mu w oczy.

- Więc nie zachowuj się jak dziecko. Mówiłem ci, żebyś została w obozie.

- Wtedy także traktowałeś mnie jak dziecko.

- Czasami to ja wiem, co trzeba zrobić. Za każdym razem, kiedy pojawiaasz się w jakimś mieście, narażasz się na to, że ktoś cię weźmie za Jean.

W jego głosie dźwięczała troska, ale Kasey była zbyt urażona, żeby wykrztusić słowa przeprosin, więc powiedziała tylko:

- Myliłam się. Popelniłam błąd. Ale już po wszystkim.

- Miałaś szczęście, że przyszedłem, zanim szeryf cię zamknął. Mógłby cię zrewidować, szukając ukrytej broni. Wyobraź sobie, co by było, gdyby odkrył, że jesteś kobietą.

Nie doceniała swojego szczęścia. Czuliła się okropnie.

- Nie wiesz, jak było.

- Może nie, ale wiem, że uzbrojona kobieta to same kłopoty.

- Więcej, niż możesz znieść?

Rzucił jej gniewne spojrzenie, ale po chwili uśmiechnął się tym swoim miłym ledwie zauważalnym półuśmiechem. Spojrzał jej w oczy; poczuła, że serce jej topnieje.

- Nie. Ale nieustannie dostarczasz atrakcji.

Serce zabiło Kasey mocniej. Tak łatwo jej wybaczył wszystkie szaleństwa. Nie zliczyłaby, ile razy pragnęła, żeby ojciec jej przebaczył, kiedy zrobiła coś nie tak, jak powinna. Grason zrobił to, czego nigdy się nie doczekała ze strony ojca. Chciała zarzucić mu ręce na szyję i przeprosić, ale nie miała odwagi. I tak już darzyła go zbyt wielką sympatią.

- Dziękuję, że za mnie zapłaciłeś. Mam sześć dolarów. Mogę kupić żywność.

- To niepotrzebne. Mówiłem ci, że gram w karty równie dobrze, jak ty strzelasz.

G rason obudził się na dźwięk strzałów. Zerwał się, jednocześnie dobywając broń z kabury. Coś przeszkadzało mu zogniskować wzrok. Zachwiał się jak pijany, ziemia zatańczyła mu pod nogami. Poczul ból w żołądku. Podparł się ręką, żeby nie upaść.

Parę razy zamrugał, usiłując rozproszyć oślepiającą go mgłę. Rozejrzał się; Kasey stała jakieś pięćdziesiąt metrów od niego; ćwiczyła. Ostro blask słońca raził go w oczy.

Skąd się wziął ten ryk w uszach, który tak go oszałamiał? Czyżby zbyt szybko wstał? Miał ściśnięte gardło, a w głowie pulsował mu silny ból, całkiem jak po trzydniowym picciu. Głowa bolała go zupełnie nieznośnie. Huk strzałów ranił jego uszy tak, jakby Kasey strzelała tuż obok. Czując nadchodzące mdłości, odetchnął głęboko i usiadł po turecku. Roztarł obolały kark i zmartwiał; jego palce natknęły się na obrzmienie wielkości orzecha włoskiego, umiejscowione poniżej płatka ucha.

Coś go w nocy ugryzło, jakiś jadowity owad.

Przesunął wierzchem ręki po spierzchniętych ustach. Widział już nieco wyraźniej, a żołądek przestał się mu burzyć, ale za to serce zaczęło bić szybciej.

W tych okolicach żyły tysiące jadowitych owadów, ale Grason podejrzewał, że padł ofiarą górskiego kleszcza. Spróbował sobie przypomnieć wszystko, co wiedział na temat kleszczy, ale najwyraźniej jego umysł przestał funkcjonować. Pamiętał tylko, że ich jad przeważnie sprowadza falę gorączki, która po pewnym czasie mija.

Ukąszenia innych mogły spowodować śmierć.

Poruszył głową i szyją, żeby sprawdzić swój stan. Z czasem się przekonał, do której grupy należał kleszcz, który go zaatakował.

Zastanawiał się, czy powiadomić o tym Kasey. Gdyby się okazało, że jego stan się nie pogorszył, tylko by ją niepotrzebnie zdenerwował. Jeśli szczęście mu dopisało, objawy ograniczą się do tych, które już się pojawiły.

Sięgnął po manierkę i zaczął łapczywie pić, choć zaciśnięte gardło utrudniało mu przełykanie. Usiłował zmusić otepiały umysł do działania. Znajdowali się o dzień drogi od Merrill, a to oznaczało, że do Billings zostało im co najmniej półtora dnia. Nie chciał myśleć o powrocie. Najlepiej będzie, jeśli nie zбочą z drogi - i będą się modlić, żeby jego stan się nie pogorszył, zanim spotkają jakiegoś lekarza.

Znowu rozległy się strzały. Grason podskoczył nerwowo. Niech diabli porwą tę Kasey. Powoli wstał, usiłując złapać równowagę. Z ogromnym wysiłkiem opanował falę mdłości, którą zareagował żołądek. Kiedy był już pewien, że się nie przewróci, pomaszerował w stronę dziewczyny, która właśnie wkładała do rewolweru nowe naboje.

- Mam już dość tej cholernej strzelaniny każdego ranka!

Odwróciła się do niego. Widział ją podwójnie.

- Ho, ho. Skąd ten paskudny humor? - spytała.

- Z twojego rewolweru.

Cmoknęła karcąco.

- Mam czekać, aż raczysz wstać?

- Byłoby miło.

- I głupio. Nic nie poradzę na to, że lubisz się wylegiwać do późna.

Wyprowadziła go z równowagi. Nigdy nie spał do późna, dopóki nie zaczął spędzać bezsennych nocy u jej boku. Ta dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, ile wysiłku kosztowało go powstrzymywanie się przed wzięciem jej w ramiona. Potarł czoło, a potem kark.

- Strzelasz dobrze, nie musisz ćwiczyć codziennie - rzekł.
- Wprawa czyni mistrza. Nie mogę przestać tylko dlatego, że lubisz się wysypiać.

Ból dudnił mu w skroniach; ta sprzeczka była całkowicie zbędna.

- A nie mogłabyś ćwiczyć popołudniami, kiedy rozbijamy obóz?

- Wtedy jest już za ciemno - odparła Kasey, chowając broń do kabury.

Zacisnął zęby. Jej upór działał mu na nerwy i jeszcze bardziej pogarszał samopoczucie.

- Dobrze by ci zrobiło, gdybyś zaczęła ćwiczyć w mniej dogodnych warunkach. Może pewnego dnia będziesz musiała się naprawdę bronić, a nigdy tego nie dokonasz, dopóki strzelasz w ten sposób.

- Nie zamierzam wdawać się w zawody, w których nie mogę wygrać.

Był zbyt chory, żeby się z nią spierać, ale jakoś nie mógł się powstrzymać. Kasey była znakomita w idealnych warunkach, ale co się z nią stanie, jeśli spotka się z prawdziwym zagrożeniem?

- A jeśli bandyta Eagle'a zacznie do ciebie strzelać w chwili, kiedy wjedziesz do ich obozu?

- Zamierzam zdjąć kapelusz. Wszyscy strażnicy zauważą moje podobieństwo do Jean i nie będą się przede mną bronić.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytał z niedowierzaniem. - Pokładasz wiele zaufania w bandycie, który już strzelił do przynajmniej jednej kobiety.

- Nie mam wyboru, jeśli chcę odnaleźć Jean. Poza tym nie udowodniłeś mi, że Madeline nie została trafiona przez zabłąkaną kulę. - Odwróciła się i ruszyła w stronę ogniska.

Grason chwycił ją za ramię; ból głowy wyprowadził go z równowagi i rozdrażnił bardziej niż jej słowa.

- Ile razy mam ci powtarzać? Ja tam byłem! To do mnie strzeliła! Wszystko widziałem!

- Puść, to boli. - Kasey wyszarpnęła się i odskoczyła, nachmurzona.

- Ja nie kłamię - oświadczył Grason z przekonaniem.

- Mam ci uwierzyć tylko dlatego, że tak chcesz? Mówisz, że moja siostra jest morderczynią i złodziejką. A ja zamierzam zaczekać i porozmawiać z nią osobiście. Na razie tylko ty ją oskarżasz.

- Nie wysłano za nimi listu gończego tylko za to, co zrobili w Ransom. Napadali także inne miasta. Barman z Merrill powiedział, że niespełna dwa tygodnie temu obrabowali bank w Miles City.

Dziewczyna z rozchylonymi ustami wpatrywała się w swego towarzysza.

- Jeśli tak, na pewno są w obozie. To znaczy, że jesteśmy już blisko!

Serce zaczęło mu bić szybciej na myśl, że Eagle może znajdować się w zasięgu ręki. Ból głowy wzrastał, a żołądek wyprawiał dzikie harce. Grason czuł, że ma gorączkę i że jego stan się pogarsza. Niech to wszyscy diabli! Musi znaleźć lekarza. Ale nie pozwoli, żeby coś stanęło mu na drodze, skoro znalazł się już tak blisko tego bandyty.

- Osiodłaj klacz i jedziemy - powiedział.

- Nie napijesz się kawy?

Żołądek wyrócił się mu na lewą stronę.

- Nie

Kasey zaczęła się martwić. Prawie nie zauważyła, że konie zwolniły i idą stępa. Grasonowi coś dolegało; pił mnóstwo wody, poza tym bardzo się pocił. Już opróżnił jedną manierkę i właśnie zabrał się do drugiej. Miał rozpaloną twarz i ciągle tarł kark.

Spróbowała go zagadnąć, ale był tak rozdrażniony, że wołała się nie odzywać.

Po pewnym czasie zauważyła, że Grason chwieje się w siodle. Nieopodal zauważyła kępę sosen, przyspieszyła więc i wysforowała się. Wiedziała, że ogier pójdzie śladem kłaczki.

Kiedy dotarli na miejsce, zeskoczyła i podbiegła do Grasona.

- Czemu się zatrzymujemy? - spytał ochryple.

Spojrzała w jego szkliste od gorączki oczy. Poblądłe usta kontrastowały z opaloną twarzą. Poczowała, że serce ściska się jej strachem.

- Nie czujesz się dobrze i widzę, że nie chcesz się przyznać - powiedziała.

- Musimy... jechać... - wymamrotał. - Do Billings...

Patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, ale Kasey miała wrażenie, że jej nie widzi.

- Nie dziś - oznajmiła zdecydowanie. - W tym stanie mógłbyś spaść z konia. Pozwól, pomogę ci.

Wyciągnęła do niego rękę. Z zaskoczeniem ujrzała, że Grason przyjął jej pomoc. Omal nie spadł z konia prosto w jej ramiona; zachwiała się pod jego ciężarem.

Był rozpalony jak piec. Pomyślała, że chyba jest bardziej chory, niż sądziła, i przeraziła się nie na żarty.

- Pewnie złapałeś gorączkę- powiedziała, pomagając mu dowlec się do kępy drzew.

Osunął się z jękiem na ziemię i natychmiast oparł głowę na kolanach.

- Cholera, niedobrze mi.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie chciałem cię martwić.

- Wiesz, co ci jest? - spytała z wysiłkiem Kasey, kłękając obok swego towarzysza. Starła się nie wpadać w panikę, choć jego stan budził w niej zgrozę.

- Tu- rzekł, dotykając szyi za uchem. Coś mnie ugryzło w nocy. Pewnie jadowite. Trudno mi oddychać i gardło mi się zaciska.

Dziewczyna położyła dłoń w miejscu, które wskazywał i poczuła obrzmienie wielkości ptasiego jaja.

- Boże! Nie wiesz, co cię ugryzło? Owad? Pająk?

- Pewnie kleszcz. Przeszukałem koc, ale niczego nie znalazłem.

Ukąszenia kleszczy bywają śmiertelnie niebezpieczne. Serce Kasey zabiło mocniej. Zmusiła się do opanowania emocji.

Niczego nie wymyśli, jeśli wpadnie w panikę.

- Masz jakieś lekarstwa? - spytała.

- Nie.

- Ja też nie. Zrobię ci tu posłanie i pojadę po pomoc.

Podbiegła do konia i zdjęła z niego swoją manierkę i torbę z zapasami żywności. Przykucnąwszy przy Grasonie, napiła go. Cały dygotał; ten widok rozdzierał jej serce. Zakorkowała manierkę, po czym ujęła dłonie swego towarzysza, mokre od potu i rozpalone.

- Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła.

- Wcale się nie martwię - skłamała. - Chcę ci pomóc.

Myśleć, myśleć! - nakazywała sobie w duchu. Otarła ręce o uda i zerknęła ku koniom. W pierwszej chwili chciała wskoczyć na Velvet, by popędzić po pomoc, ale najpierw musiała urządzić Grasonowi wygodne posłanie. Nie wiedziała, jak długo jej nie będzie.

On tymczasem siedział z zamkniętymi oczami, opierając głowę o pień drzewa; pot spływał mu po twarzy.

- Zimno ci? Chcesz kurtkę? - spytała, ale pokręcił głową. -

Dobrze, po kolei. Najpierw rozścielę ci posłanie, żebyś mógł się położyć, potem rozpalę ogień i zrobię ci herbaty.

- Herbaty? - szepnął i roześmiał się słabo. - To mi nie pomoże.

- Mam taką, po której poczujesz się lepiej. Łagodzi... -

Urwała, bo przecież nie mogła mu powiedzieć, że kupiła od Dinkera herbatę uśmierzającą ból przy comiesięcznej słabości. -

Bóle żołądkowe - dokończyła. - Poczujesz się po niej lepiej.

Zawiera skuteczne zioła.

Podbiegła do wierzchowca Grasona po koc i torbę z żywnością.

Zabrała także własny koc i umościła wygodne poślanie. Z zapasowego ubrania sporządziła prowizoryczny podglówek. Potem zdjęła swemu towarzyszowi pas z bronią i pomogła mu się położyć.

Po jakimś czasie ogień trząskał już wesoło na palenisku, a woda gotowała się na herbatę. Kasey wyjęła mapę i przyjrzała się jej ze zmarszczonymi brwiami. Z tego, co rozumiała, znajdowali się pomiędzy Billings a miastem o nazwie Rapids. Miała wrażenie, że są bliżej tej drugiej miejscowości, ale nie знаła jej. Podejrzewała, że jest tak mała, iż nie znajdzie w niej doktora. W takim przypadku musiałyby wrócić do Merrill, gdzie zauważyła szyld z nazwiskiem lekarza. Innym wyjściem było udanie się do Billings; tam z pewnością także otrzymałyby stosowną pomoc. Niestety, nie wiedziała, jak daleko leży to miasto.

Pograżona w rozmyślaniach, wrzuciła szczyptę herbaty do wrzącej wody. Jedno było pewne - musiała zostawić Grasona, żeby sprowadzić pomoc. Przecedziła gorący płyn i obudziła chorego. Uniósł ciężkie powieki, ale nie wiedziała, czyją widzi.

- Proszę. Potrzymam kubek, pij.

Po pierwszym łyku usiłował odepchnąć naczynie.

- Nie znoszę herbaty - rzucił.

- A ja nie znoszę kawy, ale ją piję, kiedy muszę. I ty też wypijesz.

Herbata go uśpi, a ona pojedzie na poszukiwanie pomocy. Zmusiła go do wypicia całego kubka.

Gdy delikatnie musnął jej policzek czubkami palców, poczuła jak rozpalone są jego dłonie; cały płonął gorączką. Kasey dotknęła jego piersi. Musiała poczuć bicie serca, upewnić się, że jest mocne, pełne życia.

Nie chciała go zostawiać.

- Kasey, nie chcę, żebyś jechała sama - odezwał się Grason słabym głosem. - To zbyt niebezpieczne.

- Ciągłe ci powtarzam, że potrafię o siebie zadbać. O nic się nie martw - oznajmiła zuchowato, choć wcale nie była dobrej myśli.

Grason położył palec na jej ustach.

- Posłuchaj... Albo sam wyzdrowieję... albo nic mi nie pomoże. Oddychał z wysiłkiem. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że mówienie przychodzi mu z dużym trudem.

- To mnie nie powstrzyma. - Głos jej zadrżał, co ją dodatkowo zdenerwowało. Nie chciała zdradzać, jak bardzo się boi, że mogłaby stracić Grasona. - Nie zostanę tutaj i nie będę się beczynnie przyglądać, jak umierasz.

- Nie zamierzam umrzeć.

- Możesz mi to zagwarantować?

Powieki opadły mu na oczy.

- Muszę odnaleźć Eagle'a. Rozumiesz, prawda?

- Tak. - I rzeczywiście, doskonale go rozumiała. - Nie martw się, znajdziemy go.

- Jeśli coś się ze mną stanie, nie chcę, żebyś sama tam jechała.

Nie ufam ani jemu, ani twojej siostrze. Obiecuj, że wynajmiesz kogoś do pomocy.

Nie mogła znieść myśli, że mogłaby go stracić. To w ogóle nie wchodziło w grę. Skinęła głową, walcząc ze łzami.

- Obiecuję - szepnęła. Przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło i nalała kolejną porcję herbaty do kubka. - Zostawię herbatę przy ognisku. Za parę godzin wypij jeszcze trochę. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła naszyjnik, który dostała od Jimmy'ego Szybkiej Stopy. - Jimmy mówił, że to zapewni ci bezpieczeństwo - powiedziała, zawiązując go na szyi swego towarzysza.

Grason usiłował się uchylić.

- To ty musisz mieć zabezpieczenie. Zatrzymaj go.

Spojrzała prosto w jego ciemne oczy i uśmiechnęła się z udawaną beztroską. Nie wierzyła w magiczną moc amuletu, ale jeśli był cokolwiek wart, powinien przydać się Grasonowi.

- Nie można oddawać prezentu - ciągnął. - Tak się nie robi.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Wiedziała, że musi uratować tego mężczyznę za wszelką cenę. Nie pozwoli mu umrzeć. Miała ochotę położyć się obok niego i przekazać mu swoją siłę. Gdyby to było możliwe...

- Wróć - szepnęła ochryple, bo potwornie zaschło jej w gardle. - I żebyś się nie ważył umrzeć, rozumiesz?

- Dobrze - obiecał, uśmiechając się z wysiłkiem.

Dziewczyna uściśnęła jego dłoń i wstała. Postanowiła pojechać w kierunku, z którego przybyli.

Popołudniowe słońce prażyło jej głowę, ale nie zwalniała. Miała przed sobą co najmniej dwie godziny jazdy, oczywiście, jeśli w Rapids mieli doktora. Najchętniej spięłaby Velvet do galopu, ale wiedziała, że wtedy klacz zmęczyłaby się zbyt szybko, a nawet mogłaby się potknąć i złamać nogę. Kasey jechała więc z zaciśniętymi zębami, myśląc tylko o jednym.

Musiała uratować Grasona.

Chciała dalej podróżować w jego towarzystwie, kłócić się z nim i wspólnie stawiać czoło kłopotom. Chciała rzucić się mu w ramiona i się z nim kochać.

Po dwóch godzinach ujrzała w oddali jakiś ruchomy kształt. W pierwszej chwili pomyślała o Indianach i serce podeszło jej do gardła. Wstrzymała Velvet, by spojrzeć przez lornetkę; mała kropka na horyzoncie okazała się wozem handlarza.

- Dinker - szepnęła.

Poczuła drgnienie nadziei. Handlarz na pewno będzie wiedział, czy w Rapids jest lekarz. Jeśli nie, oszczędzi sobie czasu i pojedzie od razu do Merrill. Miała nadzieję, że staruszek zgodzi się tymczasem dopilnować Grasona. Spięła klacz ostrogami i popędziła galopem w jego kierunku.

- Dinker, pomocy! - wykrztusiła bez tchu, zatrzymując Velvet przed wozem.

- Wyglądasz jak spłoszony królik - rzekł handlarz. - Co się stało?

- Wczoraj coś ugryzło Grasona. Dostał gorączki, jest chory! Muszę znaleźć doktora. Gdzie tu jest najbliższe miasto?

- Zbyt daleko, żebyś zdążyła mu pomóc, skoro mówisz, że to się stało wczoraj. Jakie ma symptomy?

- Gorączkę, osłabienie i zawroty głowy. Poza tym ma kłopoty

z oddychaniem. Koło ucha ma obrzmienie wielkości orzecha. Boję się! - skończyła z jękiem.

- Całkiem słusznie - zauważył Dinker.

Dziewczyna złodowaciała ze strachu.

- Pojedziesz do niego ze mną?

- Pewnie. Mam lekarstwo, które może mu pomóc, jeśli nie jest za późno.

Z serca Kasey spadł wielki ciężar; odetchnęła z ulgą.

- Sprzedajesz także lekarstwa?

- Ano pewnie. Mówiłem ci, że mam masę towarów. Coś mi mówi, że ukąsił go jadowity kleszcz. A są i takie cholery, że nic przed nimi nie uratuje.

Dziewczyna pokręciła głową; nie chciała o tym słyszeć.

- Co to za lekarstwo?

- Gwarantowany indiański specyfik. Nic mu bardziej nie pomoże.

- Nie znam się na ich lekarstwach, ale wołałabym coś cywilizowanego. Od prawdziwego lekarza.

Teraz Dinker pokręcił głową.

- Nie mam. Mogę mu dać opium na złagodzenie bólu albo taki proszek, który zwalcza gorączkę, ale go nie uleczy, jeśli w jego żyłach płynie już jad. I tak by umarł.

Kasey spojrzała na rozciągające się przed nimi puste połacie terenu.

- Jak daleko stąd do najbliższego miasta?

- Co najmniej dwie godziny szybkiej jazdy. - Dinker zdjął okulary i przetarł oczy. - To lekarstwo jest najlepsze. Nie sprzedawałbym go, gdyby było inaczej.

Zawahała się; serce galopowało jej mocno, aż do bólu. Nie mogła stracić Grasona. Nie mogła! Zbyt wiele dla niej znaczył.

Co teraz? Co zrobić? - myślała gorączkowo. Czy zaryzykuje i nakarmi Grasona nieznanym lekarstwem, czy pojedzie do miasta?

Musiła zaufać Dinkerowi, nie miała innego wyjścia. Zanim wróci do Grasona z lekarzem, minie co najmniej pięć godzin - oczywiście gdyby doktor zgodziłby się wyjechać od razu.

- Dobrze - powiedziała z ociąganiem. - Wezmę to lekarstwo.

Dinker zaciągnął hamulec wozu i zeskoczył na ziemię. Kasey

Zsiadła z Velvet i podążyła za nim. Staruszek zniknął wewnątrz sklepu na kółkach; wyłonił się z niego po paru minutach i wręczył dziewczynie małą paczuszkę białego proszku.

- Dodaj szczyptę do łyżki wody. To na gorączkę. Skinęła głową.

- A to złagodzi ból i sprowadzi sen, aż będzie po wszystkim - rzekł, podając jej brązową buteleczkę. - Łyżka co dwie, trzy godziny.

Wreszcie przyszła kolej na niewielki, ściągnięty sznurkiem woreczek. Dinker spojrzął na nią ponad okularami.

- No, a to go uleczy... jeśli nie jest zbyt późno. Zagotuj wodę, potem wrzuc odrobinę i zamieszaj. - Wykonał obrazowy ruch ręką. - Przepędź przez płótno, zanim wlejesz do kubka. Ma podły smak, ale trzeba to pić po parę łyków co godzinę.

Dziewczyna skinęła głową.

- Jak długo trzeba czekać na poprawę? - spytała.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, co go ugryzło.
- Ile jestem winna? - spytała Kasey z łękiem.
- Zapłacisz mi później. Pojadę za tobą i się nim zajmę. Teraz wracaj do niego piorunem i daj mu to lekarstwo. Gdzie się zatrzymaliście?

- O dwie godziny drogi stąd- odparła dziewczyna, podchodząc do Velvet. - Pod trzema sosnami.

- Znajdę was przez zmrokiem.

- Dziękuję. - Wsiadła na klacz i popędziła na wschód, do miejsca, w którym zostawiła chorego. Nie powinna wracać galopem, ale wszystko przestało się Uczyć - oprócz tego, by jak najszybciej podać lekarstwo Grasonowi.

Słońce niemiłosiernie prażyło jej kark; gardło wyschło, ale nie miała odwagi zatrzymać się i szukać wody. Zajmie się sobą dopiero, gdy dotrze na miejsce. Przez całą drogę powtarzała szeptem, monotonicznie, w rytmie tętentu końskich kopyt:

- Grason wyzdrowieje. Grason wyzdrowieje...

Omam nie osłabła z ulgi, kiedy wreszcie zobaczyła trzy potężne sosny. Popędziła klacz.

W pobliżu obozu zatrzymała się gwałtownie, zeskoczyła na ziemię i pobiegła do chorego, przyciskając lekarstwa do piersi.

Leżał tak, jak go zostawiła, złany potem, dygoczący. Oddychał z coraz większym trudem; pierś unosiła się i opadała z wysiłkiem. Kasey dotknęła jego czoła i musnęła usta lekkim pocałunkiem. Dzięki Bogu, żył! Miała szansę go uratować.

Dorzuciła gałązek do ognia, dołala świeżej wody do garnka i postawiła go w pobliżu płomieni.

- Grason... - szepnęła.

Otworzył oczy.

- Ka... Kasey - wykrztusił.

W tej chwili niczego nie pragnęła bardziej niż tego, żeby żył. Musiała go uratować. Nawet po śmierci ojca, nawet kiedy się dowiedziała, że matce został niespełna rok życia, nie czuła tak dotkliwego bólu jak teraz, na myśl, że mogłaby stracić Grasona.

Kochała rodziców, ale on był dla niej najważniejszy. Kochała go nad życie i nie zniosłaby jego śmierci.

Uśmiechnęła się i odgarnęła mu z czoła wilgotne włosy. Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała wziąć go w ramiona i przytulić mocno... położyć się obok niego...

- Ćśśś... nic nie mów- powiedziała.- Mam lekarstwo od Dinkera. Od razu poczujesz się lepiej. Rozumiesz? Wyzdrowiejesz.

Grason skinął głową.

Przykryła go obiema kurtkami, zdjęła buty i owinęła nogi kocami. Nie narzekał, ale widziała, że jest mu zimno.

Zesztywniały palce odmawiały jej posłuszeństwa; gorączkowo wypełniała wszystkie zalecenia Dinkera. Podała Grasonowi po łyżce białego proszku i lekarstwa z buteleczki. Kiedy woda się podgrzała, wrzuciła szczyptę indiańskich ziół, zamieszała, odcedziła i wmusiła w chorego parę łyków. Przez cały czas myślała tylko o jednym. A jeśli to nie pomoże?

W końcu mogła zająć się Velvet; wytarła ją, napiła, podała wodę także ogierowi i pospieszyła ku Grasonowi. Nadal był rozpalony, nie przestawał dygotać. Musiała go jakoś rozgrzać, przysunęła go więc plecami do ognia i położyła się obok. Wtuliła się w niego najmocniej, jak mogła, zarzucając mu jedną nogę na biodro. Kiedy przytuliła do piersi jego twarz, westchnęła i zasnęła.

Strach wyczerpał jej siły; zamknęła oczy i zapadła w sen.

Obudził ją turkot wozu Dinkera. Słońce zniknęło już za górami, pozostawiając za sobą krwawą lunę. Grason spał spokojnie, choć oddychał z trudem. Zdołała go obudzić i podać następną dawkę lekarstwa, zanim handlarz zbliżył się do obozu.

Staruszek przyczłapał do nich, przykląkł i położywszy pomarszczoną dłoń na czole chorego, dotknął obrzmienia za uchem. Kasey przyglądała się mu z zapartym tchem. Wszystko w niej krzyczało, żeby spytać o szanse Grasona, ale bała się tego, co mogła usłyszeć. A zatem milczała.

- Gorączka jest tak wysoka, jak się spodziewałem - rzekł

Dinker, odwracając się do niej twarzą. — Nie podoba mi się to obrzmienie.

Dziewczyna zmartwiała ze strachu.

- Nie lubię mieszać ze sobą leków, ale musimy zbić tę gorączkę — powiedział starszek.

- Co... co zrobimy? - dopytywała się Kasey.

Przechylił głowę i przyjrzał się jej uważnie.

- Będziemy walczyć przez całą noc.

Kasey nie chciała odejść od Grasona nawet na chwilę. Przez cały dzień mówiła do niego cicho, poila go herbatą, lekarstwem i zupą z czerwonej fasoli, którą ugotował Dinker. W nocy położyła się obok chorego i wzięła go w objęcia, żeby nie zmarł i wiedział, że ma ją przy sobie.

Pod koniec drugiego dnia gorączka spadła, a Grason otworzył oczy i rozpoznał Kasey. Obrzmienie za uchem zaczęło się powoli kurczyć. Pod dziewczyną nogi ugięły się z ulgi i ogromnej radości. Następnego ranka siedział już o własnych siłach i zjadał biszkopty, które handlarz upiekł w swoim przewoźnym piekarniku. Chciał rozprostować nogi i wybrać się na spacer, ale Kasey zaprotestowała w obawie, że gorączka wróci.

Rankiem trzeciego dnia Dinker pożegnał się i odjechał, zostawiając im jedzenie, lekarstwo i mnóstwo lukrecji, za które nie chciał wziąć pieniędzy.

Kasey była mu wdzięczna za to, że zmusił ją do kupienia indiańskiego lekarstwa i został z nią w najgorszych chwilach, ale odjazd handlarza wcale jej nie unieszczęśliwił. Dinker był zrędlwym staruchem, który chciał wszystkimi dyrygować, i nie znosił sprzeciwu. A poza tym nie miała nic przeciwko temu, żeby znowu zostać sam na sam z Grasonem.

Właśnie zasnął. Kasey skorzystała z okazji i wykapała się w Yellowstone; uprała też ubrania, swoje i Grasona. Starła się wygładzić wszystkie zagniecenia, wieszając ich rzeczy na niskich

gałęziach i wielkich kamieniach, by wyschły pod bezchmurnym niebem Montany.

Po południu Grason oznajmił, że czuje się lepiej i chce się umyć w rzece. Kasey usiadła na kocach i włożyła do ust cukierka. Spięła włosy na czubku głowy, zdjęła buty i skarpetki, rozkoszując się powiewem świeżego powietrza. Zerwała witkę i zaczęła się nią bawić, rozmyślając o Grasonie.

Przez całe popołudnie czuła narastające podniecenie. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak mocno na nią działa. Kiedy jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, nie było takiej rzeczy, ki óra by ją powstrzymała przed sprowadzeniem pomocy. Nieważne, czy musiałyby stawić czoło Indianom, przejść przez burzę piaskową czy wezbraną rzekę. Dokonałyby tego, ponieważ nie mogłyby znieść utraty tego mężczyzny. Nikt jej go nie odbierze, 'mi inna kobieta, ani śmierć.

Musiała to przyznać: zakochała się w nim. Teraz nie miała już wątpliwości. Nie wiedziała, kiedy do tego doszło, ale czuła to całą sobą. I nie była pewna, co z tym zrobić.

Czasami traktował ją jak dziecko, co ją niepokoiło. Zdawała sobie sprawę, że w ten sposób wyraża troskę o jej dobro. Starał się dać jej to, co najlepsze. Tak właśnie chciał się nią zająć. Kasey pomyślała o własnej rodzinie. Na swój sposób byli dla niej ważni, kochała ich, ale dziś chciała myśleć tylko o Grasonie.

Siedząc w cieniu, na wpół uśpiona ciszą późnego popołudnia, pomyślała, że zanim ruszą do Billings i obozu Eagle'a, musi powiedzieć Grasonowi, co do niego czuje. A najlepiej mu okaże, ink bardzo go kocha, oddając się mu. Podjęła tę decyzję początkowo z niepokojem, ale kiedy letni wietrzyk musnął jej włosy, gdy spojrzała na otaczającą ją dziką przyrodę, lęki gdzieś zniknęły. Znowu poczuła się silna i odważna.

Grason wrócił po paru minutach i usiadł na kocu obok niej. Prawie zupełnie odzyskał już siły. Kasey widziała to w jego ruchach, w radosnym uśmiechu. Przyglądając mu się, poczuła, że, się uśmiecha. Jego widok sprawiał jej tyle przyjemności.

Ogolił się, a mokre włosy odgarnął do tyłu. Rozpięta koszula

ukazywała skrawek skóry przy nasadzie szyi; miała ochotę położyć tam rękę i poczuć jego tętno. Chciała rozchylić koszulę i przesunąć dłonią po męskiej piersi, tak daleko, jak tylko zdoła. Żłocisty agat, który zawiązała mu na szyi, leżał w zagłębieniu pod obojczykiem; lśnił w świetle zachodzącego słońca. Jimmy Szybka Stopa miał rację: amulet rzeczywiście przyniósł Grasonowi szczęście.

Słońce schowało się za górą; niebo wokół przybrało ciemny odcień szafiru, a powietrze stało się rześkie, ale nie chłodne.

- Dziękuję, że uprałaś moje rzeczy - odezwał się Grason. Zdjął buty i postawił je obok siebie.

- I tak prałam swoje. - Kasey spojrzała z uśmiechem na jego stopy, duże, płaskie, solidnie zbudowane, o krótko obciętych paznokciach i bardzo jasnej skórze, zwłaszcza w porównaniu ze żłocistobrązową opalenizną twarzy i rąk. Nagle poczuła dziwną pokusę, by dotknąć jego stóp z tą samą pełną miłości troską, z jaką odnosiła się do niego w ostatnich dniach.

Grason poruszył palcami.

- Uśmiechasz się - zauważył. - Mam śmieszne stopy?

- Nie - odparła ze śmiechem. - Myślałam o tym, że przybyło ci sił. Tak się o ciebie martwiłam...

- Gorączka już chyba nie wróci. Jutro będziemy mogli wyruszyć w drogę. - Przyciągnął kolana do piersi i opasał je rękami. - Już się nie mogę doczekać.

- Ja też - szepnęła, choć tak naprawdę nie chciała, żeby ich podróż dobiegła końca. To oznaczało rozstanie.

- I nie obchodzi mnie gadanie tego idioty Dinkera. Nie będę już brał tego białego proszku, którym mnie karmisz od trzech dni. Dość się wyspałem.

Dziewczyna uśmiechnęła się znowu.

- Sen dobrze ci zrobił. Dzięki temu twoje ciało miało czas, żeby zwalczyć jad i wyzdrowieć. Co z tą opuchlizną?

- Prawie zniknęła - rzekł Grason, dotknąwszy się za uchem. Kasey spojrzała na jego szerokie ręce o długich palcach

i krótko przyciętych, czystych paznokciach. Miała ochotę wiać te dłonie, wtulić w nie twarz i wdychać ich zapach.

Ich oczy się spotkały. Grason odwzajemnił jej uśmiech.

- Cieszę się, że zostałam, żeby się mną zająć.

Dziewczyna poczuła, że na policzki występuje jej rumieniec.

Wystarczyło słowo uznania z jego ust, żeby poczuła się wyróżniona.

- Czy to znaczy, że mi dziękujesz? - spytała.

- Owszem.

- Nie ma za co.

- Wiem, że ci sprawiam kłopot - przyznał Grason nieśmiało.

Jak mógł tak myśleć? Pranie mu ubrań, ocieranie spoconego czoła, wmuszanie w niego lekarstw i jedzenia, ogrzewanie go w nocy było dla niej wyrazem miłości, nie obowiązkiem. Serce pękało jej z miłości do niego, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna mu tego mówić. Udowodni mu to.

- Nie sprawiasz żadnych kłopotów - powiedziała łagodnie. - Wszystko to zrobiłam dlatego, że chciałam. - Przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło, nie spuszczać wzroku z jego ciemnych oczu. - Tak się o ciebie bałam, że dostawałam dreszczy.

- Czy dlatego do mnie mówiłaś?

- Chyba tak. - Dotknęła jego policzka i pocałowała go lekko w usta, choć niemal natychmiast wezbrała w niej fala podniecenia.

- A to miła niespodzianka - rzekł Grason lekkim tonem. - C/y to za to, że byłem grzeczny i brałem lekarstwa?

Usiłował rozładować napięcie chwili, odwrócić jej myśli od tego, czego pragnęła. Jego miłości. Nie zamierzała mu na to pozwolić.

- Nie - powiedziała zdecydowanie. - Chciałam to zrobić.

(Czy Grasona błysnęły wesoło.

Chyba weszło ci to w nawyk. Wiem, że mnie całowałaś, kiedy spałem.

Dziewczyna stłumiła okrzyk zaskoczenia.

Skąd wiesz, skoro spałeś?

Objął ją w pasie i przyciągnął ku sobie.

- Jak mógłbym nie wiedzieć, że twoje usta mnie dotknęły? - spytał, spoglądając jej głęboko w oczy. - Słyszałem każdy szept, czułem każde dotknięcie. - Jego usta dotknęły powoli ; jej warg.

Ogień buchnął w Kasey wysokim płomieniem; wydawało się jej, że topnieje w jego uścisku. Pocałunek był nagły, lecz niespieszny. Po raz pierwszy czuła, że Grason nie powstrzymuje się przed niczym, i pławiła się w blasku jego pożądania.

- Mmm, jesteś słodka - mruknął. - Taka słodka... Nigdy nie będę miał dość...

- To lukrecja — szepnęła bez tchu.

- Cholera, kocham lukrecję! - Zmiażdżył ją w gorącym uścisku i znowu przywarł ustami do jej warg.

A ja kocham ciebie! - pomyślała, choć nie mogła tego powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

Dotykał jej tak, jakby się bał, że zniknie, jeśli ją puści. Jego dłonie sunęły wzdłuż pleców, bioder i pośladków dziewczyny, przyciskając ją mocno do twardej piersi.

Palce Kasey zaplątały się w jego mokrych włosach. Chciała dotykać go całego, od czubka głowy aż po stopy, pieścić, gładzić i rozkoszować się każdą częścią męskiego ciała. Nieśmiało powiodła palcami po ramionach, bicepsach, barkach. Rozkoszowała się uczuciem tej siły, która zawsze od niego biła.

Musnęła wrażliwą skórę jego nadgarstków. Poczuła, że przeżywa ją strzała pożądania.

Ale Grason nagle się od niej oderwał.

- Stop! - Przeciągnął drżącą ręką po włosach. - Takie pocałunki mogą nas zawieść w zupełnie niewłaściwym kierunku.

Serce biło jej tak szybko, że niemal nie mogła zaczerpnąć oddechu. Zwiłżyła wargi językiem. Jej wnętrzościami szarpał głód, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała. Nie miała wątpliwości, że pragnie Grasona, a skoro on nie chciał przyjść do niej, musiała sama po niego sięgnąć.

- Mylisz się. To jest najzupełniej właściwy kierunek. Chcę

- Nie - rzekł, kręcąc głową. - Nie zdajesz sobie sprawy, dokąd to prowadzi.

Chciał wstać, ale dotknęła jego ramienia. Podczas jego choroby Zanadto bała się go stracić, żeby teraz pozwolić mu odejść.

- Owszem, zdaję sobie sprawę.

- Nie mogę ci zapewnić przyszłości - wyznał Grason, chwytając ją mocno za rękę. - Mamy tylko tę noc. Nie wiem, co stanie się jutro.

- Nic innego mnie nie obchodzi. Jutro i tak nadejdzie.

- Wiesz, co to znaczy?

Cieszyła się, że Grason pozostawia decyzję w jej rękach. Nie chciał jej odpychać ani zmuszać do czegoś, do czego nie była gotowa. Dał jej czas na zastanowienie się i zmianę planów. Wiedziała, o co mu chodzi. Jeśli spędzą tę noc ze sobą, nie wejdzie do małżeńskiej łóżnicy jako niewinna oblubienica.

Nabrała powietrza w płuca. Rozumiała wahanie Grasona i kochała go za to jeszcze bardziej. Nie interesowały jej te głupie konwenanse. Kochała tego mężczyznę, więc to, co chciała zrobić, było dobre i słuszne.

- Wiem, co robię.

- I nadal chcesz, żebym się z tobą kochał? Choć zdajesz sobie sprawę, że nie obiecuję ci niczego?

- Tak. Bo wiem, czego chcę. Ciebie. - Była tego pewna jak jeszcze niczego w całym życiu.

- Nie mogę odrzucić takiego zaproszenia.

Grason nie mógł już dłużej zaprzeczać, że kocha tę dziewczynę. Chciał ją od siebie odsunąć, ale była tak cholernie niewinna, tak kusząca... i pragnęła go ze wszystkich sił. Całe jego ciało krzychało, by pościć tę ufną kobietę i pokazać jej to, czego nie potrafił wyrazić słowami. Że kocha ją ponad życie.. W duchu przysiągł jej wieczną miłość, choć nie mógł jej tego powiedzieć, dopóki nie wyrówna rachunków z Eagle'em Clarkiem.

Gdy wyciągnął ku niej rękę, bez oporu weszła w jego ramiona.

Zanurzył twarz w zagłębieniu jej szyi i wciągnął w nozdrza słodki, kobiecy zapach. Przesunął dłonią po głowie dziewczyny i wyjął z włosów dwie szpilki. Rozpuścił jedwabiste pasma, rozkoszując się ich pieszczotliwym dotykiem. Uniósł głowę i pocałował Kasey- słodko i powoli. Ten pocałunek miał połączyć ich na całe życie. Musiał ją kochać tak, żeby zrozumiała wszystko, czego nie był w stanie jej powiedzieć. Od tej chwili mieli należeć do siebie bezgranicznie i na zawsze.

Miał wrażenie, że Kasey go zrozumiała. Położył ją na kocu, podkładając pod jej głowę własną rękę. Spojrzał prosto w roziskrzone zielone oczy. O tak, zawsze będą razem.

Dotknął jej szyi, przesunął dłonią po piersiach, płaskim brzuchu i wrócił tą samą drogą. Czuł, że mięśnie dziewczyny drgają w odpowiedzi na pieszczotę. Podniecało go, że ma nad nią taką władzę. Niespiesznie pieścił jej ciało, jakby uczył się na pamięć jego kształtu. Pochylił się i pocałował ją znowu, by rozniecić w niej pożądanie. Jego język poruszał się niespiesznie, smakując czystą słodycz.

Oddychał coraz szybciej. To, co miało być zachętą dla Kasey, dla niego stało się torturą. Jego ciało przywykło do szybkiego rozładowania. Z prostytutkami rzadko tracił czas na pieszczotach; nie dlatego, że nie lubił rozkoszować się dotykiem kobiecego ciała, ale salonowe dziewczyny przeważnie chciały załatwić z nim sprawę szybko i zejść na dół, by złapać kolejnego kowboja i następnego srebrnego dolara.

Drżącymi palcami rozpiął po kolei guziki białej bluzki Kasey. Zsunął rękawy, odsłaniając piękną, lśniącą i miękką skórę. Kiedy rozpiął spódnicę do konnej jazdy, wyłoniły się pantalony do kolan, z nogawkami obszytymi falfbanką. Grason uśmiechnął się na ten widok i przesunął dłonią po atłasie i skrawku skóry pomiędzy dwoma kawałkami materiału. Nie czuł żadnej różnicy; ciało Kasey miało gładkość atłasu.

Wyjął rękę spod głowy dziewczyny i zrzucił z siebie koszulę. Chłodne powietrze nie ugasiło żaru, który go przepełniał. Rozpiął

spodnie, ale ich nie zdjął. Nie chciał przestraszyć Kasey swoją rozpaczliwą żądzą, dopóki nie będzie gotowa.

Przygniótł ją swoim ciałem. Miał wrażenie, że ziemia się kołysze, ale tym razem nie była to gorączka, lecz ogień pożądania. Pocałował ją tak, jakby mieli stać się jedną osobą; jego oddech siał się jej oddechem; jego namiętność - jej namiętnością. Wparł biodra w tę część ciała dziewczyny, której najbardziej pragnął.

Zadrżała.

- Zimno ci? - spytał, obsypując lekkimi pocałunkami jej ramiona i szyję.

- Nie. A tobie?

- O, nie. Chcę cię rozebrać do końca.

Gdy skinęła głową, zsunął ramiączka krótkiej koszulki, uniósł materiał i zaczął całować piersi. Uniósł jedną, pełną i słodką, i włożył sutkę do ust. Uwielbiał jej smak, dotyk skóry. Wszystkie nerwy jego ciała drżały w narastającej rozkoszy.

Kasey zanurzyła palce w jego włosach, wydając z siebie ciche, gardłowe jęki rozkoszy. Nawet jej głos doprowadzał go do szaleństwa. Czuł drzenie mięśni jej brzucha. Świadomość, iż sprawia dziewczynie przyjemność, budziła w nim spiralę ognia, spływającą wprost do lędźwi, pulsujących pożądaniem bliskim bólu. Musiał zdjąć spodnie. Zdarł je z siebie jedną ręką, usiadł okrakiem na biodrach Kasey i zdjął jej koszulkę przez głowę. W ślad za nią poszły pantaloney.

Poił oczy widokiem dziewczyny; serce biło mu jak oszalone, nic mógł odetchnąć. Ciało Kasey było dziełem sztuki: jędrne piersi ze sterczącymi różanymi sutkami, wąska talia, płaski brzuch i zaokrąglone, kształtne biodra. Jej skóra- bez skazy- jniała gładkość i kolor alabastru.

Nie mógł uwierzyć, że ta wspaniałość należy do niego. Uwielbiam cię - szepnął ochryple. - Pochylił się i znowu wziął do ust twardą sutkę. Jego dłoń ześliznęła się po piersi i brzuchu dziewczyny aż do gładkiego wzniesienia pomiędzy dołkami. Palce Grasona zagłębiły się w miękkie kędziory.

Kasey jęknęła z rozkoszy, uniosła się i objęła go mocno. Gdy

go pocałowała, czubkiem języka musnęła jego pierś, przeszedł go słodki dreszcz.

- Och, Kasey... - szepnął z zamkniętymi oczami. - Nie wiesz, co czuję, kiedy mnie dotykasz.

- Pewnie to co ja.

Dłonie Grasona opadły na jej piersi, nakryły je i zaczęły pieścić powolnymi, okrężnymi ruchami. Jeszcze nigdy nie upajał się tak kobiecym ciałem. Nie chciał stracić ani jednego jej oddechu, ani jednego westchnienia.

- Nie wiesz, ile razy chciałem to zrobić - odezwał się niskim głosem.

- O, wiem... - Pocałowała napięte mięśnie jego szyi. - Tylko dlaczego kazałeś mi tak długo czekać?

Roześmiał się cicho.

- Bo jestem głupi.

Kiedy Kasey znowu go pocałowała, jego ciało zareagowało z taką gwałtownością, jakby pożądanie miało go rozszarpać na strzępy.

- To nieprawda - powiedziała głosem ochryłym z namietności. - Jesteś tylko ostrożny.

To mu sprawiło przyjemność. Jeszcze nigdy nie trzymał w ramionach takiej kobiety.

- Smakujesz jak górską rzeka - dodała. - Świeżo i czysto.

- A ty smakujesz słodko jak najwspanialszy cukierek. Mam wielkie szczęście, że mogę cię trzymać w ramionach.

Delikatnie położył ją na kocu. Gdy rozsunała nogi, umościł się między nimi, spojrzął jej w oczy i powiedział:

- Możemy to zrobić na dwa sposoby.

- Nie wiem... nie rozumiem... - szepnęła, zwilżając wargi.

Powolnymi, miarowymi ruchami zaczął pocierać swoją męskością o miękkie ciało pomiędzy nogami dziewczyny, drażniąc je, przygotowując na przyjęcie go.

- Mogę cię wziąć szybko i ostro. Wtedy ból będzie trwał krócej. Albo powoli, po centymetrze.

- A ty co byś chciał?

- O Boże, nie pytaj - jęknął i zacisnął powieki, żeby się opanować. Chciał jej pokazać, jak bardzo ją kocha. Każde jej słowo, każdy dotyk rozniecał w nim wirujące kręgi ognia.

- Ta druga metoda nie jest tak bolesna, ale ból potrwa dłużej i oboje będziemy cierpieć.

- Ty też?

- Niech to diabli, Kasey, ja już cierpię. Chcę cię wziąć, teraz, mocno. Chcę wbić się w ciebie tak głęboko, że... - Urwał. Zdał sobie sprawę, że nie mówi do kobiety, której zapłacił za noc.

Patrzyła na niego oczami pełnymi niewinności i ufności. Musiał jąznowu pocałować, gwałtownie, zachłannie, nieustannie nacierając na tę cieką barierę, która broniła mu dostępu do tego, czego pragnęło serce.

Kasey należała do niego. Nigdy nie знаła mężczyzny i nie pozna nikogo poza nim.

- Chcę być twoja. Wiem, że nie poczuję bólu.

Coś się w nim złamało. Pragnęła go tak samo, jak on pragnął jej. Pożądanie pulsowało mu w łędźwiach i tętniło w uszach. Ujął twarz dziewczyny w obie dłonie i spojrzał prosto w jej ufne oczy. Pocałował ją przeciągle. I, niespodziewanie, przebiwszy dziewiczą barierę, wdarł się w jej ciało.

Zesztywniała; z ust wydarł się jej cichy krzyk protestu. Grason zdławił go, nie odrywając ust od jej warg. Gładząc kojąco napięte mięśnie ciała dziewczyny, miarowo poruszał biodrami. Zmusił ją, żeby zaakceptowała to nowe doznanie, przywykła do niego tak jak do oddychania.

Rozpaczliwie pragnął rozładowania tego napięcia. Powstrzymanie się sprawiało mu ból. Musiał wytrzymać, dać Kasey czas na przezwycięzenie bólu i doznanie namiętności. Nieustannie pieścił językiem jej wargi, dopóki nie powróciła do punktu, w którym była, kiedy w nią wszedł.

Wreszcie poruszyła się pod nim, dostosowując się do rytmicznych ruchów. Wbiła mu paznokcie w plecy, przywarła ustami do jego warg. Jej ciało drgnęło, znieruchomiło i rozluźniło stężałe mięśnie.

Grason uśmiechnął się; zalała go fala ciepła. Ta zadziwiająca istota, która strzelała lepiej od wszystkich mężczyzn, kochała go bardziej niż jakakolwiek kobieta przed nią. I należała do niego - na zawsze.

Oszalały z pożądania, wbił się w nią mocno, głęboko i złączył się z nią w potężnym wstrząsie, który zakolysał całym światem.

Jęknął i upadł na nią, łapiąc z trudem powietrze. Coś go korciło, żeby się roześmiać z radości, że Kasey należy do niego. Dziewczyna przytuliła się do niego czule i pocałowała w ramię. Serce stopniowo zaczęło mu bić wolniej. Kasey jeszcze raz dowiodła, że jest najbardziej niezwykłą kobietą w jego życiu.

- O Boże... jesteś cudowna... Cudowna...

Ta dziewczyna będzie jego żoną. Nie miał co do tego wątpliwości. Nie wiedział tylko, kiedy to nastąpi.

Na niebie rozbłysły wieczorne gwiazdy; księżyc w trzeciej kwadrze oświetlał obóz srebrnym blaskiem. Powietrze było rześkie i chłodne. Grason sięgnął po koc, narzucił go na nich, po czym oparł się na łokciu i uśmiechnął do Kasey. Jej skóra połyskiwała wilgocią, w oczach malowało się zdziwienie.

- I co sądzisz? - spytał.

- O kochaniu się?

Skinął głową. Właściwie nie wiedział, dlaczego ją spytał. Zachowywał się jak młodzieniaszek, ale przy Kasey wszystko wydawało się świeże i nowe. Tak jak ona.

- Mam wiele przemyśleń.

- Chcesz mi o nich powiedzieć? - Odgarnął włosy z jej spoconego czoła i pogładził policzek wierzchem dłoni.

- Czy będzie jeszcze bolało? - spytała, spoglądając na niego poważnie.

- Nie powinno.

- Czy te uczucia za drugim razem też będą tak silne, że będę chciała krzyczeć z rozkoszy?

Ta szczerość w zadziwiający sposób podziałała na tętno, bicie serca i męskość Grasona.

- Jeśli dobrze się spiszę - odparł, czując, że znów jest gotowy do kochania się.

- Czy zachowam się jak ladacznica, jeśli znowu zechcę to poczuć?

- Według mnie na pewno nie.

- Czy to źle? - dopytywała się Kasey.

- Nie, to dobrze.

A co sądzisz o tym, co się wydarzyło?

To pytanie zbiło go z tropu. W pierwszej chwili zareagował nieufnością. Nie chciał jej opowiadać o swoich uczuciach, ale przecież miał do czynienia z kobietą inną niż wszystkie. Powinien umieć wyznać jej miłość, ale już zdecydował, że nie zrobi tego w tej chwili. Jeszcze nie wiedział, kto wyjdzie zwycięsko z pojedynku z Eagle'em.

- Tak miało być - powiedział wreszcie. Dobrze wiedział, że me to chciała usłyszeć i że zasługuje na coś znacznie lepszego niż te oschłe słowa.

- Tylko dziś...

Czuł, że Kasey pyta go, czy nie zmienił zdania. Ale on wiedział, co ich czekało. Wiedział, co musiał zrobić, kiedy dotrą do Billings. Nie mógł jej okłamać.

- Tak, tylko dziś.

Przełknęła z trudem ślinę. Spodziewał się, że odepchnie go i powie, żeby wynosił się do diabła, Kasey tymczasem uśmiechnęła się do niego słodko.

- Więc nie marnujemy czasu.

17



Obudził ją szczebiot ptaków. Otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła, oślepiona palącym blaskiem słońca. Drgnęła z zaskoczeniem; była naga, a obok niej leżał Grason. Potem wróciły wspomnienia nocy i nowe zmysłowe doznania. Uśmiechnęła się, przeciągnęła leniwie i przytuliła się do ciepłego ciała ukochanego.

Oderwali się od siebie dopiero po wschodzie słońca. Grason padł u jej boku bez życia. Na to wspomnienie znowu się uśmiechnęła. Przyglądała mu się wtedy i nie potrafiła sobie wyobrazić, że na jego miejscu mógłby się znaleźć inny mężczyzna. Nikt nie dotykałby jej tak jak on.

Powoli otworzyła oczy i uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Przeszył ją dotkliwy ból; zdała sobie sprawę, że ta noc nigdy się już nie powtórzy. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, oparła się na łokciu. Grason spał błogo. Kochała go. Jak mogłaby go nie kochać? Dowiedział, że jest godny zaufania, kiedy ratował ją z rąk Tate'a. Okazał opiekuńczość, gdy tamten chłopak z saloonu chciał z nią walczyć. I współczucie, kiedy ratowali dziecko Thelmy.

Każdego dnia stawał przed nią jakieś wyzwanie. Nie rozumiał jej uczuć do Jean, ale je akceptował. Kasey umiała to docenić.

Lecz najbardziej kochała go za świadomość, że choć potrafi o siebie zadbać, to i tak go potrzebuje.

Całe ciało ją bolało, skóra się lepiała, ale nie chciała zapomnieć żadnego szczegółu z tego, co wydarzyło się tej nocy. Te parę godzin w ramionach Grasona dało jej tak pełne, intensywne i bezgraniczne szczęście, że nie była pewna, czy po jakimś czasie zdoła w nie uwierzyć. A skoro wiedziała, że za kilka dni ich drogi się rozejdą, musiała się zastanowić, czy jeszcze kiedyś będzie jej dane przeżyć chwile, które do tego stopnia wszystko zmieniają. Bo czuła, że jej życie nigdy nie będzie już takie samo...

Rzęsy Grasona zdrzębały, ale oczy nadal były zamknięte. Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę, że Kasey na niego patrzy. Wiedział, że go całowała, choć leżał w gorączce. Obiecała mu, że nie poprosi o nic więcej niż ta jedna noc. Skąd mogła wiedzieć, że się oszukuje? Jak mogła być tak głupia, żeby się ludzić, iż jedna noc w jego ramionach jej wystarczy? Pragnęła spędzić z nim całe życie. Gdyby los dał jej drugą szansę, nie popełniłaby tego błędu, nie powiedziałaby mu, że jedna noc to dla niej dosyć.

Koniec podróży nadchodził zbyt szybko, a sama myśl o rozstaniu z Grasonem wydawała się jej bolesna jak cios.

Ale rozumiała go, ponieważ czuła to samo co on. Żadne z nich nie było wolne. Nie mogli sobie niczego przyrzekać. Ona musiała odnaleźć Jean, Grason musiał dopaść Eagle'a. Od chwili gdy opuściła Wyoming, nawet na jeden dzień nie zapomniała o swoim celu. Aż do ostatniej nocy...

Dzisiaj pojedą do Billings, a potem do kryjówki Eagle'a. To, to się stało między nimi, nie mogło wpłynąć na ich plany. Nie będzie im łatwo, ale ruszą w drogę, jakby nic się nie wydarzyło. Dotrzyma słowa, zachowa wspomnienia tej nocy i nie spyta go o nic więcej. Na razie.

Ostrożnie wstała z posłania i ubrała się cicho. Zaczęła zbierać chrust na ognisko, nieustannie rozpamiętując każdy dotyk, każdy pocałunek, każde westchnienie rozkoszy, jakie wydarło HIC z ich ust.

Poranek był ciepły, niebo błękitne, a krajobraz wspaniały. Najchętniej zapomniałaby o wszystkim i została tu z Grasonem. Ale nawet ten cudowny dzień nie mógł odsunąć od niej świadomości o obowiązkach, które nad nią ciążyły. Ta noc się skończyła. Pora zapomnieć o miłości i skończyć to, co zaczęła.

Pora odnaleźć Jean.

Poczuła dłoń na ramieniu i gwałtownie się odwróciła. Grason patrzył na nią, oparty na łokciu. Koc osunął się mu z piersi, rozczochrane włosy sterczały na wszystkie strony. Owalny złocisty agat ułożył mu się w zagłębieniu szyi; wyglądał tak, jakby stał się częścią jego ciała.

Kasey miała ochotę rzucić się Grasonowi w objęcia, ale to było już niemożliwe.

- Obudziłeś się. - Odwróciła się twarzą do ogniska.
- Było za cicho. Nie mogłem spać.
- Za cicho?
- Mhm. Nikt nie strzelał. - Wyszczерzył zęby.

Ona także się uśmiechnęła. Przypomniała sobie, jak się gniewał, kiedy obudziło go strzelanie, tego dnia, gdy się rozchorował. Od tamtego czasu nie ćwiczyła.

- Wiesz, chciałbym przynajmniej raz obudzić się przed tobą. Dopóki cię nie spotkałem, uważałem, że jestem rannym ptaszkiem.

Nie zdejmował ręki z jej ramienia. Jego ciepły dotyk przywodził Kasey na myśl wspomnienie nocy.

- Nie muszę dużo spać - wyjaśniła. - Jak się czujesz?
- Lepiej. A ty?
- Świetnie. Pomyślałam, że rozpalę ognisko.

Bardzo trudno było jej się zachowywać tak, jakby nie spędziła tej nocy w ramionach Grasona. Nie wiedziała, co ma robić. Wczoraj pozwalała mu się oglądać nago, bez cienia zawstydzienia, a teraz nie potrafiła opanować drżenia rąk. Przeraziło ją to, co odkryła - że chce spędzić całe życie z tym mężczyzną.

- Kasey... - odezwał się Grason, ściskając lekko jej ramię.

- Doszłam do wniosku, że musisz coś zjeść, zanim ruszymy w drogę. Dinker zostawił nam biszkopty i boczek. Masz ochotę?

- Jasne.

- Wylałam tę starą kawę. Zrobię ci świeżej.

- Dziękuję.

Kiedy cofnął rękę, Kasey ogarnął chłód.

- Rozmawiałam z Dinkerem - rzuciła, zapalając ogień. -

Według niego, możemy dotrzeć do Billings o zachodzie słońca, jeśli nie zamarudzimy po drodze. - Usłyszała szelest wkładanego ubrania. Siedziała odwrócona plecami do Grasona i przyrządzała kawę. - Dziś będzie dobra pogoda. Przydałby się deszczyk, żeby kurz tak nie zgrzytał w zębach. No, ale deszcz by nas zatrzymał.

- Kasey.

Zwykle lubiła słuchać jego głosu, kiedy wypowiadał jej imię, ale tym razem musiała ze wszystkich sił opanowywać zdenerwowanie.

- Co? - spytała, z trudem przełknąwszy ślinę.

- Nie musisz się tak denerwować - uspokoił ją Grason.

- Wcale się nie denerwuję - odparła i zerknęła na niego; wkładał spodnie. Szybko odwróciła się do ognia.

- A właśnie, że tak. Strasznie dużo gadasz, kiedy czujesz się niepewnie.

Zesztywniała; woreczek z cennymi ziarnami kawy omal nie wypadł jej z rąk.

- To bzdury, i dobrze o tym wiesz. Wcale się nie denerwuję - oznajmiła, choć wiedziała, że Grason ma rację.

- Dobrze, skoro nie jesteś zdenerwowana, to czujesz się przy mnie niezręcznie.

- Tak - szepnęła.

Ukląkł obok niej, wziął ją za ramiona i zmusił, żeby na niego spojrzała. Miał już na sobie spodnie, ale ich nie zapiął. Jego nagą pierś obudziła w niej drżenie. Zapragnęła przesunąć palcami po tej gładkiej, napiętej skórze, muskularnych ramionach i barkach. Chciała go pocałować tak jak zeszłej nocy. Chciała się dowiedzieć, że istnieje dla nich nadzieja.

- Poranek po takiej nocy może być niełatwy - zaczął Grason. - Nie chcę, żeby tak było z nami.

- Ja też nie.

- To, co się wydarzyło, było niezwykle i wspaniałe.

Jego słowa, niczym kojący balsam, złagodziły lęki dziewczyny.

- Ja też tak uważam - powiedziała.

- Więc spójrz mi w oczy i się uśmiechnij.

Zajrzała w jego lśniące ciemnoniebieskie oczy, usiłując uwierzyć w to, co usłyszała. Postąpiła słusznie, udowadniając mu, że go kocha. Teraz chciała mu to wyznać.

- Nie żałujesz, prawda? - spytał Grason.

- Nie. Ani trochę - odparła z przekonaniem.

- Chcesz pomówić o tym, co się stało?

- Pomówić? - Tak! - krzyknęło jej serce, ale rozum podpowiadał, że nie ma na to czasu. Bez względu na wszystko, nie mogła nic obiecać Grasonowi, dopóki nie odnajdzie Jean i nie wróci z nią do matki. Pokręciła głową. - Nie - szepnęła schrypiętym głosem. - Nie teraz. Najpierw chcę znaleźć Jean.

Na twarzy Grasona zamajaczył dziwny wyraz. Kasey nie była pewna, czy to niepewność, czy też ulga.

Zatrzymali się na przedmieściach Billings. Kasey schowała włosy pod kapelusz i ubrudziła twarz i dłonie. Ubrała się w obszerną koszulę swego towarzysza.

Grason usiłował zaproponować, żeby poczekała na niego w obozie, ale, oczywiście, odmówiła. Od pierwszej chwili, kiedy postanowili jechać razem, wiedział, że ten dzień nadejdzie. Nie tęsknił do niego, ale teraz nie mógł go już odsuwać. Postanowił to już dawno, a od tej decyzji nie było odwołania.

Zeszłej nocy narodziło się w nim nowe uczucie. Zapragnął mieć Kasey tylko dla siebie, na zawsze. Nie mógł jej niczego zaproponować, nie wiedział nawet, czy kiedykolwiek mógłby jej coś dać. Upiory przeszłości nie pozwalały mu myśleć o przyszłości.

Billings tętniło życiem. Po szerokich drewnianych chodnikach

krażyły dziesiątki mieszkańców. Wzdłuż głównej ulicy stały wozy, dylizanse i eleganckie powozy. Duże kolorowe plakaty i sfatygowane szyldy zachęcały do skorzystania z najróżniejszych usług, od dobrego jedzenia po gorące kąpiele. Parę przybytków zapaliło już latarnie, oświetlające snopami blasku małe miasteczko.

- Dużo ludzi jak na taką porę - zauważył Grason. Stukot kopyt ich koni niósł się głośno po ulicy.

- Tak. Nie spodziewałam się, że Billings jest takie duże. - W głosie Kasey dźwięczał niski, ochrypły dźwięk.

Grason zerknął na nią z ukosa; jechała wyprostowana jak struma, jej nogi były długie, szczupłe i kształtne. Zadrżał, uderzony wspomnieniem tych pięknych nóg, obejmujących jego biodra, jak mógł jej nie kochać? Była uparta i tak zdecydowana, że i obija rzeczy, o których kobieta nie powinna nawet myśleć. Była bezgranicznie lojalna i odważniejsza od większości znanych mu mężczyzn. Dlatego nie miał pewności, czy tak naprawdę jest jej potrzebny. Stawała się niepewna i słaba tylko wtedy, gdy mówił o Jean. Siostra była jej słabym punktem, ale Kasey o tym nie wiedziała.

Zatrzymała Velvet przed wolnym słupkiem do przywiązywania koni.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Przywiązał konia obok jej klaczy. Tylko Kasey mogła wyglądać pociągająco z ubrudzoną twarzą. Miał ochotę zaprowadzić ją do najbliższego hotelu i znowu się z nią kochać.

- To chyba ja powinienem cię zapytać. Pora, żebyś wyjawiała mi nazwę obozu Eagle'a. Musimy postanowić, co dalej.

Dziewczyna zawahała się.

Nie dziwił się jej ostrożności. Doskonale wiedział, co dla niej znaczy odwiezienie siostry do matki. Wiele zaryzykowała, żeby znaleźć Jean. Ale on uważał, że kiedy ją znajdzie, przeżyje wielkie zaskoczenie. Postawiłby ostatniego dolara na to, że siostra Kasey nie zgodzi się wrócić do Wyoming. I ani przez chwilę nie wierzył, że Eagle pozwoliłby komukolwiek wjechać Nwobodnie do swojego obozu. Nawet siostrze Jean. Eagle był

mordercą. Ale Kasey nigdy by w to nie uwierzyła; nie chciała przyjąć do wiadomości prawdy o siostrze.

Wiedział, że Eagle znajduje się w zasięgu jego ręki, i nie mógł się już doczekać spotkania z nim. To uczucie mąciła tylko świadomość tego, co musiał zrobić Kasey.

- Jak się nazywa to miejsce? - spytał z determinacją.

Dziewczyna patrzyła na niego z namysłem; dopiero po chwili odezwała się niechętnie:

- Bullreed Point.

- Nie znam.

- Tego miejsca nie ma na żadnej mapie.

- Co ci powiedziała Jean? Dlaczego sądzisz, że ten obóz jest gdzieś w okolicach Billings?

- Przed bójką podsłuchałam jej rozmowę z Eagle'em...

- Chwileczkę - przerwał jej, marszcząc czoło. - Przed jaką bójką?

Kasey zatrzepotała niewinnie rękami.

- Powiedziałaś coś o bójce?

- Owszem.

- Przejęczyłam się. Mówiłam ci, że Jean i mama pokłócili się z powodu Eagle'a. Wiedziałyśmy, że on do niej nie pasuje.

Miał wrażenie, że Kasey nie mówi prawdy, ale postanowił nie reagować. Na razie.

- Eagle powiedział mojej siostrze, że od kilku lat ma kryjówkę w Bullreed Point. Później Jean niechcący zdradziła, że ostatni zapas żywności kupią w Billings. Przyjęłam, że obóz musi znajdować się w odległości kilku dni jazdy od miasta, ale nie jestem pewna, w którym kierunku.

- Eagle mógł zmyślić tę nazwę. A może to gdzieś w Buli Mountains? To szmat drogi stąd.

- Wiem. To dlatego chciałam wynająć w Bozeman tropiciela śladów.

- Pogadajmy z kimś, może uda nam się zawęzić teren poszukiwań.

Zsiedli z koni, przywiązali je do słupka i rozejrzeli się.

Drewnianym chodnikiem zbliżał się do nich przysadzisty, dobrze ubrany dżentelmen.

Grason zdjął kapelusz.

- Proszę o wybaczenie, czy w okolicy znajduje się miejsce o nazwie Bullreed Point?

Mężczyzna z meloniku uniósł krzaczaste brwi. Na Kasey nawet nie spojrział.

- Bullreed Point? Hmm. Może to tam w latach siedemdziesiątych Indianie mieli wioskę?

Indianie mieszkali niegdyś w całej Montanie, a Eagle był, . mieszańcem. Grason uznał, że można zaryzykować.

- Tak, to tam. Jak się tam dostać?

- Proponowałbym pojechać na północ, za Stony Ridge. U stóp Buli Mountains, pomiędzy Billings i Musselshell jest duża dolina. Jeśli się nie mylę, nikt tam nie mieszka, mówię, oczywiście, o białych, bo Indian już się pozbyliśmy. Niestety, nie potrafiam określić, jak daleko jest stąd do tego miejsca. Nie można tam mieszkać ani wypasać bydła.

- Jestem wielce zobowiązany.

- Może pan jeszcze popytać ludzi - dodał dżentelmen. - Ktoś może wiedzieć więcej.

- Dziękuję - rzekł Grason, poprawiając kapelusz. Poczekał, aż zażywny jegomość ruszy w dalszą drogę i odwrócił się powoli ku Kasey. Już przyglądała się mapie.

- Pamiętam coś, co może nam pomóc - powiedziała. - Eagle mówił Jean, żeby się nie martwiła o wodę, ponieważ w pobliżu trzeciego wzgórza płynie strumień.

Grason spojrział na nią zwięzonymi oczami.

- To ważna informacja. Czyżbyś właśnie ją sobie przypomniała? - Poczul się urażony, że Kasey zataiła przed nim tak Ważną wiadomość.

- Powiedziałam tylko, że pamiętam. Nie twierdzą, że właśnie sobie przypomniałam.

Grason usiłował zachować cierpliwość, ale świadomość, że jest tak blisko Eagle'a działała mu na nerwy.

- Pamiętasz coś jeszcze? Na przykład, czy to trzecie wzgórze od wschodu, czy zachodu?

Dziewczyna zamilkła; najwyraźniej walczyła ze sobą, niepewna, czy może powierzyć mu tę ostatnią informację. Nagle miał ochotę krzyknąć, żeby mu nie ufała.

- Od zachodu - powiedziała.

Grason odetchnął głęboko. Teraz albo nigdy. Jednym płynnym ruchem sięgnął ku kaburze Kasey i wyjął z niej rewolwer.

Jednocześnie dobywszy własnej broni, wymierzył ją w Kasey.

Otworzyła szeroko oczy; kuszące usta utworzyły kółeczko.

- Co... co robisz?

- Oddam cię w ręce szeryfa Billings jako Jean, kobietę z gangu Eagle'a Clarka.



Grason! - Kasey spojrzała na Grasona szeroko otwartymi oczami.

W jej głosie było tyle zdumienia, że omal nie zrezygnował ze swego planu. Ale przecież nie mógł sobie na to pozwolić. Chciała jechać do obozu Eagle'a, i to w dodatku wcale się nie kryjąc. Wydawało się jej, że bandyci nie będą do niej strzelać. Grason dobrze wiedział, że się myliła.

Na ogół zachowywała do wszystkiego dystans, ale w przypadku Jean i jej towarzyszy była zbyt ufna. Grason od samego początku postanowił, że nie dopuści jej w pobliże obozu bandytów. Teraz miał ku temu jeszcze jeden powód - miłość. Nie chciał, żeby się narażała. Uwielbiał wszystkie cechy tej dziewczyny: odwagę, pewność siebie, lojalność, jakiej nie zaznał ze strony żadnej kobiety. Nie mógł ryzykować, że coś się jej stanie.

- Nie rozumiem - powiedziała bez tchu.

Nie znajdował żadnych słów na swoją obronę i nawet nie chciał próbować. Im mniej uczuć, tym łatwiej.

- Nie spodziewam się, że zrozumiesz. Powiedzmy, że nie chcę cię narażać.

- Co?! Nie chcesz mnie narażać? - W głosie dziewczyny

brzmiała narastająca furia; wyprostowała się wojowniczo. - Odkąd cię spotkałam, zostałam porwana przez łowcę nagród, niemal utopiłam się w rzece, wjechałam w burzę piaskową, gonilo mnie całe indiańskie plemię i prawie się spaliłam. I po tym wszystkim masz jeszcze odwagę mówić, że nie chcesz mnie narażać? Wybacz, ale chyba się spóźniłeś!

Słuchał jej i czuł, że kocha ją jeszcze bardziej. Odważna, zapalczywa, waleczna Kasey. Przyznawał, że jego odpowiedź nie brzmi przekonywająco, ale właśnie tak wyglądała prawda.

Stał spokojnie, nie opuszczając broni. Nie było sensu tłumaczyć jej powodów, dla których tak postąpił. Nic nie mogło jej przekonać.

- Zawsze się o ciebie martwiłem.

- Niech cię szlag, nie rób mi tego. Tyle razem przeszliśmy... - Głos jej drżał.

Grason zdawał sobie sprawę, że zadał jej bolesny cios, i serce mu pękało na widok bólu dziewczyny. Wreszcie rozłożyła się na tyle, że po raz pierwszy naprawdę zakłęła. Nie spodziewał się tylko, że jej pierwsze przekleństwo będzie wymierzone w niego. Szczerze mówiąc, wcale jej za to nie winił. Ufała mu, dbała o niego w chorobie i kochała go, a on ją zdradził. Wolałby raczej zobaczyć jej gniew niż to rozczarowanie i gorycz.

I choć jej słowa uderzyły tak, jak powinny, nie mógł się ugiąć. Gdyby Kasey zobaczyła jego słabość, zyskałaby nad nim przewagę, a on miał zadanie do wykonania. Po prostu. I nie mógł pozwolić, żeby Kasey stanęła mu na drodze.

- Tak musi być - uciał.

- Dlaczego? Bo ty tak mówisz? Zaufałam ci we wszystkim.

- Nie możesz wjechać do obozu Eagle'a.

- Moja siostra tam jest - upierała się Kasey.

- Jest wyjęta spod prawa.

Dziewczyna drgnęła, jakby ją uderzył. Ze związanymi włosami i ubrudzoną twarzą wydawała się tak młoda i krucha.

- Może - wykrztusiła wreszcie. - Ale ty chcesz ich dopaść dla prywatnej zemsty. Eagle upokorzył cię przed całym miastem

i narzeczoną. Teraz masz ochotę się na nim odegrać i postawię ostatnie pół dolara na to, że liczysz na nagrodę.

Grason z trudem przełknął ślinę. Dobrze wiedziała, gdzie go ugodzić, żeby zabolalo.

- Masz absolutną rację.

Gniew nagle się w Kasey wypalił; ramiona opadły jej bezradnie i spojrzała na niego z żarliwym błaganiem, które było dla niego jeszcze bardziej bolesne niż to, co musiał zrobić.

- Grason, ja muszę z tobą pojechać. Obiecałeś, że jeśli zaprowadzę cię do Eagle'a, pozwolisz Jean pojechać ze mną do Wyoming. Jak możesz mi to zrobić?

Miał ochotę wziąć ją w ramiona i pocieszyć, ale tym razem to on był przyczyną jej cierpienia. Co mógł zrobić? Zauważył, że dwaj mężczyźni zatrzymali się, żeby na nich popatrzeć.

Musiał zabrać Kasey do szeryfa, zanim ktoś się wtrąci i zechce wiedzieć, dlaczego trzyma dziewczynę na muszce.

- Szeryf urządzuje dwa domy dalej - powiedział. - Ruszaj. Siała nieruchomo, wyprostowana, z podniesioną głową.

- Skoro gang Eagle'a jest tak niebezpieczny, jak twierdzisz, skąd wiesz, że miastowi nie wywloką mnie z więzienia i nie zlinczą?

Serce nagle stanęło mu w miejscu.

- Dopilnuję, żeby tak się nie stało.

- Niby jak? Jak zdołasz powstrzymać wściekły tłum, jeśli cię tu nic będzie?

- Musisz mi zaufać.

- Tobie nie można ufać.

Miała rację. Niestety, miała sto procent racji. Grason mógł się tylko pocieszać, że ma swoje powody, by tak postąpić. Ważne powody. A jednak nie czuł się usprawiedliwiony.

- Kasey, nie rób kłopotów nam obojgu. Odwróć się i idź.

- Zastrzel mnie.

- Wiesz, że tego nie zrobię.

- Tylko tak wsadzisz mnie do tego pudła— oświadczyła z determinacją.

- Nie. Mogę cię jeszcze przerzucić przez ramię i zanieść do szeryfa.

- Spróbuj.

- Kasey... - rzekł, ale dziewczyna nie dała mu skończyć.

- No jazda. Nie zamierzam ci niczego ułatwiać.

Teraz obok nich zebrał się już spory tłum.

- To już rozumiałem. - W tej chwili za nic nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego jej upór tak mu się kiedyś podobał.

- Dobrze. - Włożył swoją broń do kabury, a rewolwer Kasey zatknął za pas.

Dziewczyna natychmiast popędziła przed siebie jak wiatr.

- Ty małe diabelskie nasienie! - Grason zgrzytnął zębami i pogalopował za nią.

Dławiły ją lzy; płuca paliły żywym ogniem. Kasey pędziła przed siebie na oślep, wymijając ludzi, chowając się za wozami i przeskakując przez poidła dla koni. Poczucie zdrady i wściekłość dodawały jej sił. Skręciła w wąski zaułek, minęła kilkoro dzieci. Jeszcze nigdy w życiu tak nie uciekała, wiedziała bowiem, co ją czeka, jeśli przegra.

Słyszała za plecami ciężkie kroki Grasona; zbliżał się do niej coraz bardziej. Kasey przyspieszyła, wyężdżając wszystkie siły. Zmuszała się, żeby nie czuć tego palącego bólu w płucach, siłą woli przezwycięzała ociążałość nóg, które zmieniły się w bryły ołowiu. Grason był od niej silniejszy i wyższy, ale przecież niedawno przeszedł silną gorączkę, miała więc nadzieję, że to go spowolni i da jej przewagę. Kapelusz spadł jej z głowy i podskakiwał na plecach, uwieszony na rzemyku. Włosy rozsypały się na ramionach. W uszach nieustannie rozbrzmiewało jakieś ciężkie dyszenie. Nie wiedziała, czy to Grason tak się do niej zbliżył, czy to jej własny oddech; nie śmiała się obejrzeć.

Wybiegła na pusty plac za dużym budynkiem. To był błąd, rozumiała to natychmiast. Otwarta przestrzeń nie jest dobra. Musiała wrócić na główną ulicę, by - przy szczęściu - zgubić

Grasona pomiędzy przechodniami. Mogłaby wbiec do jakiegoś sklepu i się w nim ukryć. Zawróciła ostro i pobiegła na południe w nadziei, że znajdzie jakąś uliczkę prowadzącą do głównej alei.

Nagle ręka Grasona uderzyła ją w ramię. Chwyił ją za luźną koszulę, tak że materiał rozerwał się z trzaskiem. Kasey rzuciła się naprzód, ale potknęła się i upadła ciężko na brzuch. Jęknęła, lecz natychmiast poderwała się na równe nogi.

I w tej samej chwili jakiś ciężar zwałił się na nią i ponownie przygwoździł do ziemi.

Grason przytrzymał ją mocno, leżąc na niej całym ciałem. Zaczęła kopać i wierzcąc.

- Kasey, do cholery! Przestań!

Nie czuła w nim osłabienia, na które tak liczyła. Był bardzo silny i zdeterminowany. Ale nie mogła się poddać bez walki. Szarpała się dopóty, dopóki siły nie opuściły jej do końca.

- Zejdź ze mnie, ty gadzie! - Wparła się oburącz w jego pierś.

- Przestań, bo będę musiał ci zrobić krzywdę.

- Nie, to ja ci zrobię krzywdę, jak tylko uwolnię kolano.

- Zrozum mnie, Kasey. Nie mogę ci pozwolić, żebyś weszła lin obozu Eagle'a.

- Nie chcę Eagle'a, tylko Jean. - Znowu się szarpnęła.

- Kasey, posłuchaj... - zaczął Grason spokojnym głosem.

- Puszczaj!

Przygwoździł ją mocniej do ziemi, nie dając szansy na zrobienie jakiegokolwiek ruchu.

- Nie, posłuchaj! - rzekł ze zdecydowaniem.

- Jesteś oszustem! Dlaczego miałabym cię słuchać?

- Bo cię kocham.

Serce w Kasey zamarło; znieruchomiła. Po policzkach potoczyły się łzy, których nie potrafiła pohamować. Dlaczego nie powiedział jej tego wczoraj, kiedy trzymał ją tak czule w ramionach i się z nią kochał? Co on chciał z nią zrobić?

- Dlaczego mówisz mi to teraz, kiedy mnie zdradziłeś?

Myślisz, że ulżysz sumieniu? To niemożliwe. Twoje słowa nie mają już znaczenia. A ty nie masz honoru.

- Kasey, obiecałem ci tylko, że pozwolę ci zabrać Jean do Wyoming. I dotrzymam...

Przerwał im trzask odciąganego kurka. Grason zeszywniał i poderwał głowę.

- Wstań powoli i spokojnie. - Pulchny młody mężczyzna z puciołowatymi policzkami, podwójnym podbródkiem i wylupiaszonymi oczami mierzył z kolta prosto w głowę Grasona. Słońce lśniło w błazanej gwieździe, przypiętej do klapy jego czarnego surduta.

Grason spojrzął w oczy Kasey i powoli podniósł się z ziemi. Wyciągnął rękę, żeby pomóc dziewczynie. Zignorowała ją i wstała o własnych siłach, choć klatka piersiowa bolała ją dotkliwie po upadku.

- Trzymaj ręce wysoko. Nie rób gwałtownych ruchów, bo zrobię ci w brzuchu dziurę jak stodoła. - Szeryf mówił z tak śmiertelną powagą, że Kasey poważnie się zaniepokoiła.

- Nie szukam kłopotów - odezwał się Grason. - To kobieta z obwieszczenia. Usiłowałem ją złapać.

- Mnie to bez różnicy, dopóki nie odbiorę ci broni. Trzymaj ręce nad głową.

Grason usłuchał.

Kasey omal nie jęknęła, widząc, że młody szeryf odbiera Grasonowi jej broń, po czym wsuwa ją do własnej kabury. Po chwili odebrał mu drugi rewolwer i ujął go mocno w pulchną dłoń.

Solidna postać szeryfa budziła w Kasey pewien lęk, ale nie dała jej zapomnieć o konieczności uwolnienia się od Grasona. Zamierzał ją zamknąć w więzieniu i ruszyć na poszukiwanie Eagle'a. Zobaczymy, kto tu kogo zamknie.

- Dziękuję za ratunek, szeryfie- powiedziała, otrzępując ubranie i usiłując zakryć nagie ramię strzępem koszuli.

- To zastępca - mruknął Grason.

Zerknęła na odznakę, na której widniał wyraźny napis „Zastępca szeryfa”.

- A, rzeczywiście. Myślałam... ta odznaka... to znaczy, wygląda pan całkiem jak szeryf... i pewnie nim pan wkrótce zostanie... - Już dawno tak się nie zaplątała we własnych słowach.

- Czy on zrobił panience krzywdę?

Uśmiechnęła się słodko, przywołując na pomoc całe opanowanie i przytomność umysłu.

- Ten człowiek zaatakował mnie na oczach całego miasta. - Nie mogła patrzeć na Grasona. Musiała zapomnieć, że go kocha. Musiała wytrzeć z pamięci jego wyznanie. - Proszę go aresztować i zamknąć.

- Daj sobie spokój, Jean. To ty znajdziesz się za kratkami. Straciła mowę. Spiorunowała Grasona płonącym spojrzeniem. Jak śmiała ją tak nazywać?

- Ten padalec jechał za mną od chwili, kiedy opuściłam Hansom. Myśli, że jestem poszukiwana, ale to nieprawda.

- Czy to dlatego goiłeś ją po ulicach?

- Tak. Uciekła mi, kiedy zsiadliśmy z koni i ruszyliśmy do pańskiego biura.

- To nieprawda!

- Teraz jest ubrudzona, ale kiedy się umyje, wygląda zupełnie jak kobieta na tym obwieszczeniu. - Grason sięgnął do kieszeni.

Zastępca szeryfa wycelował broń w jego pierś.

- Nie ruszaj się.

- To tylko papier- powiedział Grason i powoli wyciągnął zmięte obwieszczenie z kieszeni kamizelki.

Kasey skuliła się, przeklinając w duchu swoje podobieństwo do Jean.

- To nie ja - szepnęła żałośnie do zastępcy, po czym przeniosła spojrzenie na Grasona. -Nie rób mi tego. -W jej głosie brzmiała nula prośby, co doprowadziło ją do furii. - Powiedz mu, że to nie ja.

- To dla twojego dobra.

- O, nie. Robisz to dla własnego dobra, nie dla mnie.

Grason odwrócił się od niej i skoncentrował uwagę na przysadzistym stróżu prawa.

- Jestem łowcą nagród. Uważam, że ta kobieta jest na tyle podobna do tej z plakatu, że powinien ją pan potrzymać w więzieniu przez parę dni, dopóki się nie upewnię, czy to ona.

Zastępca szeryfa spojrział na obwieszczenie, a potem na Kasey.

- Jest tak brudna, że trudno stwierdzić.

- Jechałem za nią od Ransom. Miałem nadzieję, że zaprowadzi mnie do gangu Eagle'a Clarka.

- To prawda? - Zastępca odwrócił się do Kasey tak gwałtownie, że podwójny podbródek zatrząsnął się mu jak galareta.

- Niezupełnie. Przez większość drogi jechaliśmy razem. Grason wzruszył ramionami.

- To ona powiedziała, gdzie mogę znaleźć bandę Clarka. Niech ją pan spyta.

Tak długo wstrzymywała oddech, że omal się nie udusiła. Jeśli teraz skłamię, wyjdzie na tym nie lepiej niż on. Zwilżyła wargi językiem.

- To prawda.

- Jeśli w obozie Eagle'a jest inna kobieta, przyprowadzę ją razem z nim, a pan wypuści tę tutaj.

- Przyprowadzisz ich żywych czy martwych? - rzuciła cicho i złowieszczo.

Ich spojrzenia starły się, równie nieustępliwe i zawzięte.

- To zależy - odparł Grason.

- Nie będę siedziała w więzieniu.

- Mam zadanie do wykonania. Nie mogę cię ze sobą zabrać,

- Okłamałeś mnie - powiedziała Kasey z wyrzutem.

- Nie, ja...

- Chwileczkę - wtrącił się zastępca szeryfa. - Dość się już nasłuchałem. Wystarczy.

Kasey odwróciła się do niego. Zdawała sobie sprawę, że z brudną twarzą i w podartej koszuli może nie budzić zaufania, ale postanowiła się odwołać do jego poczucia sprawiedliwości.

- Przysięgam, nie jestem tą poszukiwaną kobietą. Ten człowiek chce zdobyć nagrodę, to wszystko.

- Nie proszę o nagrodę za nią - przerwał jej Grason. - Na razie. Nic pan nie straci, jeśli ją pan przetrzyma parę dni, podczas gdy ja wytropię resztę bandytów Eagle'a. Jeśli się pomyliłem, będzie mógł ją pan puścić.

- Nie może mnie pan aresztować tylko dlatego, że temu człowiekowi wydaje się, iż mogą być poszukiwana - powiedziała Kasey.

Zastępca szeryfa nadal trzymał Grasona na muszce i obserwował ich uważnie.

- Zgadzam się, że mogą przypominać kobietę z obwieszczenia - odezwała się Kasey, uderzona nową myślą. - I rozumiem, że waha się pan z podjęciem tak ważnej decyzji. Może szeryf rozwiąże nasz spór?

- To niemożliwe - rzekł pulchny mężczyzna, który mógł być rówieśnikiem Grasona. - Wyjechał z miasta na parę dni. Jestem tylko ja i drugi zastępca.

- Szeryf chyba pana nie pochwali, kiedy się dowie, że wypuścił pan podejrzaną - wtrącił się Grason.

Kasey uznała, że pora dać za wygraną. Dalsza kłótnia do niczego by nie doprowadziła... dopóki on pozostawał w mieście. Postanowiła zaczekać do jego wyjazdu, a potem tak długo pracować nad zastępcą szeryfa, aż ten pozwoli jej odjechać.

Gruby mężczyzna poruszył ramionami; materiał jego koszuli napiął się, bliski pęknięcia, pas zatrzęszczał pod naporem pokazanego brzucha.

Rzeczywiście, jest podobna. Pewnie nie zawadzi ją za-trzymać, dopóki szeryf nie wróci. On będzie wiedział, co zrobić.

Grason zdjął z szyi złocisty agat i podał go Kasey.

- Weź. To cię obroni, kiedy mnie nie będzie.

W jego oczach malowała się prawdziwa czułość; przez co gorycz dziewczyny była jeszcze większa.

- Nie chcę. Nie potrzebuję. Potrafię o siebie zadbać, pamiętasz? - Z trudem wydobywała słowa z zaciśniętego gardła.

- Pamiętam, że ja też go nie chciałem, ale nie dałaś mi wyboru. Oddałaś za niego zapasy i naboje, więc pewnie jest tego wart.

- Był - sprostowała Kasey. - Dałam ci go.

- A ja daję go tobie.

- Idź już, Grason. - Chciała się go pozbyć, żeby móc swobod-

nie pomyśleć, ułożyć jakiś plan, zastanowić się, gdzie się podział mężczyzna, który wczoraj uczynił ją kobietą.

Wziął głęboki oddech.

- Najpierw dopilnuję, żebyś znalazła się za kratkami. Wiem, ile zamieszania potrafisz narobić.

- Pamiętam. Tyle, że nie potrafisz tego znieść.

- Mam z panem posłać drugiego zastępcę? - spytał zażywny przedstawiciel prawa.

- Nie - powiedział Grason, odrywając wzrok od Kasey. — Podróżuję sam. - Wyjął z kieszeni parę monet. - Proszę dopilnować, żeby miała przyzwoite jedzenie i gorącą herbatę rano i wieczorem.

O nie, nie zamierzała mu na to pozwolić.

- Zatrzymaj swoje pieniądze - rzuciła pogardliwie. - Mam kilka dolarów. Wystarczy, żeby kupić wszystko, czego mi trzeba. - Miała nadzieję, że sprawiła mu ból.

- Co mam zrobić, jeśli pan nie wróci? - spytał zastępca.

- Ona wie, gdzie pojechałem. Musicie posłać pościg za bandytami.

Kasey wzdygnęła się i zamknęła na chwilę oczy. Czy Grason naprawdę mógł nie wrócić? Czy to możliwe?

Tuż po odjeździe Grasona Kasey zaczęła urabiać młodego zastępcę. Z łatwością uzyskała przyzwolenie na przebranie się w czyste ubranie i umycie w miednicy.

Doprowadziła się do porządku na tyle, na ile było to możliwe bez lustra i wody. Areszt wyglądał przyzwoicie, a materac na łóżku był czysty. W jednym dużym pomieszczeniu znajdowały się trzy cele, a za nimi - biuro szeryfa. Pogodziła się już z myślą, że prawdopodobnie spędzi tu noc, ale przysięgła sobie, że do następnego popołudnia będzie wolna.

Rozważyła kilka różnych opcji, włącznie z historią o porwaniu Jean. Gdy doszła do wniosku, że prawda jest jednak najlepszym wyjściem, zawołała młodego zastępcę szeryfa.

- Nie mogę tu przychodzić za każdym razem, kiedy czegoś zechcesz, panienko - powiedział z niezadowolaniem, człapiąc ku niej.

Uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła.

- Przepraszam. Wiem, że ma pan wiele zajęć, ale muszę porozmawiać o czymś bardzo ważnym.

Staął, chwyciwszy się za szeroki pas.

- Tak? O czym?

- Jeśli pan pozwoli, chciałabym wysłać telegram do szeryfa z Tanner w Wyoming. Nazywa się Vann. Zna mnie prawie od urodzenia i zaświadczy, że nazywam się Kasey Anderson. Przypominam tę kobietę z obwieszczenia, ponieważ to moja siostra Jean. Szeryf Vann potwierdzi także ten fakt.

Stróż prawa wybałuszył na nią oczy.

- Siostra? Ha, możliwe. Powiedziałaś to temu łowcy nagród?

- Tak, ale on nie chciał nic sprawdzać. Podałam mu nazwę miejsca, w którym może przebywać moja siostra, a on postanowił tam pojechać i dostać nagrodę.

- Ale nie chciał pieniędzy za ciebie.

A więc zdołała zainteresować tego przysadzistego mężczyznę.

- Nie, ponieważ wie, że to nie ja jestem poszukiwana. Chce mnie tu zatrzymać, żebym mu nie przeszkadzała.

- A ty, panienko, chciałaś razem z nim szukać tych wyrzutków?

- Chcę odnaleźć moją siostrę. - Chwyciła mocno pręty. -

Boję się, że może zginąć.

- Z tego, co słyszałem, domyślam się, że twoja siostra należy do gangu. Ale rozumiem, że nie chcesz, by zginęła. Powiem to wszystko szeryfowi, jak tylko przyjedzie. Nie mogę cię puścić. - Odwrócił się do dziewczyny plecami.

- Proszę poczekać! Nie proszę, żeby mnie pan uwolnił.

Przynajmniej nie od razu. Chciałam tylko, żeby pan posłał telegram do Wyoming i potwierdził to, co powiedziałam. Niech pan nie podejmuje nie przemyślanych decyzji!

Zastępca szeryfa zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

Kiedy wreszcie podniósł na nią wzrok, wstrzymała oddech.

- Telegramy są drogie. Miasto nie daje nam tyle pieniędzy.
- Zapłacę. W pudełku na naboje znajdzie pan sześć dolarów.
- Niczego nie obiecuję. Sam chciałbym się dowiedzieć, kim jesteś, panienko. Ten łowca nagród miał rację. Kiedy umyłaś twarz, wyglądasz kropka w kropkę jak ta poszukiwana kobieta.

19



Słońce prażyło niemiłosiernie. Kasey miała nadzieję, że dogoni Grasona, ale zdążył odjechać zbyt daleko. Czowała, że policzki zaczynają ją palić. Dużą część drogi przebyła bez kapelusza, z rozwianymi włosami. Była już blisko trzeciego wzniesienia, na którym Eagle mógł postawić straż. Nie chciała, żeby ją wzięli za łowcę nagród. Jedyne lekkie wiaterek łagodził skwar słońca.

Ruszyła w podróż poprzedniego dnia. Zastępca szeryfa nie zachwiał się w postanowieniu, kiedy otrzymał wiadomość od szeryfa z Tanner stwierdzającą, że siostry Anderson są do siebie bardzo podobne, wyjąwszy kolor włosów. Żaden z argumentów, które wytoczył szeryf, nie wydał się przekonujący młodemu obrońcy prawa.

Ale po południu tego samego dnia zauważyła przez okno znajomą twarz, na widok której zerwała się na równe nogi i zaczęła wzywać zastępcę szeryfa głosem słyszalnym poza granicami miasta.

Zatrzymała się i znowu spojrzała na okolicę przez lornetkę. Ani śladu Grasona. Martwiła się o niego od chwili, kiedy zostawił ją w więzieniu. Wbrew temu, co myślał, zdawała sobie

sprawę z tego, że Eagle jest niebezpieczny. Często się zastanawiała, czy jeden z mężczyzn, którzy występowali z Buffalo Bilem, nie miał racji. Twierdził, że władze podejrzewają Eagle'a o zamordowanie jej ojca, który zabronił mu widywać się z Jean.

Większą część drogi przejechała w nocy, korzystając z jasnego blasku księżyca. Zatrzymała się tylko na krótko, żeby zrobić sobie herbaty i przespać się przez parę godzin. Rozpaczliwie chciała dogonić Grasona, zanim ten dotrze do obozu Eagle'a.

Nadal była na niego zła. Jego zdradę odczuła boleśnie, a jednak nie przestała go kochać. Po paru godzinach wpatrywania się w sufit celi zdała sobie sprawę, że Grason chciał ją ochronić, ponieważ ją kochał. Rozumiała i przebaczyła mu to, co zrobił. Podobnie jak ona miał przeszłość, z którą musiał się rozliczyć. Ale nie rozumiał, jak ważne było dla niej odnalezienie Jean i przyprowadzenie jej do domu.

Słońce minęło zenit i zaczęło się chylić ku zachodowi, kiedy z oddali dobiegł ją jakiś hałas. Czy to odgłos strzałów?

Zatrzymała Velvet i zaczęła nasłuchiwać; odległe dźwięki, przypominające trzask kapiszonów, niosły się w powietrzu. Serce ścisnęło się jej ze strachu.

Grason odnalazł Eagle'a i teraz walczył, pomyślała. Spięła konia ostrogami i ruszyła w kierunku, z którego dochodziły hałasy. W miarę, jak posuwała się na północ, strzały były coraz głośniejsze. Teren zaczął się zmieniać; kamieniste doliny, pełne dzikich chaszczy i traw, stopniowo przechodziły w pofałdowany teren u podnóża Buli Mountains. Huk strzałów odbijał się echem od głazów. Kasey nie mogła się zorientować, skąd właściwie dochodzi. Zatrzymała się i wyjęła lornetkę. Powoli, metodycznie przyjrzała się połaciom rdzawej ziemi. Gdzieś w pobliżu był Grason. Miał kłopoty, a ona mogła mu pomóc.

Na wschodzie zauważyła postać przykucniętego za skałą mężczyzny ze strzelbą. Serce skurczyło się jej boleśnie. To był Grason. Nie ruszał się! Pospieszenie omiotła spojrzeniem resztę terenu. Zauważyła następną postać, a potem inne- czterech mężczyzn i jedną kobietę wśród skał za strumieniem.

Serce przestało jej bić. Rozpoznała Jean od pierwszego spojrzenia. Jej ciemnokasztanowe włosy spływały po plecach aż do pasa. Miała na sobie bluzę z jeleniej skóry i spódnicę do konnej jazdy. Krążyła niespokojnie przed wygaszonym ogniskiem.

Dwaj mężczyźni leżeli na ziemi; nie żyli. Pozostali trzej kryli się za wielkimi głazami i strzelali w kierunku Grasona. Kiedy Kasey wróciła do niego wzrokiem, właśnie się poruszył i zaczął strzelać. Z ulgi omal się nie rozpląkała.

Strzały rozlegały się gęsto; kule krzeszały iskry z głazu, za którym się krył. Dwoje ludzi, których kochała, brało udział w walce po przeciwnych stronach. Co miała teraz zrobić? lęknęła w desperacji. Oboje potrzebowali jej pomocy. Musiała podjąć decyzję. Ku własnej rozpacz, przekonała się, że wybór był łatwiejszy, niż się spodziewała.

Serce ciągnęło ją ku siostrze, ale to Grasonowi należała się jej pomoc. Nie miała czasu na dalsze rozmyślenia. Siostra nie była teraz ważniejsza niż życie Grasona. Kasey była tego pewna. Walczył z przeważającą liczbą przeciwników, stał po stronie prawa i był mężczyzną, którego kochała.

Odsunęła od siebie wątpliwości. Nie mogła dalej jechać konno, jeśli chciała zostać nie zauważona. Pospieszenie włożyła kapelusz i zeskoczyła na ziemię. Przywiązała wodze do niskiego krzaka, zabrała zapasowe naboje z juków i wepchnęła lornetkę do głębokiej kieszeni kurtki. Przygarbiwszy się, pobiegła w stronę Grasona.

Wkrótce widziała go dokładnie. Przyklękła, nie chcąc, by zobaczył ją któryś z ludzi Eagle'a. Powoli i bezszelestnie podkrađła się do ukochanego.

Gdy kula rozorała ziemię tuż obok niej, podskoczyła, a z ust wydarł się jej cichy okrzyk.

- Kasey! — zawołał Grason.
- Nic się nie stało?
- Nic. Zbieraj się stąd, zanim cię zranią!
- Nie odejdę - odparła. Kolejna kula gwizdnęła obok niej; dziewczyna znowu podskoczyła.

- Szybko !-Grason wy ciągnął do niej rękę i wepchnął w najbardziej osłonięty kąt swojej kryjówki.

- Masz dziurę w kapeluszu.

- Dzięki twojej siostrze - mruknął. - Powinienem się domyślić, że zdołasz uciec nawet z więzienia.

- Powinnam się domyślić, że mnie oszukasz. Poza tym wcale nie uciekłam. Zastępca mnie wypuścił, kiedy mu udowodniłam, że nie jestem Jean.

- I co to za dowód mu przedstawiłaś, który nie przyszedł mi do głowy?

- Nie domyślasz się? - rzuciła przekornie.

Niestety, Grason patrzył na nią bardzo poważnie.

- Kasey, nie chcę cię tu widzieć. Nie chcę, żebyś została ranna. Teraz muszę skupić się na twoim bezpieczeństwie, zamiast na Eagle'u.

Cofnęła się, obrażona.

- Nie potrzebuję twojej pomocy i...

- Może i nie - przerwał jej ze złością, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - I może jesteś najlepszym strzelcem, jakiego znam, ale to nie zmienia faktu, że chcę cię bronić. Nie rozumiesz?

Zobaczyła miłość, płonąca w jego oczach, i poczuła, że serce się jej rozplywa. Grason ją kochał! Widziała to w jego spojrzeniu, słyszała w głosie... A więc mówił prawdę!

- Do miasta przyjechał Dinker - powiedziała, uciekając do bezpieczniejszego tematu. - Zobaczyłam go przez okno i zawołałam zastępcę szeryfa. Poprosiłam, żeby z nim o mnie porozmawiał. Stary potwierdził moją tożsamość.

Grason puścił ją i przykucnął.

- Skąd mógł wiedzieć, że nie jesteś Jean?

- Powiedział szeryfowi, że widział raz moją siostrę. Był w mieście, w którym Eagle napadł na bank. Tak jak ty, od pierwszej chwili zauważył, że jestem do niej podobna, ale wiedział, że Jean jest starsza i...

- ...twardsza-dokończył.

Kasey pominęła to milczeniem.

- Potwierdził, że widział mnie parę razy w ciągu ostatnich tygodni, i powiedział, że nie mogłam być zamieszana w napad na bank w Miles City, gdzie widziano moją siostrę przed kilkoma dniami.

- Zaczynam podejrzewać, że ten stary piernik jedzie naszym siadem.

Kasey także miała takie wrażenie.

- Jak długo tu jesteś? - spytała.

- Od rana. W nocy zobaczyłem dym z ich ogniska. Udało mi się dotrzeć tutaj, a potem któryś z nich mnie zauważył. -

Naładował remingtona i strzelbę. - Od tej pory prowadzimy ostrzał. Zdaje się, że jednego zabiłem.

- Dwóch - poprawiła go bez emocji. - Została Jean i trzech mężczyzn.

- Skąd wiesz? - Kolejna kula gwizdnęła obok niego; uskokczył, stracił równowagę i wpadł na Kasey.

- Au! - zawyła, gdy ramię Grasona wbiło się jej w żebra.

- Cholera, przepraszam. Nie chciałem...

- Nic się nie stało. To mnie gniecie. - Wyjęła z kieszeni lornetkę.

- Ach, więc to jest twoja tajemnica. Nie widziałem tego do tej pory. - Wziął od dziewczyny lornetkę i przyjrzał się jej. - Gdzie ją chowałeś?

- Wcale jej nie chowałam, zawsze trzymam ją w jukach.

Należała do mojego ojca.

- To dlatego wiedziałas, że za tobą jechałem, tak?

Kasey wzruszyła ramionami.

- Parę razy ułatwiła mi życie. Ci dwaj są martwi albo poważnie ranni, nie ruszają się.

O głaz uderzyła nowa partia pocisków. Grason przygarnął dziewczynę do piersi i osłonił ją własnym ciałem.

- Nie podnoś głowy. Nie chcę, żeby cię zranili.

Strzelanina ustała tak szybko, jak się zaczęła.

- Jean! - wrzasnął Grason. - Przystań strzelać! Mam tu twoją siostrę.

- Jean, to ja, Kasey!
- A niech mnie diabli, jeśli to nic moja siostrzyczka. Chcesz mnie uratować czy aresztować? - rozległ się szyderczy kobiecy głos.
- Chcę z tobą porozmawiać. Mama jest chora. Odlóż broń! Zapanowała nieznośna cisza.
- Co oni tam robią? - szepnęła Kasey.
Grason spojrzał na nią trochę podejrzliwie.
- Zastanawiają się, jak możesz im pomóc.
- Jak to... przecież... chyba nie sądzisz... - zaczęła dziewczyna, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.
- Nie wiem, nic nie wiem. Przejechałaś całą tę drogę, żeby dostać się do siostry. Masz ją o pięćdziesiąt metrów stąd. Powiedz, po czyjej jesteś stronie?
Zdrętwiała; miała wrażenie, że jego pytanie odbija się echem od skał. Jego dźwięk ją paraliżował. „Po czyjej jesteś stronie?”
Po twojej. Tylko twojej, ukochany. To właśnie chciała mu powiedzieć. Ale nie mogła.
Spojrzała w chmurne oczy Grasona. Wiedziała, że podjęła właściwą decyzję, kiedy postanowiła mu wybaczyć i pomóc. Chciała, żeby dzielił z nią życie. Chciała stać u jego boku i walczyć z każdym, kto mógłby go skrzywdzić. Ale nie była przecież w stanie odwrócić się zupełnie od siostry i uwierzyć we wszystko, co mówił o niej Grason. Jean zasługiwała na szansę. Jeszcze mogła się opowiedzieć po właściwej stronie.
- Jestem po stronie prawa i sprawiedliwości- wykrztusiła wreszcie. - A o ile mi wiadomo, tylko ty oskarżyłeś Jean.
- Ona nie będzie cię słuchać.
- Tego jeszcze nie wiemy. - Odwróciła się od niego. - Jean! Porozmawiaj ze mną! Rzuć broń i wyjdź.
Zza skał dobiegł ich drwiący śmiech.
- Kto tam z tobą siedzi? Szeryf?! - wrzasnęła Jean.
Kasey zerknęła na Grasona. Pamięć podsunęła jej wspomnienie nocy, którą spędzili w swoich ramionach. Tak bardzo chciała znowu znaleźć się pod wielkimi sosnami, z dala od tego miejsca.

- Powiedz jej prawdę - szepnął Grason. - Jestem łowcą nagród.

- Ale byłeś szeryfem.

- Jeśli jej to powiesz, pomyśli, że może cię wykorzystać jako zakładniczkę. Łowca nagród nie dbałby o twoje życie.

Miał rację, choć Kasey przyznawała to z największą niechęcią.

- To łowca nagród! - krzyknęła.

- Co tam z nim robisz? - chciała wiedzieć Jean.

- Zagadaj ją - syknął Grason. - Sprawdzę przez lornetkę, gdzie się przyczaili. - Wychylił się o ułamek centymetra zza glazu.

- Pomógł mi cię znaleźć. Mama czuje cię coraz gorzej! Umiera i chce się z tobą spotkać. Chce się pogodzić. Obiecałam jej, że cię przyprowadzę. Musimy porozmawiać spokojnie.

Grason usiadł obok niej.

- Na prawo stoją ich konie, są przywiązane do drzewa. Jak myślisz, uda ci się przestrzelić postronki? - Potrząsnął głową i otarł pot z czoła. - Za długo byłem na słońcu. Co ja wygaduję? Oczywiście, że ci się uda. Potrafisz wbić gwóźdź w deskę z odległości dwudziestu kroków.

- Musimy im dać szansę, żeby się poddali, zanim zaczniemy do nich strzelać.

- Oni się nie poddadzą - rzekł Grason z niezbitą pewnością w głosie. - To niemożliwe.

- Tego jeszcze nie wiemy - nie dawała za wygraną.

- Kasey! - krzyknęła Jean. - Rzućcie broń i wyjdźcie oboje na otwarty teren. Wtedy my też wyjdziemy.

Kasey spojrzała na swego towarzysza.

- Nawet nie próbuj mnie prosić - wycodził przez zęby.

Nie zamierzała tego robić.

- On tego nie zrobi! - odkrzyknęła. - Musicie wyjść!

Z obozu dobiegły ich śmiechy, pohukiwania i przekleństwa; bandyci najwyraźniej nie zamierzali rzucić broni.

- Jeśli chcesz się zobaczyć z siostrą, musisz przyjść do nas! - zawołał jeden z nich ochryłym niskim głosem.

Kasey rozpoznała Eagle'a. Kule uderzyły w głaz, za którym się chowali, tak że prysnęły na nich odłupane kawałki kamienia.

- Niech to! Jean wie, że tu jestem. Dlaczego pozwala im do nas strzelać?

- Naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź? Próbowalem ci to wytłumaczyć...

- Nie - przerwała mu. - Nie mów tego.

Od strony obozu dobiegł ich nowy wybuch śmiechu.

- Jak widzisz, z nami będziesz bezpieczniejsza, siostrzyczko, niż z tym twoim przyjacielem.

Ta strzelanina mogła trwać godzinami. Grason nie zamierzał zrezygnować, Eagle i Jean nie chcieli się poddać. Słońce prażyło niemiłosiernie. Kasey czuła, że nie wytrzyma długo w niewygodnej przykucniętej pozycji za głazem. Nie chciała, żeby komukolwiek stało się coś złego, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że do tego dojdzie.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Oslaniaj mnie, a ja zajmę się liną. Ale uważaj... i nie strzelaj do Jean.

- Zamieńmy się miejscami. I, Kasey... nie podnoś głowy. Chcesz strzelbę?

- Nie. Lepiej mi idzie z koltem.

- Będę strzelał, aż opróżnię magazynki - rzekł Grason. - Tyle czasu ci wystarczy? - Gdy skinęła głową, powiedział: - Dobrze. - Wziął głęboki oddech i rzucił: - Zaczynamy.

Huk broni wstrząsnął powietrzem. Kasey wzdrygnęła się i wyrzała ostrożnie zza kamienia. Zlokalizowała linę, po czym starannie wzięła ją na cel i wystrzeliła. Rzemień opadł swobodnie. Konie stanęły dęba, ale nie zamierzały uciekać.

Jeden z mężczyzn ruszył ku nim biegiem, ale upadł, trafiony kulą Grasona. Kasey wystrzeliła znowu, celując pod końskie kopyta. Klacz spłoszyła się i uciekała; pozostałe wierzchowce ruszyły za nią.

- Padnij! - wrzasnął Grason, kiedy kula strąciła kapelusz Kasey.

Kolejny mężczyzna ruszył ku koniom, strzelając dziko w jego

stronę. Kasey wycelowała w nogę bandyty, ale spudłowała. Grason mówił jej, że trudniej jest trafić w ruchomy cel. Miał rację. Wzięła na cel pierś mężczyzny i nacisnęła spust; upadł na ziemię.

Wzdrygnąwszy się, schowała się za głazem. Nie mogła złapać kim. Jeszcze nigdy do nikogo nie strzeliła. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

Grason osunął się na ziemię obok niej i dotknął jej ramienia.

- Nic ci nie jest? - Widząc, że dziewczyna łapie spazmatycznie powietrze, dodał: - Musiałaś do niego strzelić.

Skinęła głową, zbyt wstrząśnięta, żeby się odezwać.

Złapał jej kapelusz i wsadził palec w dziurę po kuli.

- Cholernie mało brakowało. Masz się stąd zabierać, ale już.

Kasey jęknęła z rozpaczą.

- Nigdzie nie pójde. A co z Jean? Co z Eagle'em? Nie możemy im uciec.

- Niech szlag trafi Eagle'a i Jean razem z nim. Nie chcę, żebyś zginęła albo została okaleczona. Nie jesteś tu bezpieczna!

- Jeśli teraz się wycofamy, nic się nie zmieni. Ja nie przestanę szukać Jean, a ty się nie poddasz, dopóki nie dopadniesz Eagle'a Clarka. Nie możemy się wycofać, nie rozumiesz?

Odłożył strzelbę, przygarnął ją do siebie, wziął w ramiona i mocno uściśnął.

- Nie mogę cię stracić - szepnął.

Oparła głowę na jego piersi i zamknęła oczy, upajając się jego słowami i bliskością.

- Ja też nie chcę cię stracić. Już powinieneś się domyślić, że cię nie zostawię. - Powoli podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Ty trafiłeś jednego, ja drugiego. Musimy naładować broń.

- Nie, położyłem dwóch - sprostował Grason, wypuszczając ją z objęć.

Przerażenie ścisnęło dziewczynę za gardło.

- Eagle dostał - dodał.

- Jesteś pewien? - spytała, wzdrygnąwszy się.

- Tak sądzę - mruknął, wkładając naboje do magazynka. -
Twoja siostra do niego podbiegła. Na innego nie zwróciłaby
uwagi.

- Czy Jean jest ranna? - wykrztusiła Kasey przez zaciśnięte
gardło.

- Nie.

- Myślisz, że Eagle... nie żyje?- spytała.

- Mam nadzieję.

Do oczu napłynęły jej łzy, głupie kobiece łzy. Nie potrafiła
ich opanować. A gdyby to Grason został ranny? Serce ścisnęło
się jej na myśl o bólu siostry.

- Jeśli Eagle nie żyje, może Jean zechce nas wysłuchać. -
Grason zatrzasnął bębenek rewolweru i spojrzał na Kasey. -
Hej, na pewno nic ci się nie stało?

Otarła łzy wierzchem ręki.

- Nie, ja...

Wyciągnął do niej dłoń, ale dziewczyna się cofnęła. Nie
zniosłaby teraz jego dotyku. Musiałaby się rozplakać. Powinna
się opanować bez jego pomocy.

- Nic mi nie będzie - rzuciła, rozpaczliwie starając się za-
chować spokój.

- Nie chciałem, żebyś na to patrzyła.

- Wiem. - Teraz już rozumiała dlaczego. Odetchnęła głęboko
i odchrząknęła. — Jean, tu Kasey! — zawołała. Nie spodziewała
się, że zdoła wydobyć z siebie tak silny głos.

- Musisz mi pomóc! - odkrzyknęła Jean. - Ten bydlak trafił
Eagle'a.

Grason chwycił ją za ramię.

- Nawet o tym nie myśl.

- Najpierw rzućcie broń i wyjdźcie na otwartą przestrzeń! -
zawołała Kasey.

- Zostałam już tylko ja i Eagle. Rzucimy broń. Ja wyjdę, ale
Eagle jest zbyt poważnie ranny.

Kiedy usłyszeli głuchoe łupnięcie, potem drugie, słabsze, ostroż-
nie wyjrzelili zza głazu; na ziemi leżała broń.

- To wszystko. Nie mamy więcej - krzyknęła Jean i wyszła śmiało na otwartą przestrzeń, trzymając ręce nad głową.

- Nie ufam jej - powiedział Grason.

- Nie musisz. Ja ufam. - Kasey schowała kolta do kabury i wymięła swego towarzysza. Pora spotkać się z siostrą.

Grason wyszedł za nią. Zerknęła na niego i przekonała się, że celuje z remingtona w Jean.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma ochoty uścisnąć siostry. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że nie czuje radości na jej widok.

W oddali ujrzała mężczyznę o długich czarnych włosach, ubranego w skórzaną bluzę i spodnie. Opierał się o drzewo. Eagle. Kula trafiła go w brzuch.

Na widok czterech innych, leżących na ziemi, żołądek podszedł jej do gardła. Z wysiłkiem przeniosła wzrok na Jean i drgnęła, wstrząśnięta.

Jej siostra wyglądała jak stara kobieta. Chuda. Krucha tak, jakby miała się rozsypać. Pomarszczona. Ogorzała i wyschnięta. Ciemne włosy straciły połysk, przeredziły się. A na twarzy malowała się nienawiść tak zaciekła, że Kasey cofnęła się na sam widok.

- Żadnych gwałtownych ruchów - odezwał się Grason za jej plecami. Nie spuszczać oczu z Jean, obszedł mężczyzn leżących na ziemi.

- Wszyscy nie żyją, z wyjątkiem Eagle'a- rzuciła Jean szorstko.

Grason stanął nad nieprzytomnym bandytą. Kasey zerknęła w jego stronę, zastanawiając się, o czym myśli, patrząc na człowieka, którego szukał tyle czasu.

Chcę go zabrać do lekarza - oświadczyła Jean, podpierając się pod boki. - Bardzo krwawi. Jeśli mi nie pomożecie, wynoście się do diabła i zostawcie mnie w spokoju.

Kasey patrzyła na nią, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, Otarła usta dłonią. Poczowała smak prochu.

- To nie takie proste, Jean.

- Właśnie, że proste- powiedziała jej siostra z arogancją w głosie.

Grason podszedł do Kasey, nadaj mierząc do Jean.

- Nie. Chcę, żebyś wróciła ze mną. Mama żałuje tego, co się stało, i pragnie cię przeprosić. Grason zabierze Eagle'a do miasta i sprowadzi do niego doktora.

Jean parsknęła gorzkim śmiechem, który przejął Kasey dreszczem.

- Moja słodka siostrzyczko! Naprawdę chcesz mi wmówić, że ten krwiożerczy bydlak zabierze Eagle'a do lekarza? Wyznaczono za nas nagrodę, żywych lub martwych. Jak ci się zdaje, co on zamierza?

Kasey poczuła nerwowy tik w oku.

- Grason jest przyzwoitym człowiekiem. Był szeryfem. Jean uniosła brew; wyraz jej twarzy uległ pewnej zmianie.

- Ach, naprawdę?

Grason zaklął.

- Posłuchaj mnie - ciągnęła Kasey z napięciem. - Kiedy spotkasz się z mamą, pomogę ci wszystko wytłumaczyć władzom.

- Nie jestem posłuszna nikomu - oświadczyła jej siostra, podciągając rękawy bluzy.

- Z wyjątkiem Eagle'a.

Jean spojrzała na Metysa, leżącego pod drzewem; przyciskał rękę do brzucha, pomiędzy palcami sączyły się strużki krwi. Na jej twarzy pojawił się zupełnie inny wyraz, pełen troski i miłości. Serce Kasey ścisnęło się bólem; doskonale rozumiała uczucia siostry.

- Tylko on się dla mnie liczy - rzuciła Jean. - Powiem ci, co zrobimy, siostrzyczko. Pozwolę ci na ten rewanż, o który mnie wtedy błagałaś.

- Rewanż? - powtórzyła Kasey, z trudem wydobywając głos z wyschniętego gardła.

- Aha. Pamiętasz chyba, co? Mama płakała i prosiła, żebym nie odjeżdżała z Eagle'em. Ty też, prawda?

Wspomnienie tamtego potwornego dnia stało Kasey przed oczami z całą wyrazistością. Znowu ujrzała zapłakaną, załamującą dłonie matkę. Skinęła głową.

- Ten facet od Buffalo Billa powiedział wam, że to Eagle zabił Tate. Zgadza się? - spytała Jean.

- Tak - szepnęła Kasey ledwie dosłyszalnie.

- A ja się wściekłam i uderzyłam cię w twarz. Rzuciłam cię na ziemię i tak długo cię kopałam, aż musiałaś powiedzieć, że w to nie wierzysz. Tak?

Kasey nie mogła odpowiedzieć; nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

- Nie słuchaj jej, Kasey. Nie pozwalaj jej na to - odezwał się Grason, przysuwając się bliżej.

- A kiedy pozwoliłam ci wstać, wyzwalaś mnie na pojedynek w strzelaniu. Pamiętasz? - Jean podeszła parę kroków bliżej. - Powiedziałaś, że jeśli wygram, pozwolisz mi spokojnie odejść. A jeśli ty wygrasz, będę musiała zostać i zostawić Eagle'a.

- Milcz! - krzyknął Grason.

Kasey stała z wysoko uniesioną głową, choć znowu przeżywała upokorzenie i ból, jakiego doznała tamtego dnia.

- I wygrałam - dodała Jean.

Pamiętam.

- Płakałaś i błagałaś o rewanż, a ja powiedziałam, że dopiero kiedyś będziesz dość dobra, żeby się ze mną zmierzyć. Czy ten dzień już nadszedł?

- Tak, do diabła! - rzucił Grason przez zęby. - Już od dawna jest od ciebie lepsza, ale nie będzie ci tego udowadniać, więc daruj sobie ten uśmiezek. Teraz czeka cię już tylko więzienie.

Jean jakby go nie słyszała.

- Jeśli wygram, namówisz swojego przyjaciela, żeby pozwolił mi i Eagle'owi odjechać w spokoju. Jeśli ty wygrasz, będzie tak, jak chcesz. I co, siostrzyczko, jesteś gotowa, żeby się ze inną zmierzyć?

- Nie słuchaj jej, Kasey. Wiesz, że nie pozwolę Eagle'owi odjechać. Jeśli, oczywiście, dożyje.

- On będzie żyć, ty bydlaku! - warknęła Jean.

Kasey słuchała ich, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Myślała tylko jedno: wiem, że jestem dobra. Wiem, że jestem dobra, ale czy lepsza od Jean? Musiała się upewnić.

- Jeśli tak zrobimy i wygram, zostawisz Eagle'a z Grasonem i pojedziesz ze mną do domu? - spytała.

- Nie daj się nabrać, Kasey. Ona kłamie, przecież wiesz.

- Nie wierzysz, że ją pokonam?

Grason oderwał na chwilę wzrok od Jean i zerknął na jej siostrę.

- Wiem, że ją pobijesz na głowę, ale czy ty o tym wiesz?

W Bozeman widziałem saloon pełen mężczyzn, których pokonałaś. W Ransom było ich dwudziestu. Mogłabyś ją zwyciężyć. Wiem to z całą pewnością. Nie musisz niczego udowadniać ani mnie, ani jej.

Wreszcie zrozumiała, dlaczego z takim zapamiętaniem ćwiczyła swoje umiejętności. Nie po to, żeby dorównać Jean, ale żeby być od niej lepszą. Dlatego teraz nie mogła tego tak zostawić. Coś jej mówiło, że to ostatnia okazja, by zmierzyć się z siostrą.

- Nie. Muszę to zrobić - rzuciła rozpaczliwie. - Dla siebie. Twarz Grasona złagodniała. Zrozumiał ją! Wreszcie ją rozumiał.

Jean przeszła przez zwęglone resztki ogniska. Zaczęła przeszukiwać polanę i po chwili zebrała sześć pustych puszek. Ustawiła je rzędem na wielkim głazie i odsunęła się o parę kroków.

- Ty pierwsza - powiedziała.

Kasey drżała z lęku, niecierpliwości i niespodziewanego podniecenia. Spojrzała na Jean, potem na puszkę. Jak miała strzelać, skoro gotowało się w niej tyle emocji? Drżała jak liść na wietrze. Zerknęła na Grasona; stał na rozstawionych nogach, trzymając Jean na muszce.

Przygotowywała się do tej chwili przez wiele lat. Nie robiła tego dla pieniędzy, jak usiłowała sobie wmówić, lecz by pewnego dnia zmierzyć się z siostrą i wygrać. Wiedziała, że nigdy nie

będzie mogła normalnie żyć, jeśli nie przepędzi tego upiora przeszłości. Nie chciała tego robić dla matki, Grasona czy nawet ojca. Robiła to tylko i wyłącznie dla siebie.

- Uda ci się - szepnął Grason. - Jesteś najlepsza. Nie ona. Ty. Doskonale wiedziała, co ma teraz zrobić. Uspokoila oddech, unieruchomiła rękę i zogniskowała spojrzenie na celu. Zestrzeliliwszy wszystkie puszki, wypuściła z płuc wstrzymywane powietrze. Stała sztywno, nie odzywając się.

Jean podniosła puszki i ustawiła je na miejscu. Podeszła do siostry i wyciągnęła rękę.

- Muszę strzelać z twojego rewolweru.
- Tylko bez głupich sztuczek - ostrzegł Grason.

Kasey naładowała rewolwer sztywnymi palcami i podała go siostrze, unikając spojrzenia jej ciemnozielonych oczu.

Jean przyjrzała się broni.

- Poznaje. Tata dał nam identyczne rewolwery, aleja zgubiłam swój, kiedy napadliśmy na bank w pewnym mieście. Zdaje się, że nazywało się Ransom.

Uniosła broń, wycelowała i strzeliła. Trafiła w trzy pierwsze puszki, za czwartym razem spudłowała, trafiła w piątą. Odwróciła się i wycelowała prosto w serce Kasey.



Rzuć broń! - wrzasnął Grason.
- Nie, szeryfie. - Głos Jean był lodowaty jak arktyczny wiatr. - Wydaje ci się, że nie zapamiętałam twojej twarzy? - Roześmiała się gorzko. - Nigdy nie zapominam tych, których chcę zabić.

- Nie! - krzyknęła Kasey za zgrozą.

- Ależ tak - zasztydziła Jean. - Ten bydlak strzelał do Eagle' a. Kasey zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać. Tak długo nie chciała uwierzyć, że Jean strzelała do Grasona. Co się stało, że siostra się tak zmieniła?

- Odłóż broń, Jean. Nie mam litości dla kogoś, kto chce zrobić krzywdę Kasey.

- Urocze! Ale wiesz, że cię nie posłucham, prawda? Nie mam nic do stracenia. Jeśli Eagle umrze, nie mam po co żyć.

- To nieprawda! - zawołała Kasey. - Masz mnie i mamę. Obiecałaś, że do niej pojedziesz, jeśli wygram. To nie fair.

Jean spojrzała na nią zimnymi, Nielitościwymi oczami i parsknęła śmiechem.

- A kiedy to grałam fair? Kasey, czy ty już nigdy nie dorośniesz? Jesteś córką płatnego zabójcy. Niech to wreszcie do ciebie dotrze.

- Rzuć broń, Jean - powtórzył Grason złowroźnie cichym głosem. - Dostanę za ciebie nagrodę, nawet jeśli będziesz martwa. Mnie jest wszystko jedno.

- Grason, pozwól mi...

- Cicho bądź, Kasey. Już porozmawiałaś z siostrą. Teraz kolej na mnie.

Kasey urwała w pół słowa. Wyraz twarzy Grasona obudził w niej zimny dreszcz. Spojrzała na Jean; nie poznawała jej. Siostra, z którą dorastała, nie była tą kobietą, która mierzyła w jej serce.

- Odłóż broń - rzuciła z rozpaczą.

- On jest od ciebie mądrzejszy. Nic dziwnego. Wie, że cię zabije. Ty tego nie rozumiesz.

Kasey otworzyła usta, a Jean zaśmiała się ponuro i powiedziała:

- Boże, jakaś ty męcząca. Nie denerwuje cię ta twoja świątobliwość?

- Zostaw ją - wtrącił się Grason. - To sprawa między tobą i mną. Rzuć broń, a będziemy mogli sprowadzić pomoc dla Eagle'a.

- Nie ufam ci. Nie weźmiesz mnie żywcem.

Kasey zadygotała ze strachu - nie o własne życie, chodziło jej o Jean. Nie mogła się poddać, dopóki pozostał jej choć cień nadziei.

- Jean, Grason cię zastrzeli. To wiem na pewno. Rzuć broń i poddaj się.

- Podjęłam decyzję przed wieloma laty. Wybrałam Eagle'a i nigdy tego nie żałowałam. Uważam, że nie mam rodziny poza nim. Mój ojciec zmarł w dniu, w którym chciał nas rozdzielić. Matka zmarła w dniu, w którym chciała nas rozdzielić. - Uśmiech zniknął z jej twarzy; w oczach pojawiło się dzikie spojrzenie, które nadało jej niemal upiorny wygląd. - A jeśli ty albo ten szeryf będziecie chcieli nas rozdzielić, także umrzecie.

Kasey opuściła ręce. Jean była ulubionym dzieckiem ojca; musiała to przyznać, choć ciągle sprawiało jej to ból. Ojciec zawsze chciał, żeby dorównała starszej siostrze w strzelaniu.

Teraz ona, Kasey, była lepsza. Jeśli chciał, żeby stała się taką kobietą jak ona, to po raz pierwszy w życiu ucieszyła się, że go zawiodła.

Mimo woli zastanawiała się, czy ojciec zdawał sobie sprawę, jakim człowiekiem stała się jego starsza córka.

Jean wybrała swoją drogę. Kasey także dokonała wyboru. Przed chwilą stawiała czoło swemu największemu lękowi. Wreszcie dokonała tego, do czego się przygotowywała przez wszystkie te lata. Nie tylko dorównywała siostrze, ale ją przewyższyła. Była lepszym strzelcem i lepszym człowiekiem.

Jean nie zamierzała się zmienić. Nie chciała odłożyć broni, nie skłoniłyby ją do tego żadne zaklęcia.

Uniosła głowę i uśmiechając się, zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Kasey zginie, jeśli nie wypuścisz mnie i Eagle'a - zwróciła się do byłego szeryfa Ransom.

- Posłuchaj jej, biały człowieku.

Grason odwrócił się gwałtownie i wycelował z remingtona w Eagle'a, który zmierzał ku nim, powoli i z wysiłkiem. Był śmiertelnie błąd; po dłoni, którą przyciskał do brzucha, sączyła się krew.

W oczach Jean pojawiła się ulga i miłość.

- Spłoszyli nasze mustangi, będziemy musieli zabrać ich konie. Wytrzymasz? - spytała.

- Tak.

- Nie pozwolę wam odjechać - oznajmił Grason.

- Jak wolisz - rzuciła Jean. - Jeśli nas wypuścisz, nikt nie ucierpi. Jeśli nie, wszyscy zginie. Jak jedna szczęśliwa rodzina. Kasey dostanie kulę ode mnie.

Niespodziewanie rozległ się odgłos strzału. Jean zachwiała się; na jej bluzie pojawiła się plama czerwieni.

Kasey natychmiast odwróciła się do Grasona i właśnie wtedy z gardła Eagle'a wydarł się nieludzki dźwięk. Metys nacisnął spust, ale kula nie trafiła; Grason zdążył wycelować i strzelił prosto w jego serce. Ciało bandyty zważyło się ciężko na ziemię.

Jean upuściła broń siostry i osunęła się na kolana.

- Grason! - krzyknęła Kasey.
- To nie ja! Padnij! - ryknął, oglądając się za siebie; łowca nagród, Tate, szykował się do następnego strzału.

Kasey rzuciła się na ziemię, pociągając za sobą siostrę. Ta odepchnęła ją i zaczęła pełznąć przed siebie.

- Muszę się dostać do Eagle'a. - W jej oczach lśniło szaleństwo, usta pobladły.

Kasey chwyciła ją i przytrzymała.

- Nie, zostań! To nie Grason do ciebie strzelił, zaatakował nas ktoś inny.

- Zabierz mnie do Eagle'a - błagała Jean, chwytając siostrę za koszulę. - Muszę się do niego dostać.

Kasey zdławiła w gardle histeryczny szloch; o parę centymetrów nad sercem siostry ziała otwarta rana.

- Eagle! - wykrztusiła Jean dziko. - Pomóż mi do niego dojść! Kasey patrzyła na nią bez słowa; nie mogła dla niej nic zrobić.

Powoli, ze ściśniętym sercem, uwolniła się od wczepiających się w nią dłoni.

- Zastrzelełeś już kobietę, której szukasz! - wrzasnął Grason. - Odłóż strzelbę. Wszyscy ludzie Eagle'a nie żyją!

Kolejna kula rozorała ziemię w pobliżu Kasey. Dziewczyna przywarła do skały, dygocząc ze strachu. Nie mogła się pozbyć lęku o życie Grasona i własne.

- To morderstwo, Tate! - krzyknął Grason. - Na nas nie wyznaczono nagrody.

- Chcę nagrody. Powiem szeryfowi, że dostaliście się w krzyżowy ogień!

- Kasey! - zawołał Grason.

- Co robimy?

- Musimy się znaleźć za tymi skałami. Biegnij! Będę cię osłaniać.

Kasey rzuciła okiem na Jean, która pełzła w kierunku Eagle'a i w oczach stanęły jej łzy. Nie chciała zostawiać siostry, ale ta nie dała jej wyboru, więc musiała również podjąć decyzję. Sięgnęła po rewolwer.

Kula zaryła się w ziemi tuż obok niej. Kasey drgnęła, ale wyciągnęła błyskawicznie rękę i podniosła kolta.

- Zostaw broń, Tate chce cię zabić! Uciekaj za skały! Kiedy zacznę strzelać, biegnij - rozkazał Grason.

- Nie! - odrzyknęła; nie zamierzała zostawiać go samego. - Pobiegniemy jednocześnie i będziemy się nawzajem osłaniać. Gotów?

Niech to diabli! Kasey była zbyt odważna, żeby mogło jej to wyjść na zdrowie. Śmierć Eagle'a zdjęła Grasonowi z serca ogromny ciężar, ale nie było czasu na rozkoszowanie się zwycięstwem. Musiał uratować ukochaną.

- Biegniemy!

Grason poderwał się na równe nogi i rzucił się biegiem, nie przestając strzelać. Pociski gwizdały wokół niego. Nagle poczuł palący ból w ramieniu, lecz nie zatrzymał się, dopóki nie dopadł głazu.

- Nic ci się nie stało?- zwrócił się do Kasey.

- Nie, ale ty dostałeś! - W oczach dziewczyny błysnęło przerażenie.

- Nie martw się o mnie - powiedział, chwycił ją zdrowym ramieniem i przygarnął do piersi. Musiał to zrobić. Pierwszy strzał mógł z łatwością trafić Kasey, nie Jean.

- Pozwól, zajmę się twoją ręką - rzuciła, zdejmując chustkę z szyi.

Wspólnie zdołali oderwać rękaw koszuli.

- Powierzchnowa rana. Nic mi nie będzie - uspokoił Grason ukochaną.

- Pod warunkiem, że przestaniesz krwawić. - Sprawnie obwiązała chustką jego ramię powyżej rany i zacisnęła ją mocno.

- Daj mi strzelbę. Zajmę się tym Tate'em.

Grason uśmiechnął się mimo woli. Co za kobieta! Znakomicie zdawał sobie sprawę z tego, że strzela lepiej od niego, ale musiał udowodnić sobie i jej, że potrafi się nią zaopiekować.

- Nie, zabiłaś już człowieka. To wystarczy. Tate jest mój. Łowca nagród nadal strzelał w ich kierunku. Grason zaczął na przerwę w ostrzale, oparł się o głaz i wziął na cel miejsce, w którym krył się Tate. Chciał wyeliminować tego bydlaka jak najszybciej. Skoro nie był w stanie uratować Jean, powinien zrobić to dla Kasey.

Zranione ramię bolało go jak wszyscy diabli, ale podniósł strzelbę. Przypomnił sobie, co mówiła mu Kasey. Nie spieszył się, uspokoił oddech, unieruchomił rękę, wycelował i czekał, aż Tate wyjrzy zza kamienia. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Po pewnym czasie nad głazem pojawił się kapelusz, a potem twarz łowcy nagród. Grason wystrzelił, trafiając go w sam środek czoła.

Kiedy Tate upadł, wypuszczając strzelbę, przywarł do skały i wypuścił broń.

- Nie żyje? - spytała Kasey trwożnie.
- Czysty strzał.
- Muszę iść do Jean.

Oderwał się od głazu i pospieszył za dziewczyną. Jean leżała z głową na piersi Eagle'a. Nie mógł uwierzyć, że jest siostrą jego ukochanej; nawet po śmierci wyglądała gorzko i agresywnie.

Kasey zakryła usta ręką, osunęła się na klęczki, zdjęła kurtkę i zakryła nią głowę i ramiona Jean.

- Nie mogliśmy jej pomóc - szepnął Grason, przyklękawszy obok. - Tate dobrze wycelował.

- Tak - zgodziła się miękko. - Nic jej już nie grozi, jest z Eagle'em. Nie chciałam wierzyć, że stała się członkiem bandy. Nie wiem, jak mam to powiedzieć matce.

- Powiesz jej prawdę. Jej córka umarła dawno temu.

Kasey pociągnęła nosem. Grason delikatnie uniósł jej głowę i wytarł łzy, płynące po policzkach. Dałby wiele, żeby móc tak wytrzeć jej ból, ale wiedział, że tylko czas zdoła tego dokonać.

- Chciałbym pojechać z tobą do Wyoming i poznać twoją matkę.

- Naprawdę? - spytała, przelknąwszy z trudem ślinę. - Zrobiłbyś to?

Uśmiechnął się.

- Musimy obgadać wiele rzeczy, ale najpierw... - Urwał. - Słyszysz to?

- Tak. Brzmi jak turkot wozu.

- Dinker - powiedzieli jednocześnie.

- Co on tu robi, do cholery? - Grason podniósł się z klęczek.

- Nie wiem.

- Zaczynam się robić podejrzliwy. - Wyciągnął rękę i pomógł Kasey wstać. Nigdy nie czuł zagrożenia ze strony tego staruszka, ale nie mógł się nie zaniepokoić. Dlaczego ciągle się na niego natykali? Co ten stary piernik knuje, zastanawiał się Grason, ładując czterdziestkę piątkę. -Przekonajmy się, co nasz staruszek ma na składzie.

Dinker zatrzymał wóz jakieś sto metrów dalej, zbliżył się do nich piechotą i spojrzał na Kasey i Grasona zza okularów. Jego wzrok powędrował w końcu do ciał bandytów.

- Coś takiego. Skandal. Dlaczego nie zostawiliście mi żadnego łobuza?

Grason podtrzymał zdrową ręką zranione ramię.

- Nie wiedzieliśmy, że chciałeś kogoś zabić - powiedział, mierząc staruszka baczny spojrzeniem.

- Tak. Jasne, że chciałem. Wszystkich. Ale dziękuję, żeście się nimi zajęli.

Grason wziął rękę Kasey, zziębniętą i drżącą. Nie mógł sobie darować, że musiała być świadkiem gwałtownej śmierci siostry.

- Za kim jechałeś? Za mną czy za Kasey?

- Za tym diabelskim pomiotem, co leży bez życia. Jakiś rok temu, kiedy uciekali z miasta, jeden z nich nacisnął spust i zabił mojego psa. Od tego czasu ich szukałem. - Skinął głową ku Kasey. - Zapamiętałem tę kobietę.

Grason zeszywniał.

- Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Kasey, pomyślałem że jest

niebywale podobna do tej diablicy, co jechała z gangiem. Więc lak żem sobie umyślił, że to pewnie jaka powinowata. Bardzo jej zależało, żeby kogoś znaleźć, a ja słyszałem w Ransom, że ci złoczyńcy wrócili do Montany. Oboje jechaliśmy w tym samym kierunku, więc coś mi powiedziało, żeby za nią ruszyć, bo może i ona ich szuka. I miałem rację, może nie?

- Nie wspomniałeś mi o tym ani słowem- wyrzuciła mu Kasey.

- Nie było potrzeby.

- Masz w tym wozie wolne miejsce? - spytał Grason, chwytając broń do kabury.

- To zależy.

- Jeśli zabierzesz te zwłoki do Billings, dostaniesz nagrodę. - Ucisnął rękę Kasey. - Z wyjątkiem kobiety. Po-grzebiemy ją.

Dinker zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

- Mogę wziąć całą nagrodę?

Grason przytaknął.

- To znakomita oferta - ucieszył się staruszek. - Przyjmuję.

- Już po wszystkim - odezwała się Kasey. - Kup sobie nowego psa, niech z tobą podróżuje.

- Chyba to zrobię. - Dinker włożył kapelusz. - Kiedy usłyszałem strzelaninę, przybyłem tu co sił, gotów na spotkanie ze Stwórcą. Byłem całkiem pewien, że mnie tu zabiją. Niech mnie licho, jeśli nie przynosicie mi szczęścia, dzieci.

- Zrób miejsce w wozie, pomogę ci przenieść zwłoki - rzekł Grason, a kiedy handlarz zabrał się do roboty, mamrocząc radośnie pod nosem, odwrócił się do Kasey. Jej bluzka była splamiona krwią. Nie wiedział czyją, jego czy Jean. Może obojga. Zapragnął wziąć ją w ramiona, zdjąć z niej odrobinę żalu. Wydawała się zbyt spokojna, zbyt nieobecna. - Kasey, musimy porozmawiać.

- Jeszcze nie. Nie teraz. - Odwróciła się i wróciła do Jean.

Rozumiał ją. Musiała znieść cios, jakim była śmierć jej siostry, a w dodatku pamiętać, kim była ta nieszczęsna kobieta.

Z czasem o tym zapomni, pomyślał i odetchnął głęboko. Ramię bolało go coraz bardziej, a w uszach dzwoniło od nieustannej strzelaniny, ale jeszcze nigdy nie czuł się lepiej. Miał wrażenie, że jest oczyszczony, uwolniony. Eagle i jego bandyci nikogo już nie skrzywdzą.

Teraz musiał jeszcze przekonać Kasey, że należy do niego.

Kasey i Grason wsiedli do kursującego od niedawna pociągu, który jechał z Billings do małego miasteczka na zachód od Bozeman. Stąd mieli niespełna dzień drogi do Ransom.

W mieście wszyscy przywitali byłego szeryfa radosnymi okrzykami. Niektórzy natychmiast znikali z pola widzenia; najwyraźniej chcieli jako pierwsi przekazać znajomym wiadomość, że Grason wrócił, w dodatku w towarzystwie kobiety, która zwyciężyła go na zawodach z okazji czwartego lipca.

- Hej, szeryfie, podobno zabiłeś bandytów, którzy napadli na nasz bank! - zawołał jakiś mężczyzna.

- Wykończyłeś wszystkich? - chciał wiedzieć inny.

Grason pomachał do nich. W tych czasach wieści rozchodzą się zbyt szybko, pomyślał. Szeryf z Billings pewnie wysłał telegram natychmiast, kiedy poinformowali go o strzelaniu w Bullreed Point.

Ramię jeszcze go bolało, ale ciągły ból powoli słabł.

Grason pękał z dumy: u jego boku jechała Kasey! Nie tylko była podniecającą kobietą, odważną i inteligentną, ale to właśnie ją pragnął pojąć za żonę. Rozumiała go bez słów. Miała dość siły i pewności siebie, żeby stać u jego boku. W czasie jego

choroby udowodniła, że potrafi okazywać współczucie. Oddała! mu się bezgranicznie. Szanował ją jako kobietę, kochankę, człowieka równego sobie. Przez ostatnie trzy dni miał czas, żeby przywyknąć do świadomości, iż pomścił Madeline, Ransom i odzyskał honor. Nie przyznałby tego nikomu, ale świadomość, że Eagle Clark nie żyje i nie skrzywdzi już nikogo, dodawała mu skrzydeł. Od chwili jego śmierci czuł, że kamień spadł mu z serca.

Teraz jego jedyną troską była Kasey i to, jak ma jej wyjaśnić, że powinni być razem.

Nielatwo jej było się pogodzić ze świadomością, kim stała się siostra. Rozpaczliwie starała się mu udowodnić, że źle ocenia Jean. Kiedy ją grzebali, płakała cicho i rozpaczliwie, a on nie potrafił jej pomóc. Tylko czas mógł złagodzić te rany. Może po spotkaniu z matką dziewczyna zdoła zapomnieć o Jean i zajmie się przyszłością.

W drodze powrotnej była bardzo milcząca. Grason nie zmuszał jej do rozmowy. Poprosił, żeby dał jej czas, a on się zgodził. Ale teraz dotarli już do Ransom, tutaj zamierzał jej powiedzieć, że nie pozwoli jej odejść.

Zatrzymali się dopiero przy hotelu Larchmont.

- Grason! Dobrze, że wróciłeś! - zawołał na jego widok jakiś młodzieniec.

- Wystrzelałeś sam tych bandytów czy ktoś ci pomógł? - dopytywał się inny mieszkaniec miasta.

- Juhu! Grason! - odezwał się figlarny kobiecy głos. - Miło cię znów zobaczyć, kotku. Chodź do nas, strasznie się stęskniłyśmy.

Grason zerknął niespokojnie na Kasey. Uśmiechnęła się tylko, a jego serce wezbrało miłością. Również się uśmiechnął, po raz pierwszy od strzelaniny z gangiem Eagle'a. Podobało mu się, że jest na tyle pewna siebie - i jego - że nie okazuje zazdrości o dziewczynę z saloonu.

- Zdaje się, że wszyscy się cieszą - powiedziała. On także się uśmiechnął.

- Nie zamierzam jej odwiedzać. Teraz interesuje mnie tylko jedna kobieta. Ty.

- Niosę ze sobą ciężki bagaż, wiesz?

- Mam duży dom... i wielkie serce.

Zatrzymali się przed hotelem.

- Dopilnuję, żeby ktoś zajął się końmi - rzekł Grason. - Ty wynajmij pokój i wypocznij.

- Marzę o kąpieli i czystym ubraniu.

- Wrócę o szóstej - obiecał. - Zjemy razem kolację. Masz ochotę na soczysty stek i wielką miche kartofli?

- Mam ochotę na wszystko z wyjątkiem fasoli - powiedziała Kasey.

Nie miał ochoty się z nią rozstawać, ale widział, że tłum gęstnieje z każdą minutą, a nie chciał, żeby ktoś nagabywał jego ukochaną. Mieszkańcy miasta chcieli usłyszeć, co się stało.

- Po kolacji musimy porozmawiać - odezwał się zdecydowanym głosem. - Już pora. Nie chcę tego dłużej odwlekać.

- Chyba najpierw powinniśmy się spotkać z moją matką - odparła Kasey, spuszcżając oczy.

- Nie. Najpierw uzgodnimy wszystko między nami, a potem zabiorę cię do matki.

Spojrzała na niego z taką miłością, że zapragnął chwycić ją w ramiona i pocałować na oczach całego miasta. Nie chciał jej zawstydzić, więc musiał trzymać uczucia na wodzy.

- Więc naprawdę chcesz pojechać do Wyoming? - zapytała z niedowierzaniem.

- Oczywiście. A na razie... masz te pieniądze, które ci dałem w pociągu?

Skinęła głową.

- Dobrze - rzekł Grason. - Muszę dziś załatwić parę spraw. Spotkamy się w jadalni o szóstej, panno Anderson.

- Czy to znaczy, że wchodzimy w fazę przyzwoitych załotów?

- I nieprzyzwoitych - dodał z uśmiechem. - Więc lepiej się przygotuj.

- Będę gotowa.

Grason wiedział, że kiedy tylko Kasey odejdzie, tłum rzuci się na niego, domagając się opowieści. I tak się stało. Mieszkańcy miasta obstąpili go ze wszystkich stron jak natrętne muchy. Wszyscy mówili jeden przed drugim. W ucho wpadło mu imię Eagle'a i Madeline, a także pytanie o Kasey, kobietę rewolwerowca. Nie słyszał wyraźnie ani jednego pytania.

Cory przepchnął się przez tłum i stanął przed nim.

- Słuchajcie! - wrzasnął. - Muszę omówić z Grasonem ważną sprawę. Wracajcie do domów. Grason na pewno nie wyjedzie stąd tak szybko. Później odpowie na wasze pytania.

Ludzie rozeszli się niechętnie, mamrocząc coś pod nosem. Grason musiał przyznać, że nowy szeryf poradził sobie z sytuacją szybko i sprawnie. Poczul ukłucie irytacji, spodziewał się bowiem, że Cory nie sprawdzi się w swej roli. Co więcej, chciał, żeby tak się stało.

- Jeśli dobrze się opiekowałeś miastem, to nie mamy sobie nic do powiedzenia - rzekł.

- Mamy, i to sporo - odparł Cory. - Ale najpierw najważniejsze. Chodźmy do mojego biura. - Ruszył w kierunku saloonu.

- Czekaj! - zawołał za nim Grason. - To tam jest twoje biuro?

- Nie przestałem prowadzić saloonu tylko dlatego, że dostałem odznakę. Uwierz, nie będziesz chciał usłyszeć na środku ulicy tego, co ci mam do powiedzenia.

Grason wychwycił w jego głosie złowróżbną nutę i ruszył za nim bez dalszych pytań.

- Niechcący zauważyłem, jak robisz słodkie oczy do tej kobiety - odezwał się Cory. - Zakładam, że ta butelka whisky jednak nie była ci potrzebna. Co to za jedna?

Samo wspomnienie o Kasey obudziło w nim to słodkie uczucie. Kasey... Chciał jak najszybciej znaleźć się z nią w jednym łóżku, chciał...

- Coś mi się zdaje, że nie masz ochoty o niej mówić - mruknął Cory.

Z pewnością był ostatnią osobą, której Grason mógłby się zwierzyć. Kasey musiała zostać poza zasięgiem plotek.

Wszedł przez wahadłowe drzwi do saloonu. Na jego widok w pomieszczeniu ucichły wszystkie rozmowy. Coś musiało się stać. Sięgnął odruchowo ku kaburze. Jakiś mężczyzna skinął mu głową, inni wrócili do rozmów i kart. Z ciężkim sercem Grason poszedł do pokoiku na zapleczu.

Cory ujął wymyślną butelkę z wizerunkiem ładnej kobiety, nalał alkohol do szklaneczki i podał mu naczynie.

- Wypij. Przyda ci się.

- Lepiej powiedz od razu, co się dzieje - rzekł Grason, spoglądając na niego nieufnie.

Cory wzruszył ramionami i wziął się pod boki. Spod kłapy surduta błysnęła gwiazda, odznaka, którą kiedyś nosił ojciec Grasona.

- Chcesz się dowiedzieć powoli czy od razu?

- A jak sądzisz?

Usta Cory'ego wykrzywiły się w brzydkim uśmiechu.

- Madeline wróciła do miasta. Czeka na ciebie w hotelu Larchmont.

Grason poczuł nagle, że nie może zaczerpnąć powietrza.

- Prosiła mnie, żebym ją natychmiast zawiadomił, jeśli się dowiem czegoś o tobie.

Nagle Grasonowi zakręciło się w głowie - tak samo jak wtedy, kiedy zapadł na gorączkę po ukąszeniu kleszcza. Stał sztywno wyprostowany, a w głowie pozostała mu tylko jedna myśl - o Kasey. Powoli uniósł do ust bursztynowy trunek. Modląc się, żeby ręka mu nie zadrżała, wypił alkohol jednym haustem.

Cory zachichotał.

- Nie wyglądasz za dobrze. Chyba nie chcesz zastrzelić posłańca, co?

Przecież to Madeline go zostawiła. Zerwała zaręczyny, wyjechała bez słowa. Chyba zdawała sobie sprawę, że Grason może sobie znaleźć kogoś innego.

Niech to piorun spali!

Nie miał ani cienia wątpliwości, że kocha Kasey. Tylko ją. Ale jak, do stu tysięcy par diabłów, miał to powiedzieć Madeline? Pomyśli, że odrzucił ją dlatego, że została kaleką...

Psiakrew!

Dlaczego wróciła? Kiedyś ją kochał, ale w tym uczuciu nie było nawet połowy tego zapamiętania, intensywności i podniecenia, jakie przeżywał przy Kasey.

Cory nie powinien być świadkiem jego szoku. Niech to diabli, co teraz powinien zrobić? Jak powiedzieć Madeline, że zakochał się w innej kobiecie?

- Jak sobie radzisz w pracy? - rzucił. Miał ochotę wyjść bez słowa, ale nie mógł dać Cory'emu tej satysfakcji.

Właściciel saloonu uniósł brwi. Szybko opanował zaskoczenie, uniósł do ust cienkie cygare i zaciągnął się głęboko.

- W której? Na posadzie szeryfa czy jako posłaniec?

- Z tego, co widzę, miasto wygląda na zadbane - przyznał Grason, odstawiając szklaneczkę na stół.

Cory roześmiał się i napełnił ją ponownie.

- Żadnej wdzięczności, nawet mi nie podziękujesz. A przecież gdyby nie ja, dowiedziałbyś się o Madeline w obecności całego miasta i tej ładnej kobietki. Mogłem się tego spodziewać.

Madeline nie była jego narzeczoną! Sama zerwała zaręczyny. Całe miasto o tym wiedziało. Czyżby się spodziewała, że jego życie stanęło w miejscu? Nie potrafił wymyślić żadnej innej przyczyny jej powrotu. Powoli wciągnął powietrze. Musiał się spotkać z Madeline i wyjaśnić jej całą sytuację. Był jej to winien, choć z całego serca pragnął tego umknąć. Spojrzał nieruchomym wzrokiem na drinka, którego nalał mu Cory.

- Śmiało, pij - zachęcił go właściciel saloonu. - Nie stawiam ci go, musisz za niego zapłacić. Żadnych przysług. Chyba tego właśnie chciałeś, prawda?

Grason wziął szklankę i osuszył ją do dna. Whisky paliła go w żołądku, więc się skrzywił.

- Skoro nie chcesz rozmawiać o tej kobiecie ani o swojej

narzeczonej, przejdźmy do interesów. - Cory odpiął gwiązdę. - Ta broszka mi nie pasuje.

Grason poczuł, że przechodzi go dreszcz podniecenia, ale nakazał sobie spokój. Nie zamierzał zdradzać swoich uczuć.

- Za duża czy za mała? - spytał.

Cory roześmiał się dobroduszenie, trzymając cygaro w zębach.

- Powiedzmy, że za ciężka. Za duża odpowiedzialność. Burmistrz dał mi ją w dniu zawodów. Miał nadzieję, że na ten widok zapomnisz o pościgu za gangiem Clarka i zostaniesz.

- Nie udało się.

- Co ty powiesz - zakpił Cory.

- Skoro nie chciałeś tej funkcji, to dlaczego z niej nie zrezygnowałeś po moim odjeździe?

- Wiedziałem, że wrócisz, a tylko ja byłem skłonny ci ją oddać.

Nie rób burmistrzowi przykrości. Niech nie myśli, że źle zrobił, kiedy mi zaufał. Weź tę gwiązdę i porozmawiaj ze swoją kobietą. Od chwili, kiedy wyjechałeś, zajmowałem się wyłącznie wysłuchiwaniem pyskówek i wypełnianiem formularzy. Za chwilę oszaleję. Niektórzy moi klienci wściekli się na mnie, bo wsadziłem ich do aresztu, kiedy się upili w moim saloonie. To mi psuje interesy.

Grason patrzył na Cory'ego, ale myślał o Kasey, Madeline i blaszanej gwieździe.

Po paru godzinach Grason wszedł do hotelu i poprosił, żeby przesłano wiadomość do pokoju Madeline. Musiał z nią porozmawiać przed spotkaniem z Kasey.

Zdażył się już wykapać, ogolić, przebrać w świeżą białą koszulę i zawiązać pod szyją czarną tasiemkę. Wstąpił do aresztu i zabrał z niego przedmiot, który zamierzał oddać Kasey. Miał nadzieję, że zrobi jej taką samą przyjemność, jaką jemu sprawił złocisty agat, prezent od niej.

Powinien pomówić z Madeline od razu po wizycie u Cory'ego, ale wiedział, że musi się zastanowić nad tym, co powiedzieć. Nie chciał sprawić jej bólu.

Leżąc w wannie, odbył ze sobą długą rozmowę. To, co poczuł w chwili, kiedy dowiedział się o przyjeździe Madeline, rozwiało wszystkie jego wątpliwości. To Kasey była kobietą, którą kochał. To Kasey była kobietą, którą chciał poślubić. Ale ta pewność nie przyniosła mu ulgi. Musiał się przygotować na trudne chwile. Nie wiedział, czym zaskoczy go Madeline.

Nie chciał jej zrobić przykrości, ale musiał się liczyć z tym, że do tego dojdzie. Nie potrafił zrezygnować z Kasey. Trzeba było przekonać Madeline, że nie odrzuca jej z powodu kalectwa. Gdyby ją kochał tak, jak kocha Kasey, nic nie miałyby dla niego znaczenia.

Stał u wylotu korytarza, prowadzącego do pokojów na parterze. Usłyszał skrzypnięcie drzwi. W żółtym blasku gazowych lamp ujrzał sylwetkę stojącej kobiety. Przypominała Madeline, ale to nie mogła być ona. Lekarz stwierdził, że jego narzeczona nigdy nie będzie mogła chodzić.

Kobieta powoli ruszyła ku niemu. A jednak to była Madeline! Szła sztywno, opierając się na kulach, ale szła! Uśmiechnął się szeroko, zrobił krok w jej stronę, lecz powstrzymała go ruchem ręki. Zamierzała do niego dojść o własnych siłach.

Serce zabiło mu mocniej. Miał przed sobą piękną kobietę o królewskiej postawie, nawet z tymi kulami. Cała jej twarz promieniała radością.

A on miał jej złamać serce.

Kiedy znalazła się przy nim, chwycił kule, a ona padła mu ze śmiechem w objęcia. Przytulił ją do piersi i parę razy pocałował w policzek.

- Och, jak dobrze cię znowu zobaczyć. Tak się o ciebie martwiłam!

Przytulił ją mocniej. Szukał w sobie uczuć innych niż braterska miłość. Na próżno. Madeline nie była kobietą dla niego.

- Martwiłaś się o mnie? - szepnęła, patrząc jej w oczy. - Po tym wszystkim, co cię spotkało, miałaś jeszcze ochotę zajmować się moim losem?

Spojrzała na niego i jakby spoważniała.

- Usiądźmy, dobrze?

Zaprowadził ją na sofę w pobliżu jadalni.

- Te klamry na nogach przeszkadzają mi w siadaniu - wyjaśniła Madeline. - To trochę potrwa.

- Nie szkodzi, nie spiesz się. Nie puszcze cię, dopóki nie usiądziesz.

- Mama chciała wyjść razem ze mną, żeby mi pomóc, ale postanowiłam zrobić ci niespodziankę. - Usadowiła się na sofie i poprawiła fałdy sukni w kolorze czerwonego wina.

- Wydawało mi się, że mam przywidzenia. Tak się cieszę!

- Wiedziałam. - Wskazała mu miejsce obok siebie.

Po drugiej stronie korytarza zatrzymały się dwie kobiety.

Grason zauważył, że obserwuje ich recepcjonista, a także jakaś para. Miał ochotę powiedzieć im, żeby się zajęli własnymi sprawami, ale zdał sobie sprawę, że zbyt długo mieszkał w Ransom jako szeryf. Wszyscy interesowali się właśnie nim, a zwłaszcza jego życiem uczuciowym.

- Coś mi mówi, że za parę minut będzie tu stało całe miasto.

Madeline uśmiechnęła się słodko.

- Odkąd tu przyjechałam, zadano mi wiele pytań. Ale nie chciałam z nikim rozmawiać. Mama i ja zachowałyśmy milczenie. Najpierw musiałam pomówić z tobą.

Grason poczuł ściskanie w sercu. Niech to diabli, nie chciał jej tego robić. Nie zasługiwała na to. Gdybyż tylko był inny sposób... ale wiedział, że najlepszym wyjściem jest szczerłość.

- Plotkarki muszą odchodzić od zmysłów- rzekł, usiłując nadać ich rozmowie lżejszy ton.

- I tak już nas obgadywały, prawda?

- A najbardziej wtedy, gdy pocałowałem cię przy wszystkich podczas tańca na cześć wiosny.

- To było bardzo niestosowne.

Teraz miał zrobić coś znacznie gorszego. Rozejrzył się niespokojnie. Niech to diabli! Nie mógł jej tego powiedzieć w obecności wszystkich tych ludzi.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Madeline spuściła oczy.

- Nie będzie mi łatwiej, a chodzę jeszcze zbyt powoli. Chcę cię prosić o wybaczenie za to, że wyjechałam bez pożegnania i słowa wyjaśnienia.

Natychmiast zapomniał o wszystkim i wszystkich.

- Nie musisz o tym mówić. I na pewno nie ma tu niczego do wybaczenia.

- Nie, mylisz się. Wytrzymaj jeszcze przez chwilę, chciałabym ci wytłumaczyć, co się ze mną działo.

- Proszę, mów.

- Mniej więcej w dwa tygodnie po twoim wyjeździe wróciło mi czucie w nogach. Doktor Willard ciągle powtarzał, że tylko mi się wydaje, że nie czuję nic, nawet tego bólu, którego byłam pewna. Twierdził, że kula spowodowała zbyt wiele szkód. Początkowo mu wierzyłam, ale to mrowienie i ból nie ustępowały. Wreszcie przekonałam mamę, że nie bredzę. Zdecydowałyśmy się działać szybko i znaleźć lekarza, który mi uwierzy.

Grason uśmiechnął się.

- I okazało się, że to ty miałaś rację.

- Tak- powiedziała z ogromną ulgą. Odetchnęła głęboko i zwilżyła wargi czubkiem języka. Jej twarz ściągnęła się bólem. - Miałam rację także co do czegoś innego.

- Madeline...

- Nie, proszę cię. Damy mają pierwszeństwo.

Zrozumiał, że musi jej pozwolić powiedzieć wszystko do końca.

- Czułam, że nie powinnam cię tak zostawiać, ale nie potrafiłam znieść myśli, że zostanę w mieście choćby o dzień dłużej... a ty będziesz uwiązany do kobiety, która nigdy nie będzie samodzielna. Musiałam cię zostawić, tak jak teraz musiałam przerwać leczenie i stanąć przed tobą natychmiast, kiedy będę zdolna poruszać się o własnych siłach.

Grason słuchał jej, czując się jak najgorszy łajdak.

Poczuła ból. Taki sam okropny ból jak ten, który zrodził się w niej na wieść o śmiertelnej chorobie matki. To samo rozdzierające cierpienie, które spadło na nią na widok zięjącej rany w piersi Jean. Grason obejmował inną kobietę.

Tego było już dla niej za wiele. Nie mogła znieść tego widoku, a jednak nie odwróciła się, nie odeszła. Stała jak skamieniała, obezwładniona przeszywającym bólem.

Kobietą, którą Grason obejmował i całował z takim szczęściem w oczach, musiała być Madeline. Świadczyły o tym kule, leżące na podłodze i klamry na jej obutych stopach.

W pierwszej chwili Kasey chciała uciec. Zaraz potem zapragnęła rzucić się na nich z pięściami, żeby i oni poczuli ból. Ale potem pocałunek się skończył i znowu zaczęli rozmawiać, a Kasey zrozumiała, że nie zrobi niczego. Nic nie zmieni faktu, że Madeline wróciła do miasta i Grasona.

Nagle coś w niej krzyknęło: gdzie twoja odwaga, zawziętość, ambicja? Gdzie twoja pewność siebie? Życie z ojcem i podróż z Grasonem nauczyły ją jednej rzeczy: walczyć o to, czego pragnęła.

Czy po tym wszystkim, co z nim przeżyła, mogła pozwolić mu odejść tylko dlatego, że inna kobieta chciała go jej odebrać?

*Ale ona jest kaleką.
To nie ma znaczenia, skoro chcę Grasona.
Kochała go przed tobą, dłużej, bardziej.
Nie! Na pewno nie bardziej. Kocham go ponad życie.
Widziałaś kule, kłamry na jej butach.
Wiem i jest mi jej żal, ale nie pozwolę mu odejść.
On należy do niej.
Więc niech Madeline o niego walczy, tak jak ja zamierzam to
zrobić.*

Umiesz walczyć tylko jak mężczyzna, z bronią.

Nie. Tym razem będę walczyć jak kobieta.

Nie umiesz.

Nauczę się. Dla niego.

Jesteś samolubna.

Wiem, ale nie mogę z niego zrezygnować.

Grason obudził w niej coś, czego nie rozumiała. Wiedziała, dlaczego powinna dać za wygraną i oddać go Madeline, ale - niech Bóg jej wybaczy - nie mogła tego zrobić.

Nagle ruszyła ku nim, jakby wbrew własnej woli. Grason odwrócił się i ją zobaczył. Uśmiech zniknął z jego twarzy, w oczach pojawiło się poczucie winy i smutek. Serce zaczęło Kasey bić szybciej. Czy pozwoli jej o siebie walczyć, czy od razu ją odtrąci?

Grason wstał z sofy.

- Kasey, poznaj Madeline. Opowiadałem jej o naszej podróży. Madeline, to Kasey.

Spojrzała w śliczną twarz Madeline. Jakimś cudem zdołała przywołać na twarz uśmiech.

- Grason opowiadał mi o tobie bardzo miłe rzeczy - powiedziała uprzejmie. - Miło mi cię poznać.

Policzki Madeline zabarwił błądy rumieniec.

- Mnie także. - Zerknęła na Grasona. - Wiem, że musicie porozmawiać. Nie chcę się narzucać. - Sięgnęła po kule.

- Nie, Madeline, to my wyjdziemy - rzekł Grason.

- A więc do zobaczenia - powiedziała z uśmiechem.

- Czy mam posłać po twoją matkę? - spytał.

- Nie, na litość boską. Radzę sobie już całkiem dobrze. Ale dziękuję.

Kasey stała, sztywno wyprostowana. Serce biło jej tak szybko, że prawie nie mogła się ruszyć z miejsca, kiedy Grason objął ją w tali. Ciepło jego dłoni przenikało ubranie, parzyło skórę.

To my wyjdziemy. Najwyraźniej spodziewał się, że Kasey zrobi mu awanturę i nie chciał, żeby Madeline na to patrzyła. O Boże! Jak ma mu powiedzieć, że będzie walczyć o jego miłość?

- Wcześniej zesłaś na dół - odezwał się po chwili.

- Chyba tak.

- Właśnie powiedziano mi, że Madeline wróciła.

- Jest tak piękna, jak się spodziewałam.

- Madeline... Tak, to prawda.

Ciągle ją obejmował. Ogień jego dotyku przepalał Kasey na wylot, do szpiku kości. Chciała się odsunąć, ale ogarnął ją bezwład.

- Widziałam kule na podłodze. Czy to znaczy, że Madeline może chodzić?

- Tak. Chodzi powoli i sztywno, ale jest samodzielna.

- To cudownie. - Słowa z trudem wychodziły jej z gardła.

Nie chciała, żeby brzmiały tak sucho. Tak strasznie się bała, że straci Grasona.

Nie wiedziała, dokąd idą; szła za nim bez żadnych pytań.

Ulice opustoszały; zbliżała się pora kolacji. W mieście panowała cisza. Zerwał się wieczorny wietrzyk znad równin, słońce chyliło się ku zachodowi na ogromnej kopule nieba.

Dlaczego tak trudno jest kochać?

- Nigdy nie widziałem cię w sukience.

- Naprawdę? - rzuciła. Kiedy ją zostawił, popędziła do najbliższego sklepu i nabyła ciemnozieloną suknię z koronkowym kołnierzem i bufiastymi rękawami. Zamiast odpoczywać, przez całe popołudnie skraciała spódnicę i mankiety.

- Ten odcień pasuje do twoich oczu. Bardzo to pociągające, choć muszę przyznać, że podobasz mi się także z pasem i kaburą. Ładnie podkreślają ci biodra.

Poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Czyżby chciał jej powie-

dzieć, że powinna dalej zajmować się rewolwerami i zawodami w strzelaniu i nie marzyć o świecie sukienek, kolacji, domów i rodzin?

Skręcili za róg i ruszyli uliczką prowadzącą do publicznej stajni. Zabołało ją, że zabrał ją tak daleko, żeby porozmawiać o Madeline. Co on sobie wyobrażał? Że zacznie do niego strzelać?

Zatrzymała się tuż przed drewnianym płotem. Nerwy napięły się jej do ostateczności. Nie zamierzała się poddać. Kochała Grasona i chciała, by wiedział, iż nie zrezygnuje z niego bez walki.

Odetchnęła głęboko i spojrzała w jego oczy... oczy koloru rzeki w pochmurny dzień. Poczula, że za chwilę się rozplacze. Nie miała wątpliwości, że Grason doskonale to widzi.

- Nie mogę - powiedziała cicho, lecz nie błagalnie. - Nie mogę zrezygnować bez walki. Wiem, że Madeline pokochała cię przede mną. Wiem, że przeszła przez piekło i że zasługuje na ciebie o wiele bardziej niż ja, ale nie mogę pozwolić ci odejść, dopóki nie powiem, że cię kocham. Chcę codziennie robić wszystko, żeby być dla ciebie dobrą żoną i dobrą matką dla twoich dzieci. Wiem, dlaczego jesteś potrzebny Madeline, ale ja także cię potrzebuję!

Usłyszała jego ciche westchnienie. Czy nie spodziewał się tak jasnego postawienia sprawy?

- Czyżbyś powiedziała, że mnie potrzebujesz?

Kasey przełknęła ślinę. Opanowała ból, odsunęła od siebie uśpione w głębi serca marzenia. Po policzku potoczyła się jej jedna łza, ale szybko ją otarła. Nie chciała zyskać jego miłości dzięki kobiecym sztuczkom. Jeśli Grason miał ją pokochać, to tylko dlatego, że była tego warta.

- Tak. Wiem, że zasługujesz na kobietę taką jak Madeline... tak odważną i dzielną. A ona zasługuje na tak szlachetnego człowieka jak ty. Ale nie mogę z ciebie zrezygnować bez walki. - Urwała, usiłując złapać oddech. - Powiedz mi, jak mogę zdobyć twoją miłość!

Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Kasey nie miała pojęcia, co to może oznaczać. Czy przeraziła go tym wyznaniem?

W gardle paliły ją wstrzymywane łzy bólu, który odezwał się w niej na widok Madeline i nie ustał aż do tej pory.

- Chyba wiem, jak możemy to rozstrzygnąć - odezwał się wreszcie Grason.

- Jak?

- Zrobimy zawody w strzelaniu.

Kasey otworzyła usta ze zdumienia.

- Co?

- Pomędzy tobą i mną.

- Zawody? Nie rozumiem.

- To proste. Zagramy w twoją ulubioną grę. Sześć puszek.

Jeśli trafię we wszystkie, będę musiał poślubić Madeline. Jeśli wygrasz, poślubię ciebie.

- Jak... ja... - Nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Prawie nie mogła oddychać.

Na twarzy Grasona powoli pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. A więc żartował z niej! Żartował, choć ona otworzyła przed nim serce. W oczach zamigotały mu wesołe iskierki.

- Przyjmujesz wyzwanie?

W gardle uwiąził jej histeryczny śmiech radości. Czy to możliwe? Czy odważy się w to uwierzyć? Czy naprawdę Grason mówił jej, że jego związek z Madeline należy już do przeszłości?

- Wiesz, że zawsze wygrywam - powiedziała niepewnie.

- Właśnie na to liczę.

Gdy wyciągnął do niej ręce, bez namysłu rzuciła się mu w ramiona i ich usta połączyły się w namiętym pocałunku.

- Niech to diabli - wymamrotał Grason. - Wiesz, jak długo czekałem, żebyś przyznała, że mnie potrzebujesz?

Znowu znalazła się w bezpiecznym schronieniu jego ramion, ciepłym, znanym, kochanym.

- Nie chciałam, żebyś pomyślał, że nie potrafię o siebie zadbać. Ojciec nie lubił słabości matki.

- Jeśli masz jakieś słabości, jeszcze ich nie zauważyłem.

- A Madeline? Co z nią?

- Madeline za parę dni wraca na wschód, gdzie wiedzie

szczęśliwe życie u boku nowego narzeczonego. Zakochała się w asystencie doktora. Chciała wziąć ślub. Pogratiuowałem jej i pocałowałem na pożegnanie. Właśnie w tej chwili się pojawiłaś.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu? Dlaczego pozwoliłaś mi odchodzić od zmysłów na myśl, że spędzisz resztę życia w ramionach Madeline?

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Dzięki temu zdałaś sobie sprawę, że mnie potrzebujesz, prawda? Według mnie, to było warte wszelkiego cierpienia.

- Bałam się, że nieszczęście Madeline będzie mi ciążyło na sumieniu do końca życia.

- A jednak nie chciałaś zrezygnować?

- Z siebie? Nigdy.

- Więc byłaś taka pewna, że z nią wygrasz, co?

- Nie, nie byłam pewna. Wiedziałam tylko, że muszę spróbować.

Przytulił ją mocno. Kasey skrzywiła się, bo coś twardego ukuło ją w pierś.

- A, omal nie zapomniałem - powiedział, wyjął z surduta jakiś przedmiot zawinięty w miękką szmatkę i wręczył go Kasey.

- Co to? - Zawiniątko było ciężkie.

- Sama zobacz.

Dziewczyna odgarnęła materiał. Na jej dłoni leżał rewolwer Jean, taki sam jak jej. Spojrzała na niego oczami pełnymi miłości.

- Och, Grasonie!

- Jean miała rację. Rzeczywiście zgubiła go w Ransom.

- Nie wiem, jak ci dziękować - wydusiła z trudem, bo wzruszenie ścisnęło jej gardło.

- Ucieszyłbym się, gdybyś włożyła oba rewolwery do drewnianej skrzynki i powiesiła je nad kominkiem.

- Dobrze.

- W naszym domu - dodał.

Kasey odruchowo przycisnęła rewolwer do piersi.

- W naszym... domu?

- Czy zechcesz za mnie wyjść?

- Tak! - krzyknęła bez namysłu.

- Chcę ci pokazać coś jeszcze.

Miała ochotę się do niego przytulić. Myślała tylko o nim, pragnęła tylko jego.

- Co? - wykrztusiła z trudem.

Grason spowaźniał i odchylił kłapę surduta, odsłaniając blaszaną gwiazdę, przypiętą do białej koszuli.

Kasey otworzyła usta ze zdumienia.

- Czy chcesz poślubić szeryfa Ransom? - spytał podniosłym tonem.

Wypełniło ją szczęście tak wielkie, że przestraszyła się, iż jej serce tego nie wytrzyma. Wargi jej zadrżały, do oczu napłynęły łzy.

- Chyba zaraz się rozplacę z radości.

Chwycił ją w pól i przytulił do siebie.

- Nie ma czasu na łzy. Musimy oderwać sędziego od kolacji.

- Dlaczego? - zdziwiła się Kasey.

- Chcę cię poślubić już teraz, panno Anderson. Zamierzam tak cię zająć, żebyś nie miała czasu na nic poza mną i naszymi dziećmi.

- Takiego życia pragnęłam, ale... - Spuściła głowę. - Jutro muszę wrócić do matki.

Uniósł delikatnie głowę ukochanej.

- Jutro spotkamy się z nią oboje. - Odgarnął jej z twarzy pasmo włosów. - Przecież mówiłem, że cię do niej zabiorę.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Oczywiście. Wiem, że jest chora, ale może zdołamy ją sprowadzić do Ransom, żeby zamieszkała z nami.

Ciągle nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Dziękowała losowi za to, że pozwolił jej spotkać tego mężczyznę.

- Naprawdę, zrobisz to dla nas?

- To jedyna rozsądna rzecz. Wiem, że nie chcesz się rozstawać z matką, a ja nie chcę się rozstawać z tobą.

- Och, Grasonie! Kocham cię.

- I ja cię kocham, Kasey.

Pochylił się i pocałował ją tak, że bez zastanowienia powierzyła mu swoje serce, duszę i całe życie.